

MOJE ŚWIATY

EDWARD KRAWIEC

MOJE ŚWIATY

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Libron
Kraków 2007

© Copyright by Edward Krawiec 2007

ISBN: 978-83-7396-631-4

Redakcja: Małgorzata Wójcik

Projekt okładki, skład: Filip Lohner



Wydawnictwo Libron
ul. Pilotów 71, 31-462 Kraków
tel. 12 410 86 23
fax. 12 410 86 21
e-mail: office@libron.pl
www.libron.pl

Zamiast wstępu

Na każdego człowieka przychodzi taki czas, kiedy częściej zaczyna wracać myślami do tych lat, które już przeżył, niż stara się odgadnąć, co mu jeszcze przyszłe dni przyniosą. Ze zdziwieniem stwierdza wtedy, że w całym jego dotychczasowym życiu najbarwniejsze i najciekawsze były chwile młodości, natomiast to, co przeżywał wczoraj, rok czy dzieśnięć lat temu, jakoś szybko zaciera mu się w pamięci. Coś w tym jest. I wcale nie wypływa to z faktu, iż te młodzieńcze lata były wyjątkowo radosne i beztrudne, a całe późniejsze życie znojne i niełatwe. W moim przypadku było akurat odwrotnie; najwcześniejsze lata życia były najtrudniejsze, później już jakoś lepiej układał się mój los, a mimo to właśnie z tego najdawniejszego okresu pamiętam najwięcej. I tę najtrudniejszą porę życia chciałbym utrwalić nie tyle dla siebie, co raczej dla swoich córek i wnuków, których życie biegnie już zupełnie inaczej.

A więc chęć pozostawienia najbliższemu spisane go obrazu mojego życia to jeden z powodów, dla którego sięgam po papier i ołówek. Jest jednak jeszcze drugi powód, w moim przekonaniu znacznie ważniejszy. Otóż niewiele pamiętników i wspomnień pisanych jest przez robotników czy chłopów.

Dlaczego tak się dzieje? Wydaje mi się, iż spośród licznie występujących tu przyczyn dwie są główne: żeby o sobie pisać, trzeba umieć i trzeba chcieć. Tego „umieć” nie

będę nawet uzasadniać, bo prawda jest taka, że tylko wyjątkowo uzdolnieni ludzie po szkole podstawowej (albo i bez jej ukończenia) potrafią przelać swe myśli na papier. Zdecydowana większość mniej męczy się przy ciężkiej pracy fizycznej, niż przy trzymaniu pióra. I to tłumaczy prawie wszystko.

O wiele bardziej złożony jest problem z „chcieć”, bo opisywać swą chłopską młodość może każdy, kto tylko wychowywał się w chłopskiej izbie, nawet jeśli już dawno w niej nie mieszka, bo jest nauczycielem, inżynierem czy profesorem. Dlaczego jednak tego nie robi, a jeśli już pisze wspomnienia – to najczęściej dotyczące innego, nowego życia?

Wydaje mi się, iż przyczyną milczenia jest chęć ukrycia swego rodowodu. Po prostu zbyt często wstydzimy się go i niechętnie przyznajemy się do naszych życiorysów; trochę idealizujemy to wszystko, co dotyczy naszego pochodzenia, bo nawet te najbardziej przykre przeżycia już minęły, ich obraz zbladł w naszej pamięci, obecnie żyjemy innymi problemami, dziś nieporównanie dla nas ważniejszymi niż wspomnianie „starych dziejów”. Obawa przed zyskaniem etykiety „chama” ze strony środowiska jedynie z tytułu pochodzenia jest dla wielu nieporównanie większą dolegliwością, niż otrzymanie takiego samego miana z powodu niewłaściwego zachowania.

Skutki ucieczki od własnej przeszłości są oplakane. Wyrosły nowe pokolenia, nie znające realiów życia w Polsce przedwojennej. Czemu to przypisać? Nie szukajmy winnych daleko. To my, rodzice i dziadkowie, nie umieliśmy przekazać dzieciom prawdy o naszym życiu.

Spisując swoje wspomnienia, chciałbym choć w drobnej części naprawić to, co dotychczas robiłem nie tak, jak powinienem.

Kraków 1977–2002



Fragment mapy z 1912 r przedstawiający rodzinne strony autora, z zaznaczoną granicą zaborów.

Dom

Ojciec

Urodziłem się w dziewiątym miesiącu po pamiętnym zamachu majowym Piłsudskiego. Ktoś dociekliwy już na tej podstawie mógłby wysnuć wniosek, iż moi rodzice byli mało uświadomieni politycznie, bo w momencie tak przełomowym dla narodu i państwa, miast śledzić rozwój wydarzeń i brać w nich aktywny udział, zajmowali się planowaniem własnej rodziny. I miałby trochę racji.

Rzeczywiście, rodzice swoją świadomością społeczno-polityczną nie odbiegali od przeciętnej chłopa w byłej Kongresówce, a ta – podobnie jak i na innych terenach odrodzonej Polski – nie była wysoka. Trzeba jednak obiektywnie stwierdzić – co będzie obroną postawy moich rodziców – że w pełni świadomych i przewidujących obywateli Rzeczypospolitej wówczas było niewiele. Chwalić i popierać „Dziadka”, czy też siłą mu się przeciwstawić – to były dylematy dla tęgich głów, a nie dla biednego chłopa na miechowskiej wsi.

Dlatego też nigdy nie winiłem rodziców za ten szczególny przypadek braku politycznego zaangażowania, bo dzięki niemu urodziłem się i żyję w tak ciekawym i burzliwym okresie. Mimo że w życiu – a szczególnie w latach dzieciństwa – przeżyłem dużo momentów trudnych i przykrych, a przyjemności zaznałem niewiele, odczuwam pewnego rodzaju dumę z tego, że urodziłem się właśnie w tej biednej, chłopskiej rodzinie, i z dużym sentymentem wracam wspomnieniami do czasów mojego dzieciństwa...

Ojciec urodził się w 1896 roku we wsi Polekarcice. Jego rodzice mieli 16 morgów ziemi i sześcioro dzieci. W chwili wybuchu pierwszej wojny światowej miał już 18 lat i tylko dzięki „planowemu i niespodziewanemu oderwaniu się od nieprzyjaciela” wojsk rosyjskich nie zdążył na czas do wojenkomatu w Miechowie i nie zasilił szeregów carskiej armii, co – być może – wywarło wpływ na jej zdolność bojową. Wcale jednak nie zawiedziony powrócił do rodzinnych Polekarcic i tu, jako niedoszły żołdat, obserwował z zaciekawieniem zarówno w popłochu wycofujące się oddziały „naszej” armii rosyjskiej, jak i wkraczające za nimi zwycięskie, świetnie uzbrojone i doskonale prezentujące się wojska „nieprzyjacielskie” – Austriaków.

Wydarzenia początku pierwszej wojny światowej, rozgrywające się na ówczesnych nadgranicznych terenach byłego zaboru rosyjskiego, pozostały na zawsze w pamięci ojca. Przez długie lata – aż do 1939 roku, kiedy kolejny przemarsz wojsk, używających języka niemieckiego, przesłonił tamte wydarzenia – w czasie długich, jesiennych lub zimowych wieczornych spotkań, we wspomnieniach jego i sąsiadów odżywały poszczególne fragmenty tamtych pamiętnych, sierpniowych dni 1914 roku, choć od tego czasu minęło już wtedy 20 lat. Dzięki tym wspomnieniom, wielokrotnie powtarzanym, choć rodziliśmy się kilka lub kilkanaście lat później, znaliśmy dokładnie przebieg walk na naszym terenie, przeżywaliśmy ich grozę.

Raczej niezamierzone uniknięcie służby w szeregach carskiej armii pozwoliło ojcu względnie spokojnie przeżyć w rodzinnym domu całą pierwszą wojnę światową. Dzięki temu w momencie odzyskania niepodległości w 1918 roku – już jako przejrzały nieco kawaler dwudziestodwuletni – stanowił doskonały materiał na poborowego, czego nie zapomniał wykorzystać nowo zorganizowany organ polskiej administracji wojskowej w Miechowie. Zmobilizowany

w 1919 roku, brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Z tego okresu pozostało mu w pamięci dużo wspomnień i parę wniosków. Jego reminiscencje wojenne były ciekawe i barwne. Mimo że geografii nigdy się nie uczył, potrafił odtworzyć cały swój szlak bojowy. Pamiętał doskonale swoich ówczesnych przełożonych w baterii i w dywizjonie, każdego potrafił dokładnie scharakteryzować i opisać, jakby to byli jego obecni znajomi. O swoich przeżyciach wojennych opowiadał z zapałem i sugestywnie.

Bardziej powściągliwy był, gdy przyszło mu odpowiadać na pytania, co myśli na temat celowości i skutków tej wojny. Wyczuwało się, że swój udział w niej uważał za nieporozumienie i że po kilkunastu latach, jakie upłynęły od tego czasu, wiele przemyślał i wiele zrozumiał. Nie krył, że jego ówcześni wrogowie z czerwoną gwiazdą na czapkach, są mu obecnie znacznie bliżsi, niż jego ówcześni dowódcy. Ogólnie jednak na ten temat unikał jednoznacznych wypowiedzi.

W 1921 roku ojciec został zdemobilizowany i w następnym roku ożenił się. Mimo że pochodził z dość zamożnej rodziny (gospodarstwo szesnastomorgowe zaliczane było do „dużych”), jego „splata” była raczej symboliczna. Ojcowiznę przejął najstarszy brat Walek, który miał obowiązek spłacić rodzeństwo. Nigdy nie dowiedziałem się, jak ten obowiązek spełnił wobec stryjów i ciotek, ale ojciec wyszedł na tym chyba najgorzej. Część swej należności otrzymał w okresie galopującej inflacji na początku lat dwudziestych, resztę w przeciągu następnych kilku lat w drobnych kwotach.

Przetrzymane nierozważnie przez kilka miesięcy polskie marki kilkakrotnie utraciły swą wartość, a otrzymywane później niewielkie sumy w całości trafiały do kasy prosowickiego sądu grodzkiego, a przede wszystkim do kieszeni tamtejszych adwokatów, zaraz po ślubie bowiem rozpoczął proces sądowy o podział majątku żony z jej pierwszego małżeństwa.



Ojciec autora.

Praktycznie więc z tego, co ojciec otrzymał, nie zostało mu nic trwałego i stąd do swojej rodziny żywił nieukrywany żal za „wyrolowanie go”. Oficjalnie nie mówiło się o tym w domu, matka też nie miała o to żalu do ojca, ale on sam nie mógł się z tym pogodzić.

Ojciec był najmłodszym synem dziadków. Najstarszy brat, Walek, przejął ojcowiznę. Drugi, Ludwik, „wyszedł na człowieka”, bo został urzędnikiem na kolei, a swoją karierę zakończył na stanowisku naczelnika małej stacji Baby koło Piotrkowa Trybunalskiego, gdzie również za zaoszczędzone pieniądze nabył kilkuhektarowe gospodarstwo rolne. Trzeci brat, Marcin, wżenił się do pięciomorgowego gospodarstwa we wsi Przesławice. Jedna siostra wyszła za czternastomorgowego wdowca po sąsiedzku w Polekarcicach (była to Marysia), druga, Róża, osiadła w Koniuszy na takim samym gospodarstwie swojego męża. Ogólnie wszyscy urządzili się nieźle – najgorzej ojciec.

Z rodziną ojca utrzymywaliśmy zawsze w miarę poprawne stosunki towarzyskie. Poczucie doznanej krzyw-

dy nie pozwoliło nam zmienić ich na serdeczne, czasem – po zbyt szczerej rozmowie – ulegały one zawieszeniu na tydzień, miesiąc lub kilka miesięcy. My, dzieci Maćka, w czasie każdego pobytu w rodzinnym domu ojca, traktowani byliśmy życzliwie, przy zachowaniu dość surowych zwyczajów towarzyskich, skrupulatnie tam przestrzeganych.

Dziadka nie znałem, bo zmarł w latach pierwszej wojny światowej. Babcia żyła do 1937 roku i dość dobrze ją zapamiętałem. Była kobietą szczupłą i wysoką. Nosiła zawsze czarną długą spódnicę, czarną bluzkę i również czarną chustę. Ten sposób ubierania się, jej wysoki wzrost i szczupła budowa ciała, przy dość surowym sposobie bycia i małomówności, czyniły z niej osobę mało sympatyczną, budzącą we mnie zarówno szacunek, jak i lęk.

Prowadziła życie bogobojne i ascetyczne. W ostatnich latach swego życia prawie codziennie chodziła na nabożeństwa do kościoła w Biórkowie, mimo że Polekarcice należały do parafii w Koniuszy. Tu było jej bliżej. Do przesady przestrzegała wszystkich przykazań boskich i kościelnych, a szczególnie wszelkiego rodzaju postów.

W okresie wielkiego postu jedyną jej okrasą w pożywieniu było mleko. Uważała za niedopuszczalne nie tylko jedzenie wówczas mięsa, ale nawet kraszenie słoniną, i to również w niedziele. W środę popielcową oraz w Wielkim Tygodniu nawet kraszenie mlekiem uważała za grzech, a w Wielki Piątek postny posiłek spożywała tylko raz dziennie. Poza tym w ciągu roku dni postnych, mniej lub bardziej surowych, było znacznie więcej.

Babcia przychodziła do nas raczej rzadko i to wcale nie dlatego, że nie miała czasu lub że zdrowie jej na to nie pozwalało, ale – jak sama mawiała – nie chciała się denerwować i Boga obrażać, patrząc, jak jej syn Maciek rozpuszcza swoje dzieci.

Drażniło ją prawie wszystko. Nie mogła znieść naszego sposobu zwracania się do rodziców w formie „ty”, bo przyzwyczajona była, że dzieci zawsze winny zwracać się nie tylko do rodziców i osób starszych, ale i wzajemnie do siebie – w miarę jak dorastały – per „wy”. Tak wychowała swoje dzieci i z tego była bardzo dumna.

Babcia nie znosiła naszej dziecięcej ruchliwości. I tu też była przyzwyczajona do tego, iż dzieci w obecności jakiegokolwiek gościa w domu winny siedzieć jak trusie na jednym miejscu, słuchać, o czym starsi rozmawiają, i odpowiadać tylko na zadawane im pytania.

Natomiast my, dzieci jej Maćka, choć było nas tylko dwoje, byliśmy – w jej przeświadczeniu – rozpuszczone jak dziadowskie bicze. Nie mogła zrozumieć tolerancyjności naszych rodziców. Szczególnie do ojca miała żal o to, iż reagował na co trzecią lub czwartą jej uwagę: „Maciek, weź no przylej temu chłopakowi, niech tak nie podskakuje!”.

Takie częste uwagi, pretensje i upomnienia denerwowały ojca, który – w swoim przekonaniu, a w moim jeszcze bardziej – w żadnym przypadku nie zaniedbywał obowiązku wychowywania nas pasem, ale nie lubił, gdy go ktoś – nawet rodzona matka – do tego zachęcał.

Największe nieporozumienia ojca z babcią wynikały zawsze na tle naszego jedzenia. Jej katolickie sumienie burzyło się na widok tego, że u nas w piątek – choć wcale nie Wielki – jadałszy potrawy kraszone topioną słoniną. I choć były to ilości raczej symboliczne (jak tylko zapamiętałem, spożycie słoniny w naszym domu nigdy nie przekraczało normy 25 dkg tygodniowo dla całej rodziny), babcia nie mogła się z tym pogodzić. Zwykle w podobnych przypadkach wygarniała ojcu, co o nim samym i o jego postępowaniu myśli, na jakie kary piekielne swoją lekko-myślnością naraża nas, siebie, a przy okazji i ją samą.

Ojciec kochał i szanował swą matkę, ale choć sam był nadzwyczaj religijny i dzieci swe wychowywał podobnie, uważał jednak, iż babcia przesadza.

– W domu kapki mlyka ni ma, to z cymze mo to dziecko jeś tą fitkę – tłumaczył ojciec – myślicie, że u mnie to jak u Walka, gdzie nie tylko mlyko mają, ale i masło, i syr. Żeby pościć, to tyż trza mieć na to...

Uwagi babci o lekkomyślnym nieprzestrzeganiu w naszym domu nakazanych postów godziły w najczulszy punkt ambicji ojca. Cierpiał z tego powodu i stopniowo wydłużał okres postu, zaostrzał postną dietę i coraz częściej sięgał po pas, ale czynił to raczej nie w obecności swej matki. Dla niej pozostał lekkomyślnym i tolerancyjnym Maćkiem, który zapomniał, jak sam był wychowywany, zapomniał, co to jest grzech, i nie dawał żadnej nadziei, że swoje dzieci wychowa na porządnym ludzi.

Czyż można się dziwić, iż my, wnuki, czekaliśmy zawsze z niecierpliwością na tę chwilę, kiedy babcia pożegna się z nami (lub też najczęściej, rozgniewana, wcale się nie pożegna) i pójdzie sobie do swoich Polekarcic, do swojego Walka i jego grzecznych dzieci, i że każdy widok jej sylwetki na drodze od Pankowskiego, zmierzającej z kolejną do nas wizytą, rodził wśród nas popłoch i zaniepokojenie?

Ani babcia, ani ojciec, ani ja z siostrą nie zdawaliśmy sobie wtedy sprawy z tego, iż postępowanie babci i jej sposób myślenia były katalizatorem wyzwalającym naszą miłość i przywiązanie do rodziców, takich dobrych, mądrych i sprawiedliwych. Musiały upłynąć lata, by mój sposób oceny ojca (śmierć matki wyłączyła ją z tego procesu) zmienił się na tyle, że nie tracąc do niego miłości i szacunku, dostrzegłem w jego postępowaniu i sposobie myślenia dużo cech wspólnych z jego matką.

Wspominając dziś, po upływie tylu lat, ojca, muszę przyznać, iż jego postać pozostała w mojej pamięci bardzo zło-

żona. I to nie tylko dlatego, że zewnętrznie wyglądał on zupełnie inaczej na co dzień, a inaczej, gdy się odpowiednio ubrał w niedzielę. Ze wzruszeniem wracam myślami do moich najmłodszych lat, kiedy ojciec był dla mnie najbliższym i najlepszym przyjacielem; wtedy mogłem z nim rozmawiać na wszystkie tematy i godzinami słuchać, jak opowiadał o swoim życiu. Takich chwil z upływem lat było jednak coraz mniej, a w każdym razie nie tyle, ile ja bym pragnął. W miarę jak podrastałem, w naszych stosunkach coraz częściej zaczęły pojawiać się niedomówienia i nieporozumienia.

Ojciec był – wbrew opinii swojej matki – człowiekiem bardzo religijnym, Wszystko, co pośrednio lub bezpośrednio wiązało się z religią, było święte. Wiara była dla niego zarówno źródłem, jak i celem życia, a wszystkie przykazania boskie i kościelne – normami postępowania. Wierzył bezgranicznie. Nie istniały dla niego żadne niejasności lub wątpliwości i na temat wiary nigdy i z nikim nie podejmował dyskusji, a każdy, kto taką dyskusję starał się z nim wszczynać, był heretykiem, człowiekiem głupim i złym.

Tak samo zaczął traktować i mnie, gdy dorastając do takiego wieku, w którym dziecko zaczyna pytać o sprawy, których nie rozumie, starałem się go wciągać do rozmowy na różne tematy dotyczące wiary, religii, Kościoła. Szybko przekonałem się, iż są to tematy tabu, których nigdy z ojcem nie należy poruszać. Łatwiej było zrezygnować z rozmowy, trudniej natomiast było udawać, że wszystko dla mnie jest jasne. Najtrudniej jednak było demonstrować taką postawę, jakiej oczekiwał ode mnie ojciec. Instynktownie chyba wyczuwał, iż w miarę dorastania coraz bardziej oddalałem się od jego ideałów.

Jak umiał, tak starał się robić wszystko, aby syna, mimo jego niezdrowej ciekawości, wychować na swój obraz i podobieństwo. Z jednej strony miał temu celowi służyć jego

przykład osobisty, polegający na coraz żarliwszym i głośniejszym modleniu się, systematycznym uczęszczaniu do kościoła na niedzielne nabożeństwa i skrupulatnym przestrzeganiu nakazanych postów, a z drugiej – z częstszego korzystania ze – zdawałoby się – niezawodnego środka wychowawczego, jakim był jego wojskowy pas.

Ten właściwie jedyny element wojskowego wyposażenia, jaki ojciec posiadał, zawiódł całkowicie. Zbyt wcześnie i zbyt dosłownie przyjąłem bowiem zasadę: „Przymusowy pacierz Panu Bogu nie jest miły”, którą m.in. wpoił mi właśnie ojciec, starając się mnie zachęcić nie tylko do częstych modlitw, ale i do żarliwości w tym zakresie.

I tu muszę przyznać, iż pod względem stosunku do religii poglądy moje i ojca znacznie się różniły. Nadmiar przymuszania dał w ostateczności efekty przeciwne do spodziewanych. Uwidoczniło się to jednak znacznie później, wtedy gdy zbliżałem się już do końca mojej edukacji w sześcioletniej szkole w Biórkowie Wielkim. Do tego czasu byłem nadzieją ojca, który wierzył, że uda mu się wychować syna na porządnego człowieka, może nawet na księdza. Było bowiem szereg przesłanek wskazujących, że to będzie możliwe: chłopak, mimo że był leniem, uczył się nieźle, pamięć miał dobrą i poza domem był wzorem skromności i grzeczności.

Ojciec, mężczyzna dotychczas silny i pracowity, gdzieś około czterdziestki coraz częściej zaczął chorować. Najpierw były to cykliczne, jesienią i zimą pojawiające się infekcje gardła; w przełyku, w ciągu mniej więcej dwu tygodni, wyrastał mu tak dużych rozmiarów wrzód, iż wydawało się każdego roku, że go udusi. Dla nas były to dni grozy i przerażenia: ojciec nie mógł nic przełknąć, przestawał palić, z trudem oddychał. Zdawał sobie sprawę z powagi swej choroby i będąc zupełnie przytomny, choć bardzo cierpiący, systematycznie przygotowywał nas na najgorsze. Przychodził jednak punkt

kulminacyjny i na szczęście, po dojrzeniu, wrzód sam pękł, ojciec wracał do zdrowia i nam powracała chęć do życia.

Po kilku latach, obok choroby gardła, coraz częściej i coraz dokuczliwiej zaczęły u ojca pojawiać się dolegliwości płucne. Nie była to gruźlica, lecz jakaś inna choroba (astma?), objawiająca się tym, iż zaczynało mu brakować powietrza i po prostu dusił się.

Co to była za choroba – nikt nie wiedział, bo ojciec nigdy nie korzystał z porady lekarza. Bywały dni, kiedy przypadłości nasilały się i zdawało nam się, że za chwilę nastąpi najgorsze, to znów następowała poprawa, kiedy mógł nie tylko wstać, ale nawet pracować. Taki zmienny przebieg tych niedomagań trwał latami i nieraz przeżywaliśmy dni grozy, kiedy zdawało się, iż tego nawrotu choroby ojciec już nie przetrzyma.

„Ano, widzicie, panieś (panieś to było powiedzonko ojca, używane tak często, jak przez niektórych np. „prawda”), Pan Bóg jest sprawiedliwy i mnie jeszcze nie zabrał, bo co by te moje dzieci beze mnie robiły” – mawiał, gdy jako tako do zdrowia powracał, a myśmy z siostrą słuchali tych jego wypowiedzi z nabożeństwem i nieukrywaną radością.

Jedno, co stale w podobnych przypadkach mroziło naszą radość, to świadomość, iż teraz skończyło się szczęśliwie, ale co będzie następnym razem?

I ta niepewność, co w stanie zdrowia ojca przyniesie jutro, trwała latami i odbierała mi pogodę ducha w tym najbardziej na radosne doznania przeznaczonym okresie życia – w dzieciństwie.

Matka

Matka urodziła się i wychowała we wsi Łyszkowice, w tej samej gminie i parafii co ojciec – Koniuszy. Wychodząc za

ojca, była wdową. Do tego czasu opłakała już dwie śmierci najbliższych sobie osób: pierwszego męża i pierworodnej paroletniej córki. Obie te straty były dla niej przeżyciami trudnymi do zapomnienia.

Ale – jak to w życiu bywa – czas zabliznia wszystkie rany. Zabliznia, ale nie usuwa.

Ponowne wyjście za mąż i założenie nowej rodziny pozwoliło jej w pewnym stopniu odzyskać równowagę ducha, ale tragicznych przeżyć nie zapomniała nigdy. Często, bez widocznego powodu, widać było w jej oczach łzy, czasem zanosila się płaczem.

My nie znaliśmy ani pierwszego męża matki, ani naszej najstarszej przyrodniej siostry. Raczej wyczuwaliśmy niż znaliśmy przyczyny jej depresji i dlatego dyskretnie nie pytaliśmy o nic. Podobnie zachowywał się ojciec.

Rodzice matki mieli gospodarstwo tej samej wielkości co i rodzice ojca. Dzieci mieli czworo: dwie córki i dwóch synów. Zmarli wcześniej, przed moim urodzeniem się, a ponieważ nie pozostały po nich żadne fotografie – są dla mnie zupełnie nieznani.

Siostra matki po zamążpójściu osiadła na ojcowiznie. Była od matki znacznie starsza, gdyż jej dzieci (a miała ich pięcioro) były już dorosłe, gdy ja się urodziłem, i zawsze miałem wątpliwości, czy zwracać się do nich „ty”, czy też „wujku” lub „ciociu”.

Starszy brat otrzymał pięć morgów ziemi, ożenił się i pozostał w Łyszkowicach. Dzieci własnych nie miał. To on został moim chrzestnym ojcem.

Najmłodszy brat, mój imiennik – Edward, miał otrzymać również pięć morgów pola na Wiktoryjce, ale zmarł, nie zdążywszy się ożenić i usamodzielnic. To właśnie pole stało się w przyszłości naszą ojcowizną.

Matka, wychodząc pierwszy raz za mąż, otrzymała tradycyjne wiano i „spłatę” i wyprowadziła się do męża.

Działo się to tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej i rozliczenia dokonano jeszcze w rublach. Mąż matki pozostał na ojcowiznie znajdującej się na kolonii Zalipie wsi Polekarcice i miał spłacić swoje rodzeństwo. Otrzymana przez matkę gotówka wykorzystana została właśnie na ten cel, ale wybuch wojny przeszkodził w dopełnieniu formalności rejentalnych. To niedopatrzenie oraz śmierć męża i córki bardzo skomplikowały sytuację prawnomajątkową matki. Rodzeństwo męża nie przyznawało się do otrzymania należnej mu spłaty i odmawiało matce jakichkolwiek praw do gospodarstwa, na którym osiadła, bo formalnie nie była pełnoprawną spadkobierczynią. Trzeba było chwilowo opuścić Zalipie, pozostawić siedem morgów doskonałej ziemi i wracać do rodzinnych Łyszkowic.

„Wygryziona ze swojego” w tym właśnie czasie matka poznała ojca i wyszła za niego. Wspólnie rozpoczęli długi i kosztowny proces o odzyskanie praw do Zalipia, przerwany po kilkunastu latach trwania przedwczesną śmiercią matki w 1935 roku i zupełnym wyczerpaniem możliwości finansowych ojca. Jego przebieg charakterystyczny był zarówno dla międzywojennego wymiaru sprawiedliwości, jak i sposobu myślenia i działania rodziców. Ten nieszczęśliwy proces poważnie zaważył na naszym życiu.

Rodzina matki pod wieloma względami niepodobna była do rodziny ojca. Inne tam były zwyczaje, inne stosunki łączyły poszczególnych jej członków. Dorośli zwracali się do siebie per „ty”, więcej było serdeczności, życzliwości i bezpośredniości. I to nie tylko w słowach...

Widząc trudną sytuację, w jakiej znalazła się matka po śmierci najbliższych i po usunięciu jej z majątku męża przez jego rodzinę, jej siostra nie tylko przyjęła ją z powrotem do rodzinnego domu, oddała izbę oraz komorę do dyspozycji, ale wpłynęła nawet na swoich braci, by współ-

nie zgodzili się na przekazanie jej do użytkowania pola na Wiktoryjce, do czasu załatwienia sprawy Zalipia. Był to gest nieczęsto w tamtych czasach spotykany...

Dzięki tak daleko idącej pomocy swej rodziny matka stała się znów atrakcyjną kandydatką do małżeństwa, z czego skorzystał ojciec.

Rodzice pobrali się i zamieszkali w Łyszkowicach – w „Kącie”, jak to się wtedy popularnie mówiło. Tam urodziła się moja siostra Gienia, tam też i ja się urodziłem i przeżyłem pierwsze dwa lata swego życia.

Oczywiście z tego okresu nic w mojej pamięci nie pozostało, ale dom ten i „naszą” izbę dobrze zapamiętałem z późniejszych lat, gdy już jako uczeń odwiedzałem ciotkę. Prawie codziennie bywałem u niej po śmierci matki, gdy moja nowo narodzona siostra Marysia była tam przez kilka miesięcy wychowywana. Chodziłem tam bardzo chętnie zarówno dlatego, że chciałem pobawić się z siostrzyczką, jak i dlatego, że traktowany byłem jako syn „Kasi” szczególnie serdecznie.

Przede wszystkim ciągnęła mnie tam tęsknota za matką, bo w tym właśnie domu i wśród tych ludzi jej postać rysowała się w mojej pamięci najżywiej. Tam wszystko mi ją przypominało...

Matkę straciłem, mając lat osiem. Jest to taki okres życia, w którym wszystko, co było dotychczas, szybko ulatnia się z pamięci. I ja też szybko i prawie wszystko, co ze wspomnieniem matki się łączy, zapomniałem, choć wcale tego nie chciałem. Przeciwnie – od dnia śmierci matki zawsze pragnąłem, by choć na krótką chwilę, jeśli nie odzyskać ją, to zobaczyć

Niestety, powrót do życia osób zmarłych nie jest możliwy. Nie wraca nawet najbardziej kochana i najlepsza matka, chyba że we śnie. I ja takich snów miałem dużo, bo wiele o niej myślałem i bardzo za nią tęskniłem, choć wcale się

do tego nie przyznawałem. Z upływem czasu, nawet w tych sennych marzeniach, postać matki ukazywała mi się jednak coraz mniej wyraziście, aż i tu jej obraz zatarł się zupełnie.

Rzeczywistych wspomnień o matce pozostało mi niewiele. Zapamiętałem, że miała długie i proste włosy zaplatające w warkocz i że ubierała się tradycyjnie. Nosiła trzewiki sznurowane z wysokimi cholewkami, długie spódnice i chustę „barankową” z włochatej wełny przypominającej owcze futerko. Miała podobno piękny głos, bo nieraz ojciec ją chwalił, że tak ładnie i donośnie śpiewała w kościele na chórze. Była kobietą skromną i cichą, żyjącą w cieniu męża i cieszącą się dwójką swoich dzieci. Twierdzą tak, bo nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek w naszym domu były jakieś awantury lub nieporozumienia rodzinne. Nie przypominam sobie również, aby nas kiedykolwiek karmiła, choć mam powody przypuszczać, iż w jej obecności nieraz zasłużyliśmy na to, bo na pewno nie byliśmy grzeczniejsi niż przy ojcu.

Jej przedwczesna śmierć odcisnęła na moim życiu i na mojej psychice niezatarte piętno. Wierzę, że gdyby żyła matka, to i moje losy, jak i losy całej rodziny, ułożyłyby się inaczej, bardziej pomyślnie. Gdyby nie sieroctwo, zaznane w tak wczesnym dzieciństwie, na pewno umiałbym dziś ze swojego życia bardziej się cieszyć i dostrzegać w nim więcej radości.

Na swoim

Mieszkanie u rodziny w Łyszkowicach, choć było znośne, nie zaspokajało aspiracji rodziców. Do naszej dyspozycji była duża izba mieszkalna i komora, ale chlew (chlewem nazywano pomieszczenie, w którym przebywały wszystkie zwierzęta domowe: krowa, koń, świnie, kury

itd.) był wspólny. Wspólna była również stodoła. Była to więc sytuacja nie bardzo wygodna i przez rodziców traktowana jako przejściowa. Czasem mimowolnie dochodziło do drobnych spięć i nieporozumień, a tych i jedna, i druga strona chciała uniknąć. Dlatego też rodzice, jeszcze przed moim urodzeniem się, myśleli poważnie o usamodzielnieniu się.

Na razie w rachubę wchodziła tylko możliwość pobudowania się na użytkowanym polu na Wiktoryjce. Wszelkie bowiem próby zaczepienia się o „majątek” za Zalipiu okazywały się bezskuteczne. Blitki – bo tak nazywała się rodzina pierwszego męża matki – skutecznie przeciwstawiali się nie tylko wprowadzeniu się rodziców do tamtejszego domu, ale nie pozwalali nawet na użytkowanie części pola, która w odczuciu matki bezsprzecznie jej się należała nawet przy najbardziej niekorzystnym dla niej wyroku w toczącym się właśnie procesie sądowym.

Konflikt z Blitkami przybierał nieraz dramatyczne formy. Wprawdzie do rękoczynów nie doszło, może tylko dzięki temu, że ojciec był sam, a ich było kilku, ale kłótnie i wyzwiska były na porządku dziennym. Rodzice długo nie dawali za wygraną i starali się postawić Blitków przed faktami dokonanymi: upatrzoną dla siebie część pola orali, bronowali i obsiewali, a po ich odjeździe Blitki ponownie zaorywali to samo pole i ponownie obsiewali lub obsadzali. Oni byli na miejscu, na kolejną orkę nie pozwalali, i oni też w ostateczności zbierali plony. Nawet w nocy byli czujni i skutecznie wzbraniali rodzicom wstępu na „swoje” pole, gdy ci i takie próby czynili. W końcu rodzice ulegli przemocy i cierpliwie czekali na ostateczny wyrok.

Niezależnie od rozstrzygnięcia sprawy Zalipia, rodzice dostrzegli walory tych pięciu morgów pola, które „tymczasowo” uprawiali na Wiktoryjce. Ziemia była doskonała, w jednym kawałku, i do tego położona przy trakcie,

jak w tym czasie nazywano szosę Kraków–Proszowice, co miało wtedy kapitalne znaczenie. Szosa była magnesem przyciągającym do siebie, bo tu było inne życie: był ruch, można było coś zobaczyć, a przede wszystkim można było wszędzie dojechać niezależnie od pory roku i pogody. Wiosną lub jesienią, gdy przychodziły roztopy, lub zimą, gdy wszystkie drogi zawaiało, wydostanie się z Łyszkowic, Polekarcic, Wronina – nie mówiąc już o dalszych miejscowościach – było często niemożliwe.

Szosą można było jechać zawsze. Każdy, kto przy niej mieszkał, czuł z tego powodu dumę i podkreślał, że mieszka przy trakcie.

Dziś, po upływie ponad pół wieku od tamtych lat, zmienił się ludzie, zmieniły się pojęcia i warunki. Ta sama droga do Proszowic ma asfaltową nawierzchnię, w Proszowicach się nie kończy, lecz prowadzi dalej do Kazimierzy, Wiślicy i Buska, a mimo to nie stanowi już przedmiotu takiej dumy i zadowolenia dla ludzi mieszkających przy niej. Jej atrakcyjność zmalała, bo równie dobre drogi prowadzą dziś do innych wsi. To, co jest powszechne, pozornie traci na wartości.

Atrakcyjność Wiktoryjki była tylko jednym z czynników mobilizujących rodziców do „stawiania się” tu. Drugim, niemniej ważnym, była i tu chęć stworzenia faktów dokonanych. Jeśli prawowity właściciel zmarł, a pozostałe rodzeństwo matki było już urządzone, zaistniała możliwość zamiany tymczasowego użytkownika na stan bardziej korzystny – na przejęcie tej ziemi na własność.

Moje urodziny zbiegły się z przygotowaniem rodziców do przejścia „na swoje”. Brak środków pieniężnych, potęgowany rozpoczętym i trwającym już kilka lat procesem o Zalipie, zdecydował o rozmiarach i sposobie budowy domu. O nabyciu takich materiałów budowlanych, jak cegła, cement, drewno czy dachówka – nie było mowy.

Zrezygnowano „na razie” z budowy stodoły czy chlewu. Postanowiono wznieść jeden budynek z izbą mieszkalną i pomieszczeniem dla zwierząt, i to z takiego materiału, który byłby za darmo. Takim materiałem była jedynie glina. Miała to więc być najtańsza prowizorka o minimalnych wymiarach, zapewniająca elementarne warunki życia dla „rodziny i gadziny” na krótki czas. Właściwe budynki z odpowiednich materiałów i z pełnym wyposażeniem planowano postawić po wygraniu „sprawy”, tj. po odzyskaniu majątku na Zalipiu i po zwróceniu przez Blitków wszystkich kosztów procesu. Już wtedy bowiem koszty te przekroczyły wartość spornego majątku i dlatego nie mogły być pomijane w przyszłych dochodach.

Ale – jak to często w życiu bywa – okazało się, iż od planu do realizacji droga daleka, a w zakresie budownictwa zdarza się, iż nie ma nic trwalszego niż prowizorki. Tymczasowy dom „przeżył” zarówno matkę, która zmarła przy porodzie mojej drugiej siostry w 1935 roku, jak i ojca, który zmarł 17 lat później – w 1952 roku, a dla mnie pozostał moim jedynym domem rodzinnym. Z opowiadań rodziców dowiedziałem się później, że jako niespełna dwuletni mężczyzna „pomagałem” przy jego budowie, z czego byłem bardzo dumny. Może dlatego m.in. pozostał on zawsze dla mnie bliski i ładniejszy od niejednego domu sąsiada, choć z upływem lat – w miarę jak dorastałem – coraz więcej dostrzegałem w nim technicznych i technologicznych wad.

Jak zaplanowano, tak zrobiono. Surowiec do budowy był na miejscu. Wystarczyło tylko zebrać pół metra wierzchniej warstwy czarnoziemu, a gliny było tyle, ile dusza zapragnie. Pieniędzy do tego nie było potrzeba – natomiast pracy bardzo dużo. Wykopaną glinę ojciec miesił z wodą, a wyrobioną masę wkładał do drewnianych form, z których wyjmował gotowe ciężkie bloki. Zewnętrzne ściany tych glinianych brył wzmocnione były niewielką ilością słomy.

Suszenie na słońcu było ostatnim procesem w ich produkcji. Po tym można było już przystępować do budowy domu. Materiałem zespalającym gliniane bloki w ścianie była również glina, odpowiednio rozrobiona.

Produkcja bloków była bardzo pracochłonna, gdyż wszystkie czynności, od wydobycia gliny, poprzez jej rozrobienie, aż do uzyskania końcowego produktu, trzeba było wykonać ręcznie. Łopata i taczki były jedynymi narzędziami, a taka technika wymagała dużego wysiłku fizycznego. O zatrudnieniu pracowników nie było mowy. Cały ciężar pracy spadł na ojca. Matka, zajęta dziećmi i gospodarstwem, pomagała mu niewiele, dalsza rodzina – jeszcze mniej. I choć do ciężkiego mozołu był przyzwyczajony, ten wysiłek pamiętał długo i często o budowie domu wspominał.

Efektom jego trudu był głęboki dół za domem, skąd wybrano glinę, i sam dom. Mimo że wydawał się on nam wówczas i ładny, i duży – była to tylko jedna izba mieszkalna (spełniająca jednocześnie funkcje kuchni, sypialni i pokoju gościnnego) oraz chlew, do którego wchodziło się bezpośrednio z izby. Obydwa pomieszczenia miały identyczne wymiary 3,5x4,5 m, z czego wynika, że powodów do narzekania na nadmierne zagęszczenie powierzchni mieszkalnej nie było; swoje 4 m² na głowę miał każdy, zarówno człowiek, jak i zwierzę. Te ostatnie mogły jedynie narzekać na brak światła, bo w ich pomieszczeniu przewidziano tylko jedno okienko o wymiarach 25x25 cm, co im jednak w zupełności wystarczało, bo światła do czytania nie potrzebowały, a do żłobu czy koryta i tak trafiały, kierując się nie tyle wzrokiem, co węchem.

Bezpośrednie sąsiedztwo chlewa miało dobre i złe strony. Opieka nad zwierzętami była ułatwiona, gdyż dostęp do nich był wygodny i bezpieczny, niezależnie od pory dnia i panujących warunków atmosferycznych (nawet z zapaloną lampą naftową). Na pewno bezpośrednie sąsiedztwo

zwierząt dawało w mieszkaniu specyficzny zapach, który obcemu mógł się wydawać nieprzyjemny. Dla nas jednak, stale przebywających w tej atmosferze, był on obojętny. Ściana dzieląca izbę od chlewa nie była nigdy zawilgociona, co również wywierało dodatni wpływ na temperaturę panującą w obu tych pomieszczeniach. Bezpośredni dostęp z izby do chlewa, choć znacznie ułatwiał życie i nam, i „gadzinie”, nie był jednak powodem do naszej dumy. Takich rozwiązań nie było nawet w starych domach, gdyż słusznie uważano, że mieszkanie ludzkie od zwierzęcego powinien oddzielać przynajmniej korytarz.

W naszym domu korytarza nie było, ale była „sionka” – przybudówka o wymiarach 1,3x3 m, wykonana z tzw. szlajs, tj. odpadów z desek, przez którą wchodziło się z pola do izby. Była to inwestycja konieczna, ale zrobiona niedokładnie i z nieodpowiedniego materiału. Szlajsy były tak niestarannie przybite i miały tyle szpar i dziur, że nie tylko wiatr się przez nie przeciskał, ale i dorosły kot mógł bez trudu wchodzić do sionki.

Izba miała dwa okna: północne i zachodnie. Z obu był widok na szosę. Wprawdzie znaleźli się doradcy, którzy podpowiadali ojcu, by nie kierował się chęcią obserwowania ruchu komunikacyjnego, tylko tak zaplanował dom, aby w izbie miał słońce, co – jak wiadomo – najlepiej zapewnia okno wychodzące na południe, ale on wiedział, co robi. Pracując stale w polu, słońca miał aż za dużo i nie po to stawiał dom koło szosy, aby na nią nie patrzeć. Inni mu takiej szansy zazdroszczą, a on miałby dobrowolnie z niej zrezygnować? I żeby nie być posądzonym o niedocenianie potrzeby docierania słońca do izby – zaplanował drugie okno, to zachodnie. I słońce było po południu, i miał dodatkowy widok na szosę.

Gliniane ściany były doskonałym przewodnikiem ciepła i wilgoci. O ile w lecie w izbie panował raczej przyjemny

chłód, to zimą skoki temperatury były tu znaczne. Podczas dużych mrozów palenie w piecu kuchennym nie zapewniało utrzymania znośnej temperatury i dlatego na zimę montowało się na środku izby żeliwny piecyk. Jego wydajność była duża, ale tylko w czasie intensywnego w nim palenia. Rozgrzewał się wtedy do czerwoności i nie pozwalał zbliżyć się do siebie. Ale gdy przestawano w nim palić, w izbie robiło się zimno i nieprzytulnie. Najbardziej nieprzyjemne było w tych warunkach poranne wstawanie. Woda nawet w garnkach na kuchni zamarzała zupełnie, a na pojedynczych zawsze szybach w oknach (bo nigdy nie było pieniędzy na wstawienie drugich szyb) narastał szron. Zamarzała również „podłoga” w izbie (było nią zwykłe ubite klepisko, zawsze zalane wodą), a na przemarzniętych ścianach pojawiała się gruba warstwa srebrzącego się szronu.

Widok takiej „syberyjskiej” izby nie zachęcał do opuszczenia względnie przecież ciepłego łóżka, ale ktoś w końcu musiał się przełamać i wstać pierwszy, by rozpać w piecu. Dopóki byłem małym Edziem, nikt nie wymagał ode mnie takiego poświęcenia. Z czasem jednak tym „odważnym” musiałem być właśnie ja, bo ojciec zwykle zimą przewlekle chorował.

Przemarznięte zimą ściany na wiosnę „tajały”, ale praktycznie nigdy nie wysychały. Wilgoć czerpały nieograniczenie z ziemi. Najgorsze były jednak długotrwałe deszcze połączone z wiatrem, które systematycznie rozmywały ich warstwę zewnętrzną i z czasem zagroziły zawaleniem się domu. Taka sytuacja zaistniała w 1937 roku, kiedy po kilkunastodniowych ciągłych opadach, przy jednokierunkowym wietrze, północna ściana straciła połowę swej pierwotnej grubości. Jeszcze dzień–dwa podobnych opadów mógł spowodować jej zawalenie się. Na szczęście deszcz ustał i trzeba było pokryć ubytki ściany cegłą. Dzięki temu koniecznemu zabiegowi kosmetycznemu, nasz dom od

strony szosy przybrał wygląd budynku murowanego i sprawiał wrażenie nowego. W niczym nie poprawiło to jednak warunków życia w nim.

Stale zawilgocone ściany i brak podłogi wpływały nie tylko na obniżanie temperatury w izbie, ale i decydowały o stale panującym tu specyficznym zapachu, spotykanym w pomieszczeniach znajdujących się pod ziemią. Był to zapach pleśni i wilgoci. Przyzwyczajeni do niego, nie czuliśmy go, ale każdy, kto przyszedł z zewnątrz, a mieszkał w drewnianym lub murowanym z cegły domu, zwracał na niego uwagę.

Mimo tych i paru jeszcze innych pomniejszych wad, dom nasz spełniał elementarne wymogi w zakresie mieszkania ludzi i życia zwierząt, a o to przecież rodzicom chodziło przy jego wznoszeniu. Jego wybudowanie zakończyło pierwszy etap naszych inwestycji. Byliśmy na swoim i po swojemu można było zacząć żyć.

– Za tanie pieniądze psie mięso jedzą – powtarzał często ojciec popularne przysłowie. W naszym przypadku było ono w pełni sprawdzalne. Tani dom miał tyle wad, że nawet nie wszystkie dostrzegaliśmy. Wadliwie np. zlokalizowana i wykonana była obora, którym to mianem określano u nas gnojownik, a nie pomieszczenie dla bydła.

Był to okragły, wykopany na głębokość jednego metra dół o średnicy czterech metrów, którego ani ściany, ani dno nie były niczym utwardzone. Dopóki grunt nie nasycił się gnojówką, obornik tu przechowywany zawsze był suchy i „palił się”. Aby temu przeciwdziałać, trzeba go było systematycznie ugniatać, a najlepiej robiła to krowa, codziennie przez kilkanaście minut prowadzana po nim na łańcuchu. Nie był to przyjemny spacer ani dla niej, ani dla jej przewodnika. Krowa grzęzła aż po brzuch, denerwowała się i kręcąc się niecierpliwie wkoło, często nadeptywała na nogę osoby zmuszającej ją do nieprzyjemnego dla niej tańca.

Z czasem gnojówka przestała wsiąkać w ziemię i po każdym ulewnym lub długotrwałym deszczu nie mieściła się w oborze i wyżłobionym korytem swobodnie płynęła w stronę szosy tuż obok wejścia do domu. Staraliśmy się temu przeciwdziałać poprzez budowę prowizorycznej tamy, zawsze jednak z miernym skutkiem. Robiliśmy to bynajmniej nie ze względów sanitarnych, lecz ekonomicznych; niekontrolowany odpływ gnojówki był stratą cennego nawozu. Różne komisje porządkowe, które często nas w tych czasach odwiedzały, żądały zmiany lokalizacji obory i jej obudowania z uwagi na oczywiste naruszanie elementarnych zasad sanitarno-higienicznych. Zaleceniami i groźbami komisji rodzice nie przejmowali się, gdyż ani nie mieli pieniędzy na dodatkowe inwestycje, ani nie widzieli bardziej stosownego miejsca na budowę nowej obory. Przetrwała ona w niezmiennym miejscu i stanie ćwierć wieku, aż do lat pięćdziesiątych, kiedy młoda gospodyni, którą została siostra Gienia, przystąpiła do budowy nowego domu.

O wiele bardziej od nieodpowiedniej obory odczuwalny był brak własnej studni i własnej stodoły. Po wodę trzeba było chodzić do sąsiada Akulenki, a zebrane z pola zboże przechowywać w brodlach i młócić cepami na *ad hoc* przygotowywanym każdorazowo przed domem klepisku.

Straty ziarna zarówno przy układaniu brodla, jak i przy młóceniu w tak nieodpowiednich warunkach były duże, ale nie bezpowrotne, bo wykruszone zboże zjadały kury, których w tym czasie nie trzeba było już dokarmiać. Omłoty zboża kończyły się zwykle wczesną jesienią i to wcale nie z tego powodu, że w brodlach zaczęły rozmnażać się niezliczone ilości myszy, lecz po prostu dlatego, iż zboże potrzebne było do siewu, do mielenia, a przede wszystkim na sprzedaż, bo niezbędne były pieniądze, i to już, bezzwłocznie. Na tym pośpiechu (w sprzedaży, a nie w omłotach) tracono się 1/3 wartości, bo w tym czasie, kiedy my sprzeda-

waliśmy, Żydzi w Proszowicach nie płacili więcej za żyto niż 13 złotych, a za pszenicę 17 złotych za 100 kilogramów, podczas gdy na wiosnę można było wziąć odpowiednio 19 i 25 złotych. Na pieniądze nie chciał jednak czekać do wiosny ani sekwestrator, ani adwokat. Na wiosnę to my byliśmy kupującymi zboże, jeśli oczywiście było za co.

Zalipie

Wybudowanie domu, tj. izby dla ludzi i pomieszczenia dla bydła, zakończyło pierwszy etap naszych inwestycji. Na budowę stodoły, a nawet studni, nie było pieniędzy, bo tych stale brakowało na trwający od lat proces o Zalipie.

Rozprawy odbywały się średnio dwa razy w miesiącu albo w sądzie grodzkim w Proszowicach, albo w sądzie powiatowym w Miechowie, albo wreszcie w sądzie wojewódzkim w Kielcach. W domu o „sprawie” mówiło się stale i bardzo dużo, zarówno w ścisłym gronie rodzinnym, jak i przy okazji odwiedzin krewnych czy sąsiadów. Był to temat zdecydowanie dominujący nad wszystkimi innymi.

Dla mnie, małego w tym czasie brzdąca, był to problem zbyt abstrakcyjny i trudny. Osobiście nie znałem ludzi, o których mówiono, i – prawdę mówiąc – długo nie mogłem zrozumieć, o co tu w ogóle chodzi. Dzień po dniu przysłuchując się jednak prowadzonym rozmowom, z upływem czasu zacząłem coraz więcej rozumieć i kojarzyć sobie poszczególne fragmenty rozmów w spójną całość.

Najdłużej trapiły mnie wątpliwości, co będzie, gdy sprawę wygramy. Trzy i pół morgi ziemi staną się naszą bezsporną własnością, z którą będziemy mogli zrobić, co nam się będzie podobało. Ojciec planował przenieść ją gdzieś tu, na Wiktoryjkę, żeby nie było potrzeby dojeżdżać tak daleko. O przeniesieniu mówił oczywiście w przenośni.

Chodziło mu o zamianę z kimś, kto mieszkał np. w Wielkim Biórkowie, a pole miał w pobliżu nas (takich było w tym czasie kilku), ale ja to rozumiałem dosłownie. Wiedziałem, że każde pole obok naszego stanowiło czyjąś własność i nikt nie pozwoli wcisnąć naszych trzech i pół morgi między nasze a jego pole. Wierzyłem jednak w pomysłowość rodziców i byłem przekonany, że oni coś tu wymyślą. W początkowym okresie sądziłem na przykład, że ziemię z Zalipia przywieziemy i umieścimy ją nad naszym polem na jakimś rusztowaniu, czyli że będzie to przedsięwzięcie drogie i bardzo pracochłonne, a czy tej ziemi, która zostanie „na parterze” nie będzie za ciemno, jeśli „piętro” przesłoni jej słońce? Pocieszałem się jednak, że i na to rodzice znajdą rozwiązanie, a najważniejsze było tylko to, żeby ostatecznie wygrać sprawę i pokazać pierońskim Blitkom, bezprawnie użytkującym nasze pole, że na nic zdały się ich matactwa i sądowe machlojki.

Prawdę mówiąc, nie znałem ani naszych przeciwników w procesie, ani adwokatów broniących interesów stron, ani sędziów, ani też świadków. Z czasem jednak o tych osobach wiedziałem wszystko, choć większości z nich nigdy nie poznałem osobiście, bo rodzice nie zabierali mnie na rozprawę, mimo że o to nieraz usilnie prosiłem. Tłumaczyli mi zawsze, że tam nic ciekawego nie ma do oglądania, a moja obecność tylko przeszkadzałaby im w sali rozpraw.

Wiedziałem, że Blitki są „wredne, chciwe i kute na cztery nogi” i choćby nam przyszło sprzedać ostatnią krowę (a była zwykle tylko jedna) – to trzeba sprzedać i pokazać im, że z Krawcami sprawy nie wygrają, bo racja jest po naszej stronie i takiego pięknego kawałka pola nie można im darować. Nie mieściło się w mojej głowie, jak ci ludzie „Boga i Sądu Ostatecznego się nie bali, krzywo przysięgali i cyganili, ile wlazło, a jak już widzieli, że nic z tego, to

za namową adwokatów nie stawiali się na wezwanie sądu i sprawa znów spadała”.

„Te dranie pierońskie, adwokaty, to tylko patrzą, żeby im dawać i walić, nie pytając wcale o to, skąd biedny chłop ma na to brać pieniądze” – skarżyli się na swój los rodzice. Nie lepsi wcale byli i sędziowie, którzy z kolei siedzieli w kieszeni u adwokatów, jedno z nimi wiedzieli i wspólnie tak sprawę przeciągali, aby się nigdy nie zakończyła, bo dla nich taka sprawa była dojną krową, a tej nikt przecież nie chce się pozbywać, jeśli za darmo daje tak dużo mleka.

Porządnyimi – poza oczywiście moimi rodzicami – byli jedynie świadkowie przez nas powoływani. Ci mówili prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. To drażniło i denerwowało Blitków, sędziów i adwokatów, bo prawda ich w oczy kłuła. Natomiast świadkowie ze strony Blitków byli ludźmi godnymi wiecznego w piekle potępienia za to cyganiecie przed sądem. Nie tylko podawali fakty nieprawdziwe, ale i – gdy tego wymagał interes Blitków – zawsze chorowali lub powiatki do sądu nie otrzymali, byle tylko nie stawić się na procesie. To ich właśnie nieobecność była najczęstszą przyczyną odraczania rozpraw.

Znając taką charakterystykę naszych antagonistów i ich popleczników, wcale nie dziwiłem się opinii wyrażanej przez moich rodziców o tych ludziach, która – nie ma tu co ukrywać – nie była ani dla nich, ani nawet dla ich matek pozytywna. Gdyby jej treść brać dosłownie, to można było przyjąć, że właśnie matki Blitków, ich świadków oraz adwokatów i sędziów były głównymi sprawczyniami naszych kłopotów, na skutek zagniewania Boga swoim niemoralnym prowadzeniem się w przeszłości.

Zarzuty rodziców pod adresem wymiaru sprawiedliwości nie wydają się bezpodstawne. Proces trwający trzynaście lat i nie zakończony jednoznacznym orzeczeniem, a śmiercią jednej ze stron, choć wyjątkiem pod względem czasu trwa-

nia nie był, do normalnych zaliczany być nie może. Czyż można się dziwić, iż odczuwając skutki finansowe i inne celowego przewlekania procesu przez sędziego i adwokatów – pośrednich sprawców naszej biedy – przez długie lata żywiłem uprzedzenie do przedstawicieli tego zawodu, który z uwagi na swoją nazwę zaliczany być powinien do jednych z najbardziej praworządnych i o sprawiedliwość dbających.

Przyznaję, że właściwie do dziś nie znam racji każdej ze stron w tym procesie. Być może było tam dużo pieniactwa lub przynajmniej dużo niesłuszných pretensji. Winę ówczesnego wymiaru sprawiedliwości widzę nie w nieprzyznaniu racji jednej ze stron albo w kompromisowym rozstrzygnięciu sporu, lecz w bezdusznym i celowym jego przewlekaniu. Pamiętam te powroty rodziców „ze sprawy”, rozgoryczonych i rozczarowanych, bo znów nie stał się świadek, a jednocześnie pełnych nadziei, że „w najbliższą środę sprawa musi się skończyć”.

Sytuacja taka trwała lat kilkanaście, z których ja zapamiętałem kilka ostatnich. Przygotowania do kolejnej rozprawy koncentrowały się wokół problemu, jak zdobyć potrzebne pieniądze na jej opłacenie. Potrzeba było każdorazowo od kilku do kilkudziesięciu złotych. I albo sprzedawało się na ten cel niewyrośniętą świnkę, oczywiście po śmiesznie niskiej cenie, albo jeden lub dwa metry (o tym, że powinno się używać określenia kwintal, dowiedziałem się później w szkole) zboża, którego na przednówku – często już w lutym – zawsze brakowało dla własnych potrzeb, albo cztery–pięć metrów ziemniaków, których również nie wystarczało do nowych zbiorów. Czasem ojcu udało się jechać z przekupkami na targ do Krakowa i za „furmaństwo” zarobić niecałe 5 złotych. Wyjazdów tych było jednak niewiele, bo i koń nie zawsze był w domu, i konkurencja przy świadczeniu tych usług była duża, dlatego więc to źródło zarobków nie było ani pewne, ani stałe.

Najczęściej rodzice zmuszeni byli szukać możliwości uzyskania kolejnej pożyczki, co było jednak rzeczą wyjątkowo trudną. W Banku Rolnym i w Kasie Stefczyka byliśmy od lat zadłużeni i za sprawą tych instytucji finansowych zaszczycani byliśmy systematycznie wizytami sekwestраторów z powodu niezapłacenia w terminie zarówno kolejnych rat pożyczki, jak i odsetek. Długi paręsetłotowe, zaciągnięte jeszcze przed moim urodzeniem się dla „pochnięcia sprawy Zalipia”, procesu nie zakończyły, a w latach trzydziestych stały się naszą zmorą. Obok tych dwóch bankowych wierzycieli, równie systematycznie odwiedzało nas kilka osób prywatnych z podobnymi żądaniem, z tym iż ci ostatni zagwarantowane mieli wyższe (właściwie lichwiarskie, bo na kilka procent w stosunku miesięcznym określone) odsetki, przezornie wpisane w nominalną wartość weksli.

Wizyty sekwestраторów i wierzycieli były denerwujące i wymagały od rodziców odpowiedniej taktyki postępowania. Mienie ruchome, które posiadaliśmy, nie przedstawiało prawie żadnej wartości handlowej i o nie byliśmy spokojni. Ale zwierzęta (krowa, czasem koń lub świnia) trzeba było z domu usunąć, by nie zostały zajęte. Czasem przed przyjęciem „gości” rodzice celowo wychodzili z domu i wtedy mnie, pięcio- lub sześciolatkowi przypadał, zaszczyt podejmowania ich. Moje zachowanie w tej sytuacji było proste i bezpośrednie: gości nie prosiłem siadać, niczym ich nie częstowałem, a na pytanie „gdzie ojciec?” odpowiadałem krótko – „nie wiem”. Nie wiedziałem również, kiedy wróci i w ogóle nic prawie nie wiedziałem. Obecność obcego lub obcych w domu oraz nieobecność rodziców wprawiały mnie w stan silnego zdenerwowania: serce biło mi w znacznie przyspieszonym tempie, gardło zasychało i ręce bardzo się pociły. Goście wykazywali czasem nadzwyczajną cierpliwość i nie ceniąc sobie własnego czasu, koniecznie chcie-

li doczekać się powrotu rodziców. Siadali i paląc papierosa jednego po drugim – czekali. Bywało, iż moje złe wychowanie brało górę nad wrodzonym mi poczuciem gościnności i nie zważając na potrzebę bawienia gości rozmową, zmęczony wrażeniami – zasypiałem. Budziłem się na drugi dzień uspokojony i wypoczęty; gości ani śladu, a po izbie kręcili się rodzice. Byłem wtedy bardzo dumny ze swojej wczorajszej postawy. Często jednak okres samozadowolenia trwał krótko, bo znów krzyk: „Sasnal idzie!” paraliżował wszystkich i historia z dnia wczorajszego powtarzała się.

Sasnal był jednym z naszych wierzycieli, szczególnie bezwzględny i konsekwentny oraz szczerze nielubiany. Nie ustawał w nachodzeniu naszego domu i coraz natarczywiej domagał się zwrotu pożyczonych pieniędzy, jakby mu one były niezbędne już teraz na zakup chleba dla dzieci i jakby nie wiedział tego, że proces o Zalipie jeszcze się nie skończył. A przecież powodziło mu się świetnie i mógł nie tylko poczekać z długiem, ale nawet powinien był udzielić następnej pożyczki, bo „na pieniądzach leżał”. Był to jednak zły człowiek i na zwrot długu nie chciał czekać.

Pamiętam, jak ojciec opowiadał, iż w celu uproszenia go o odroczenie terminu spłaty długu, udał się w pewną niedzielę prosto z kościoła do jego domu. To, co tam zobaczył – w naszej ocenie – świadczyło jednoznacznie negatywnie o sposobie życia naszego wierzyciela: Sasnal, zamiast w tym czasie być w kościele, leżał na łóżku, czytał gazetę (nie wiadomo, czy nie jakąś bezbożną), a w garnku na piecu gotowała się kura.

Każde z tych przewinień miało określoną wymowę i nie mogło być obojętne w ocenie trybu życia Sasnala. Na przykład kury w tym czasie jadały u nas ludzie, którym „przelewało się”. Co innego mięso wołowe lub wieprzowe, którego spożycie w określonych przypadkach (poza dniami postu) było rzeczą normalną; zamożniejsi gospodarze zwykle raz

w roku ubijali świnie na własny użytek i – co należało do zwyczaju – najbliższych sąsiadów częstowali kawałkiem mięsa lub kiszki; krowa też czasem „rozdeła się” i trzeba ją było dobić, a część mięsa sprzedać sąsiadom. Kury zaś zabijane i spożywane były tylko wtedy, gdy ktoś poważnie chorował i musiał być leczony kurzym rosółem, a najczęściej, gdy kura była nieuleczalnie chora lub gdy przejechało ją auto na szosie. W innych przypadkach zabicie kury uważane było za przejaw rozrzutności i niegospodarności. Ptaki te hodowało się po to, by nosiły jajka, oraz „dla Żyda”, bo wieprzowiny nie pozwalały mu jeść względy religijne.

Sasnalowi – według opinii rodziców – powodziło się doskonale, mimo że nie miał majątku i żył z procentów od pożyczanych ludziom na lichwiarskich warunkach pieniędzy.

Jego zaskakujące u nas wizyty przeciągały się zwykle do późnych godzin wieczornych i rodzice – jeśli nie zdążyli na czas umknąć z domu – musieli wykazać dużo cierpliwości i dyplomatycznego taktu, by go przekonać, że co prawda dziś pieniędzy jeszcze nie mają, ale w przyszłym tygodniu sprawa się zakończy, Blitki oddadzą grunt i zwrócą koszty procesu i on, Sasnal, otrzyma w całości zwrot nie tylko pożyczonych pieniędzy co do grosza, ale i wszystkie należne mu odsetki.

Kilkusetzłotowe zadłużenie w Banku Rolnym, w Kasie Stefczyka i u paru osób fizycznych nie stanowiło jedynej dziury w naszym domowym budżecie. Mniejsze kwoty, ale egzekwowane z jeszcze większą konsekwencją, pochłaniały różne stałe podatki i opłaty, z których najczęściej wymieniane były: gruntowy i „ogniówka”. Nie przypominam sobie zdarzenia, by rodzice dobrowolnie i w terminie je opłacili. Ich wpłata poprzedzana była zawsze wizytą sekwestratora, a z tym nie było żartów i każda jego wizyta powiększała kwotę należności o dodatkowe koszty egzekucji.

Pieniądze, weksle, procenty, podatki, licytacje i zajęcia oraz dziesiątki innych kategorii ekonomicznych i prawnych były tematami codziennych rozmów i narad rodziców. Pojęcia te, obok takich słów, jak chleb, ubranie, gadzina i pole rozumiałem dobrze od najwcześniejszych lat swego życia.

Kolejna rozprawa w sądzie znów się zbliżała i trzeba było szukać nowego wierzyciela, który zechciałby „zarzucić parę groszy” na dokończenie sprawy, bo w domu nie było już nic, co można by sprzedać, a bez pieniędzy nie było po co iść do adwokata.

Rodzinne debaty na temat tego, do kogo udać się z taką prośbą, co mówić i co obiecywać – znów nie miały końca. Siostra Gienia i ja nic tu nie mogliśmy poradzić, tylko więc pilnie słuchaliśmy rozmowy rodziców i z całego serca życzyliśmy im powodzenia. Od najmłodszych lat wtajemniczani byliśmy we wszystkie problemy rodzinne, zatem zmartwienia i radości rodziców traktowaliśmy jako „nasze”.

Latem 1934 roku rodzice zdobyli się na kolejny wysiłek inwestycyjny: od jeżdżących na cośrodowe jarmarki górali zakupili potrzebne drewno i wystawili stodołę. Skąd wytrzasnęli na ten cel pieniądze, dziś trudno mi określić. Była to niewątpliwie kolejna pożyczka, bo wydawało się, że sprawa Zalipia zbliża się do końca i z jej zwrotem nie będzie większego problemu.

Postawienie stodoły było dla nas wydarzeniem dużej wagi. Miał skończyć się okres marnowania zboża w brodach i poniewierania się po cudzych stodołach, bo z omłotów na prowizorycznym klepisku już wcześniej zrezygnowaliśmy, jako że powodowały one zbyt duże straty ziarna. Poza tym – co również nie było bez znaczenia – posiadanie

własnej stodoły w pewnym stopniu nobilitowało i czyniło z nas prawdziwych gospodarzy.

Postawiona stodoła nie była jednak wykończona: nie była ani pokryta, ani obita deskami. Pokrycie słomą nastąpiło po żniwach i to tylko po jednej stronie, bo na całą nie starczyło słomy. Z drugą stroną trzeba było poczekać do kolejnych żniw. Podobnie zakupionych desek wystarczyło jedynie na obicie połowy jednej szczytowej ściany. W kolejnych latach dokupywano nieco desek, ale do 1941 roku stodoła nie była nawet w połowie obita, bo zawsze pieniędzy brakowało.

24 sierpnia 1941 roku, kiedy wszystkie plony z pola zostały zebrane, ostatni piorun ostatniej w owym roku burzy uderzył w stodołę, w wyniku czego spłonęła ona doszczętnie.

Był to już drugi grom, który wstrząsnął naszym życiem rodzinnym. I choć ten był bardzo głośny i przyniósł nam znaczne straty materialne, to pierwsze uderzenie – mogące być tylko w przenośni gromem nazwane – było o wiele bardziej dla mnie bolesne. Jego echo utkwilo w mojej świadomości i w moim sercu tak głęboko, że do dziś nie mogę o nim zapomnieć...

Bez matki

W roku 1935 byłem już uczniem drugiej klasy Publicznej Szkoły Powszechnej w Biórkowie Wielkim. Nowe obowiązki i nowe środowisko zmieniły moje dotychczasowe życie. Uczniem byłem raczej zdolnym, ale – co tu ukrywać – leniwym. Pozytywne oceny i częste pochwały nauczycieli nie mobilizowały mnie do przykładania się do nauki.

Jeśli jest tak dobrze, to po co się wysilać – usprawiedliwiałem przed sobą własne leniwość poza szkołą. W szkole bowiem byłem uczniem aktywnym i starającym się przyswoić sobie maksymalną ilość wiadomości. Ta właśnie moja aktywność na lekcjach pozwalała mi zwrócić na siebie uwagę nauczycieli, a jednocześnie zyskać wśród kolegów miano kujona, którego już za to tylko nie warto darzyć sympatią. Dobre oceny i pochwały wychowawców przyjemnie łechtały moją próżność, ale na uznaniu kolegów zależało mi bardziej; chciałem być „swój chłopak” i ze wszystkimi żyć w zgodzie.

Moje zabiegi o pozyskanie sympatii kolegów były w pełni uzasadnione. Przez długie lata – gdzieś do piętnastego roku życia – byłem zawsze „kurduplem”, pod względem wzrostu wyraźnie odbiegającym od rówieśników; dopiero jako uczeń czwartej klasy, gdy stanąłem w szeregu z pierwszoklasistami, mogłem w tej grupie zaliczać się do średniaków. A – jak wiadomo – wzrost w tym wieku de-

cyduje o sile fizycznej, ta zaś w naszej szkole była czynnikiem rozstrzygającym o pozycji. Jeśli do tego dodam, że i pod względem wieku byłem najmłodszym uczniem w klasie, gdyż na życzenie ojca rozpocząłem swoją edukację w szóstym roku życia, a niektórzy moi koledzy tak szczegółowo chcieli poznać program nauczania, że i trzeciuroczność w tej samej klasie nie należała do wyjątków – łatwo zrozumieć moje zabiegi o pozyskanie życzliwości silnych. Słabi nie mieli nic do gadania i często musieli świadczyć różne usługi najsilniejszym albo znosić obelgi i bicie.

Szkoła więc i problemy z nią związane zaprzętały w tym czasie mój młody umysł. Sprawy domowe i problemy rodziców zeszyły na plan drugi. W tym wieku jest to zrozumiałe. Niby wiedziałem, co dzieje się w domu, ale interesowało mnie to o wiele mniej niż przedtem. Zauważyłem, iż matka ostatnio coś za bardzo utyla, z trudem wykonywała te same co przedtem domowe czynności. Często kładła się na chwilę w dzień do łóżka, czego dotychczas nigdy nie robiła.

Najbardziej w tym czasie denerwowały mnie zadawane mi coraz częściej przez sąsiadów lub krewnych głupie pytania:

– Edziu, co chciałbyś mieć: braciszka czy siostrzyczkę?

Pytania były dlatego głupie, że mnie osobiście do szczęścia ani braciszek, ani siostrzyczka potrzebni nie byli. Miałem jedną siostrę o cztery lata ode mnie starszą, która nieraz solidnie mi dokuczyła. Po co mi więc było liczniejsze rodzeństwo? Przede wszystkim jednak: skąd miało się u nas wziąć nowe dziecko?

Ci dorośli to zawsze lubią dzieciom dokuczać. Zadają niedorzeczne pytania i bardzo się cieszą, gdy się na nie szczerze odpowiada – myślałem w takich przypadkach i starałem się zawsze dać odpowiedź stosowną do wieku

i pozycji społecznej pytającego. Osobom starszym i powszechnie szanowanym odpowiadałem grzecznie pytaniem na pytanie:

– A wy co byście chcieli – bycka cy jałówcecke?

Różnym zaś dowcipnisiom w młodym wieku i pozostającym w stanie bezzennym odpowiadałem krótko:

– Gównno.

Swoim ciętym językiem nie przysparzałem sobie sympatii, ale na opinii ludzi, którzy świadomie i celowo zadawali mi pytania mające mnie wprowadzić w zakłopotanie, wcale mi nie zależało. Żeby zaś jeszcze dobitniej wyrazić dezaprobatę wobec lekceważenia mojej osoby, po udzieleniu tak wyczerpującej odpowiedzi pokazywałem im często język. Grymas niezadowolenia na ich twarzach odczytywałem jako swój sukces i byłem przeświadczony, iż w przyszłości odechce im się zadawać mi podobne pytania.

Wkrótce miałem się jednak przekonać, iż pytania ciekawych sąsiadów i krewnych nie były wcale bezzasadne. 22 marca 1935 roku wróciłem ze szkoły jak zwykle. Już w momencie przekraczania progu izby zauważyłem, iż w domu coś się wydarzyło. Pierwszą osobą, którą spotkałem, była obca kobieta swobodnie kręcąca się po izbie. Ubrana była świątecznie, ale jakoś dziwnie, gdyż miała na sobie biały fartuch. Najbardziej jednak zaskoczyło mnie jej konkretne pytanie:

– Edziu, chcesz zobaczyć swoją nową siostrzyczkę?

Niecodziennym wyglądem izby, obcą kobietą zachowującą się jak we własnym domu i jej obcesowym pytaniem byłem tak zaskoczony, że w pierwszej chwili nie zauważyłem ani matki leżącej w łóżku, ani ojca siedzącego przy stole. Po prostu – jak to się mówi – zapomniałem języka w gębie i stałem jak wryty.

Obca kobieta, nie zrażona brakiem mojej odpowiedzi, wzięła mnie za rękę i podprowadziła do łóżka. Wtedy do-

piero zauważyłem, że obok matki znajduje się jakieś zawiątko, a w nim żywe, małe dziecko. Było brzydkie i niepodobne do nikogo z naszej rodziny. Matka była jakaś błada i – tak mi się wydawało – bardzo zmęczona. Uśmiechnęła się do mnie i przechyliła ręką dziecko tak, abym mógł je lepiej zobaczyć. Ojciec patrzył na mnie z uśmiechem, który wyrażał zarówno zakłopotanie, jak i zadowolenie.

A więc stało się. Maleństwo, które tak niespodziewanie dla mnie wtargnęło do naszego domu, pozbawiło mnie tytułu najmłodszego członka rodziny. Ten fakt dotarł chyba najszybciej do mojej świadomości.

To przez nie utracę teraz moje nieliczne uprawnienia wynikające z kolejności urodzin, skończy się tolerowanie moich wybryków i w ogóle świat przestanie kręcić się wokół mojej osoby. Do tych smutnych wniosków doszedłem bardzo szybko na podstawie doświadczeń moich rówieśników, którzy mieli to wątpliwe szczęście, że im bocian przyniósł wcześniej siostrzyczkę lub braciszka. Lecz przewidując najbardziej nawet pesymistycznie swój przyszły los, nie przypuszczałem wtedy, iż ulegnie on tak gwałtownej i niekorzystnej zmianie.

Śmierć matki

Życie w domu nadal przebiegało pozornie bez większych zmian. Choroba matki przedłużała się i w związku z tym zwiększyły się obowiązki domowe ojca. To, co dotychczas robili wspólnie z matką – musiał teraz robić sam, a do tego trzeba było zająć się nowym członkiem rodziny. Na szczęście dziecko było zdrowe i spokojne, nie przysparzało więc specjalnych kłopotów. W izbie zjawił się nowy mebel – kołyska.

Po paru dniach zauważyłem jednak, iż ojciec stawał się coraz smutniejszy, a matka często ukradkiem ocierała łzy.

Skończyły się dyskusje o „sprawie”, rozpoczęły się debaty nad doborem rodziców chrzestnych dla dziecka, a przede wszystkim nad sposobem zdobycia kilkunastu złotych, niezbędnych do opłacenia lekarza, którego wizyta u matki okazywała się konieczna. Dwukrotny przywóz akuszerki z Koniuszy, tej samej, którą poznałem w dniu urodzenia się mojej nowej siostry i która – znając sytuację finansową rodziny – zgodziła się poczekać na odbiór należności za swoje usługi, nie wpłynął na poprawę zdrowia matki. W czasie swej ostatniej wizyty akuszerka jednoznacznie stwierdziła, iż stan chorej jest poważny, a przyjazd lekarza – konieczny. Dalsze zwlekanie z jego przywozem może okazać się tragiczne i ona za to nie chce brać odpowiedzialności.

Wygląd matki i jej samopoczucie pogarszały się z każdym dniem. Jej stosunek do nas i sposób jej reagowania na nasze zachowanie się – co zwróciło moją uwagę – widocznie się zmieniły: stała się cicha, zamiast żądać – zaczęła nas prosić zarówno o zachowanie ciszy i spokoju, jak i wyświadczanie jej najprostszych usług. Zauważyłem również, że pewne wydarzenia domowe przestały ją interesować, dużo spała lub udawała, że śpi. Widać było, że bardzo cierpiała. O wstawaniu z łóżka nie było już mowy.

Pieniądzy na opłacenie przywozu lekarza ojciec nie mógł znikąd zdobyć, choć starał się o to bardzo usilnie, ale może nie aż tak, jak tego wymagała sytuacja. Po cichu liczył, iż z pomocą bożą jutro wszystko się zmieni i zdrowie powróci do matki. Sam wychowany w wielkiej pobożności i nas wdrażał od najmłodszych lat do modlitwy. Teraz jednak w modleniu się przechodził sam siebie i nam również nakazywał modlić się gorliwie o powrót mamusi do zdrowia. Bezgranicznie wierząc w skuteczność naszej modlitwy, tak żarliwie prosiliśmy Boga o wysłuchanie i spełnienie naszych próśb, iż wydawało nam się, że jeśli nie dziś, to

jutro mamusia na pewno wyzdrowieje i wszystko powróci w domu do poprzedniego stanu.

Niestety, nasze modlitwy były nieskuteczne. Mimo złego stanu zdrowia matki – a może właśnie dlatego – rodzice postanowili przyspieszyć chrzest nowo narodzonej siostry. Ojciec „puścił telegramę” do swego brata Ludwika (tego, który „wyszedł na człowieka” i był zawiadowcą stacji kolejowej w Babach koło Piotrkowa Trybunalskiego) z prośbą o trzymanie dziecka do chrztu, a na chrzestną matkę poprosił swoją siostrę Marię z Polekarcic.

Chrzest był cichy i skromny. Nie przygotowano żadnego poczęstunku nawet dla rodziców chrzestnych: nie było za co. Stryj przywiózł ze sobą litr wódki, ale nie było jej czym przekąsić. Wyjął więc dwa złote i polecił mi pójść do Niewęgłowskiego i kupić kilo kiełbasy, a za resztę cukierków dla mnie i siostry Gieni. Tę hojność stryja zapamiętałem na długo, bo tak dużego kawałka kiełbasy, jaki przypadł na mnie w tym dniu, nigdy dotychczas nie jadłem. Nigdy też nie miałem takiej ilości cukierków, bo z tych dwóch złotych zostało mi po zapłaceniu kiełbasy aż 20 groszy, którą to kwotą na osobiste wydatki nie dysponowałem nie tylko przedtem, ale i długo jeszcze potem. Zjadając ze smakiem kiełbasę i cukierki, zauważyłem jednak, iż pozostałym biesiadnikom – mimo częstego krążenia kieliszka – humory wcale się nie poprawiały. Rozmowa prowadzona była bez żadnego ożywienia i często się urywała. W sumie chrzcinny minęły w smutnym nastroju i trwały bardzo krótko. Ciotka, chrzestna, wróciła do własnego domu, a chrzestny – korzystając z pobytu w rodzinnych stronach – udał się do najstarszego brata, Walka, gospodarującego na ojcowiznie w Polekarcicach. W domu wróciło wszystko do normy, tj. do niepewności i nastroju przygnębienia wynikającego z ciężkiego stanu zdrowia matki.

Po upływie dwu lub trzech dni od chrzcina, kiedy mimo naszych błagalnych modlitw stan matki nie tylko że się nie polepszył, ale jeszcze pogorszył, ojciec wybrał się do Proszowic po lekarza. Przed jego wyjazdem rodzice uzgodnili między sobą, że gdy przyjdzie moment, kiedy lekarzowi powinno się zapłacić za wizytę, matka przypomni sobie, iż pieniądze przygotowane dla niego pożyczyła wczoraj swojej siostrze, o czym zapomniała powiedzieć ojcu. Doktor zostanie przeproszony i otrzyma przyrzeczenie, że należność dostanie w najbliższym czasie. Rzekome pożyczenie pieniędzy siostrze było oczywistym kłamstwem i rodzice długo zastanawiali się, czy wolno im popełnić taki grzech. Ale innego wyjścia nie było.

Jak uzgodniono, tak zrobiono. Lekarz okazał się człowiekiem zarówno wyrozumiałym, jak i szczerym. Po zakończeniu oględzin matki nawet nie zareagował na perspektywę otrzymania zapłaty w przyszłości, z całą zaś otwartością oświadczył ojcu, iż wyczekując przeszło trzy tygodnie od dnia porodu i obserwując biernie pogarszający się stan zdrowia matki, doczekał się tego, iż teraz potrzebny chorej jest tylko ksiądz, bo on – lekarz – nie może tu już nic pomóc.

Niestety, lekarz rzeczywiście nie mylił się. Co prawda do dnia dzisiejszego nie wiem dokładnie, co było bezpośrednią przyczyną śmierci matki. Na ten temat w domu się nie mówiło. Ale czy to teraz jest ważne?

Ojciec i bez rady lekarza nosił się z zamiarem przywiezienia do matki księdza. Jakżeż często bowiem w potocznych rozmowach sąsiedzkich przytaczano podobno autentyczne przypadki radykalnej poprawy stanu zdrowia różnych osób po wizycie księdza.

– Kto się z Panem Bogiem pojedna, to prędzej wyzdrowieje, niż po wizycie doctora, bo ci to tylko pieniądze umieją brać – kończył zwykle swoje opowiadanie o wyzdrowieniu Iksa lub Igreka życzliwy sąsiad lub znajomy.

Nie czekając więc na dalsze rady, ojciec zmienił pościel na łóżku matki, chorą umył, wspólnie sprzątnęliśmy izbę, na stole położono przechowywany zawsze na takie okazje stary, ale czysty obrus, „pasyjkę” oraz gromnicę i pojechał do Biórkowa Wielkiego po księdza. W tym czasie ja z siostrą mieliśmy zrobić porządek z sobą: umyć się i włożyć najlepsze odzienie, jakie mieliśmy. Zgodnie z tym poleceniem siostra wdziała świąteczną „subę” i uczesała się, a ja włożyłem świeżo wypraną koszulę i... nic więcej, bo nic nadającego się do włożenia na taką okazję nie miałem; ubranie, w którym chodziłem na co dzień, nie nadawało się do pokazania księdzu. Z biciem serca i duszą na ramieniu oczekiwaliśmy na przyjazd osoby będącej dla nas symbolem Dobry, Litości i Nadziei.

Wizyty księdza w naszym domu przeżywałem już kilka razy. Miały one miejsce corocznie z okazji jego chodzenia po kolędzie i choć dom nasz nie stanowił żadnego wyjątku pod tym względem, bo ksiądz odwiedzał po kolei wszystkich sąsiadów, przeżywałem to wydarzenie aż do silnego pocenia się rąk i zasychania w gardle. Kolęda kończyła się przyjemnym akcentem: i zadany mi przez księdza fragment modlitwy wyrecytowałem bez zająknięcia, i zawsze dostałem jakiś święty obrazek, który miał mnie strzec od wszelkich pokus i złych myśli, a często również proboszcz sięgał do kieszeni w sutannie i pachnącą ręką dawał mi cukierka. Nic więc dziwnego, że rękę całowałem zawsze chętnie, podobnie zresztą jak i wszyscy pozostali domownicy; była pulchna, delikatna i silnie owłosiona.

Tym razem jednak wizyta księdza proboszcza miała inny, jeszcze bardziej uroczysty charakter. Przyjeżdżał tylko do naszego domu i to nie sam. Ojciec przed wyjazdem uprzedził nas, że ksiądz przyjedzie do mamusi z Panem Jezusem i dlatego mamy się modlić, być czysti i grzeczni. Nic więc dziwnego, że wszystkie zalecenia wykonywaliśmy dokład-

nie, bacząc, by nikt nie miał nam później nic do zarzucenia, choć zapewne przez każde z nas przywóz do domu księdza rozumiany był inaczej. Między nami były cztery lata różnicy i dziecko dwunastoletnie inaczej rozumie i przyjmuje wydarzenia, w których uczestniczy, niż dziecko ośmioletnie. Trudno mi więc przedstawić, co w tym czasie myślała moja siostra.

Ja zaś ówczesny pobyt księdza w naszym domu zapamiętałam dość dokładnie. Dziś trudno mi odpowiedzieć, dlaczego tak utkwił mi on w pamięci. Może na tej samej zasadzie, że zwykle dorosły człowiek nie może sobie przypomnieć, co jadł wczoraj na obiad – doskonale zaś pamięta, jak ubrany był nauczyciel w dniu, w którym po raz pierwszy znalazł się w szkolnej ławie? Zapamiętałam więc, że przyjazd księdza zastał nas przed domem i tam przez dłuższy czas pozostawaliśmy, podczas gdy ksiądz w tym czasie przebywał u mamusi w izbie. Do naszego domu przyszli sąsiedzi, szczególnie dużo było kobiet. Potem zostaliśmy poproszeni do mieszkania; na stole paliła się gromnica i obecni bardzo głośno zaczęli śpiewać: *Kto się w opiekę...* Wszyscy byli wzruszeni, wiele osób płakało.

Jeśli mam być szczery, to w tym czasie doznawałem dość złożonych uczuć. Z jednej strony byłem świadom choroby mamusi i chwilami aż mnie dławiał płacz, tak żal mi było i jej, i ojca, i siostry, i siebie. To były te przejawy myślenia rozumnego. Chwilami jednak nawiedzały mnie myśli i uczucia dziecinne i wtedy odczuwałem coś w rodzaju dumy, że to właśnie do nas przyjechał ksiądz, że tyle ludzi do nas przyszło, wszyscy patrzą na nas i dostrzegają, że jesteśmy grzeczni, pobożni i że u nas w izbie jest tak czysto i ładnie...

Ksiądz Głuszek, po odmówieniu jakiejś modlitwy po łacinie i drugiej modlitwy po polsku wspólnie z zebranymi, podszedł do nas i rozpoczął krótką rozmowę. Znałem go,

bo poza tym, iż był proboszczem w naszej parafii, uczył mnie w szkole już drugi rok religii. Ale w szkole to było co innego; tam byłem jednym z wielu, zwracał na mnie uwagę jedynie wtedy, gdy odpowiadałem na zadawane mi pytanie lub gdy podkręcał mi ucho, kiedy coś zbroiłem. Tu mówił do mnie bezpośrednio, był w naszym domu i mógł spostrzec coś, co później wykorzystałby przeciwko mnie na lekcji religii. Wszystko to bardzo mnie onieśmiewało, ale na szczęście ksiądz nie oczekiwał ode mnie teraz żadnych odpowiedzi. Z tego, co wtedy mówił, zapamiętałem – później jeszcze wielokrotnie słyszane przy okazji pocieszania różnych ludzi w tragicznych dla nich sytuacjach – dwie sentencje: „Kogo Pan Bóg kocha – tego doświadcza” oraz „Kogo Pan Bóg sobie upodoba – tego wcześniej do siebie zabiera”. Ponieważ myśli te wypowiedziane zostały w zamiarze pocieszenia nas, mogę obecnie stwierdzić, iż – przynajmniej w stosunku do mnie – zadanie to spełniły. Prawda, że lęk przed utratą najbliższej mi osoby pozostał, ale po takich argumentach zacząłem godzić się – przynajmniej chwilowo – z wolą bożą. Jakiś zdrętwiały i otepiały uczuciowo i umysłowo czekałem już teraz na najgorsze...

Następnego dnia poszedłem do szkoły jak zwykle. Gdy z niej wróciłem, w domu znów był nastrój uroczysty: wszyscy płakali, a na ławie przy łóżku matki paliła się gromnica. Nikt nie kwapił się dawać mi czegoś do jedzenia, choć byłem bardzo głodny, tylko ojciec wziął mnie za rękę, zapłakany podprowadził do łóżka matki i cicho wyszłochał:

– Pożegnaj się z mamusią!

Świat zawirował mi przed oczami. Natychmiast zapomniałem o głodzie, poczułem, jak serce zaczęło mi łomotać i zrobiło mi się duszno. Świat stał się dla mnie jakiś inny niż dotychczas, obcy i niezrozumiały.

Promienie słońca, wpadające do izby przez zachodnie okno, przybrały postać grubych, złotych nici wełnianych,

a Matka Boska na wiszącym nad łóżkiem obrazie jakoś dziwnie na mnie spojrzała i zdawało mi się, że mnie spytała:

– I co ty, Edziu, teraz w życiu będziesz robił?

Przytuliłem się do białej, wychudzonej, spoconej i jakby bezwładnej ręki matki i nie pamiętam, czy rękę tę wtedy ucałowałem. Poczułem, jak powoli i delikatnie ręka ta spoczęła na mojej głowie. Gdy spojrzełem na twarz matki, zauważyłem, iż była ona spokojna i bardzo blada, aż sina...

Gdzieś po godzinie ojciec zdjął z matki pierzynę, wyciągnął spod jej głowy poduszkę i oba te przedmioty wyniósł na strych, gdzie wisiały przez parę dni. Potem kazał nam wyjść z izby, a gdy wróciliśmy, matka leżała na łóżku przykryta jedynie prześcieradłem, wcześniej specjalnie w tym celu wypranym i wyprasowanym.

Ze zdziwieniem stwierdziłem olbrzymią zmianę w moich uczuciach do matki: do czasu wyjścia z izby na łóżku tym leżała osoba mi najbliższa, normalna, najbardziej mi życzliwa i niezawodna; taki sam człowiek jak ja, ojciec lub siostra. Po powrocie do izby, pod prześcieradłem wyczuwałem obecność ciała tak bardzo mi drogiego, ale jednocześnie innego, tajemniczego i budzącego we mnie lęk.

Pierwszą noc po śmierci matki spędziliśmy u Baranków.

Następnego dnia koło południa wróciliśmy z siostrą do pustego domu. Baliśmy się wejść do izby i krążyliśmy cierpliwie pod oknami, które w tym dniu wyjątkowo były otwarte. W chwilę później nadjechał ojciec, wioząc pachnącą sosną i farbą jasnobrazową trumnę. Jej widok oraz wygląd ojca, zmęczonego, nieogolonego od kilku dni, z podkrążonymi od niewyspania i płaczu oczami, spowodował u mnie nowy przyływ żalu i rozpacz.

Nazajutrz odbył się skromny pogrzeb. Zapamiętałem dobrze kilka momentów z tego dnia: wynoszenie trumny z izby, drogę do kościoła, niesienie trumny z kościoła na cmentarz oraz spuszczenie jej do grobu; najtragiczniejsze były dla mnie chwile ostatniego pożegnania matki nad grobem. Mimo upływu wielu lat od tego dnia, nie mogę jeszcze dziś spokojnie i rzeczowo o tym pisać. Zapewne był to pogrzeb podobny do dziesiątków i setek innych odbywających się na tym biórkowskim cmentarzu; przez kilka lat uczęszczania do tutejszej szkoły powszechnej wiele z nich miałem okazję oglądać. Pogrzeb własnej matki jest jednak w swym tragizmie niepowtarzalny. Najbliższa osoba umieszczana jest w drewnianej skrzyni, spuszczana do głębokiego dołu i zasypywana ziemią. Znika na zawsze, bo nigdy już nie wróci do rodzinnego domu, nie popatrzy na swoje dzieci, nie pogłaszcze ich po głowach, nie przemówi...

W dniu tym coś się we mnie załamało i nagle o kilka lat stałem się starszy. Zrozumiałem, iż okres mego dzieciństwa został nagle i brutalnie skrócony, a właściwie się zakończył. Każdy człowiek, a szczególnie dziecko, zawsze jednak stara się znaleźć jakieś argumenty przemawiające za tym, że mimo wszystko życie nadal potoczy się jak dotychczas. W tych smutnych chwilach myślałem więc o tym, że pozostał mi dobry i kochający mnie ojciec, siostry oraz dalsza rodzina i środowisko w którym żyłem. Starłem się nie patrzeć w tym czasie na nikogo, aby nie widzieć twarzy najbliższych i aby samemu przy tym nie uzewnętrzniać swego bólu. Podobno mi się to nawet udawało, bo często później słyszałem opinie: „a Edziu to był naprawdę dzielny, nawet za dużo nie płakał”.

Wypowiadający takie opinie nie wiedzieli, jak dużo kosztowało mnie to wysiłku. Może gdybym się był wtedy wyplakał, to później, w miarę upływu czasu, nie wracałbym

myślami tak często do przeżyć tego dnia, jak i do wspomnień o matce w ogóle...

Z upływem lat obraz matki zacierał się w mojej pamięci coraz bardziej. Żyjąc zawsze w długach, rodzice nigdy nie pozwolili sobie na taki luksus, jak zrobienie pamiątkowego zdjęcia, ani w dniu ślubu, ani przy żadnej innej okazji. Po matce nie pozostała więc żadna jej utrwalona podobizna. Wtedy o tym wcale nie myślałem. Ale już po paru miesiącach brak ten zacząłem odczuwać, a w miarę upływu lat chęć zobaczenia matki stała się moją obsesją; dziś nawet za najbardziej zniszczoną i wypłowiałą jej fotografię oddałbym bardzo dużo.

To, co po matce pozostało, to tylko podniszczone części jej ubrania, których nie potraktowano jako pamiątek po niej i jako nie przedstawiające większej wartości użytkowej – zostały zniszczone, świąteczne zaś ubranie zmarłej wykorzystano jako strój do trumny. Jedyna wartościowa rzecz, jaka pozostała po matce, to barankowa chusta, która długo jeszcze służyła starszej siostrze jako wierzchnie okrycie i dodatkowo – w przypadku nocowania obcej osoby w domu, co zdarzało się dość często – jako przykrycie śpiącego zamiast pierzyny. W końcu całkowicie wyeksploatowana, podzieliła los wszystkich przedmiotów zbędnych w domu.

I to jest bardzo smutne, bo potrzeba było tak niewiele wysiłku, by zachować te przedmioty, które po kilku czy kilkadziesiąt latach stałyby się dla każdego członka rodziny rzeczą tak cenną. Błędne i szkodliwe jest pokutujące tu i ówdzie przeświadczenie, że tylko ludzie „wielcy” zasłużyli sobie na to, by zbierać i gromadzić dokumenty ich życia i działalności. Błędne i szkodliwe dlatego, że „wielkim” człowiekiem dla każdego dziecka powinni być w pierwszej kolejności jego matka i ojciec, którzy dali mu życie i poświęcili najwięcej serca i pracy. Już tylko za to zasłużyli sobie, by z największą pieczołowitością pielęgnować po nich

zarówno pamięć, jak i różne materialne przedmioty z ich życiem związane.

Dlaczego trzeba było umierać?

Do dnia dzisiejszego, mimo upływu lat, nie mogę pogodzić się z tak tragiczną i – nie ma tu czego ukrywać – niepotrzebną śmiercią matki. Każda inna przyczyna zgonu byłaby dla mnie łatwiejsza do przebolewania: gruźlicę, rażenie piorunem, utonięcie czy jakieś inne nieszczęśliwe zdarzenie można sobie jakoś wytłumaczyć. Ale ten przypadek? Poród odbył się przecież normalnie i nic nie zapowiadało, że nastąpią komplikacje. Wystarczyło jedynie w odpowiednim czasie przekazać matkę pod opiekę lekarza. Prawda, medycyna nie dysponowała wtedy takimi lekami, jakimi są obecnie różne antybiotyki, ale z tego, co wtedy zrozumiałem, a później z opowiadań ojca wynikało, nawet te środki i metody leczenia, jakie wtedy stosowano, były wystarczające do zapobieżenia katastrofie. Być może źródłem choroby były panujące w naszym domu warunki higieniczne, być może – niefachowość położnej. Tym bardziej szybka interwencja lekarza była konieczna.

Stosunek ojca do matki przed chorobą i w czasie jej trwania, a szczególnie rozpacz po jej śmierci oraz całe jego dalsze życie „dla dzieci”, wykluczają jakąkolwiek myśl o świadomym zlekceważeniu sprawy.

Dlaczego więc do takiej tragedii doszło? Pytanie to ciśnie mi się na usta od wielu lat, ale pełnej i obiektywnej odpowiedzi nie mogę sobie tu udzielić.

Na pewno nałożyły się tu zarówno przyczyny obiektywne, jak i uleganie panującym wówczas poglądom, iż „jakoś to będzie”. Spróbujmy przynajmniej ustalić i zrozumieć niektóre z nich.

Lata, które upływały od opisywanej tu tragedii, tak radykalnie zmieniły realia współczesnej wsi polskiej, że nawet dla mnie wszystkie opisywane tu zdarzenia i fakty, które staram się wiernie odtworzyć, wydają się malowane zbyt czarnym kolorem. Dlatego też każde napisane zdanie czytam po kilka razy i gdzie mogę – dodaję jaśniejszego koloru. Porównuję warunki życia zarówno na wsi, jak i w mieście, przed wojną i obecnie.

Zdaję sobie sprawę, jak trudno jest dyskutować z kimś chwającym „dawne, dobre czasy”, kto żył w rodzinie dysponującej miesięcznym dochodem np. 400 zł, podczas gdy niektórzy moi sąsiedzi byli szczęśliwi, gdy udało im się w sezonie znaleźć zatrudnienie „na pańskim” i za całodzienne (od świtu do zmroku) np. pielenie buraków zarobić 80 gr, a najwyżej 1 złoty. Całomiesięczny zarobek dróżnika Stefańczyka wynosił 55 zł, podczas gdy marginalny bądź co bądź dodatek dla oficera zawodowego, który rezygnował z usług ordynansa, był tylko o 5 zł niższy. W stosunku zaś do naszej rodziny i większości rodzin nam podobnych dróżnik Stefańczyk był w czepku urodzony i był „pan” (choć tak naprawdę nigdy nie przestał być chłopem), bo zarabiał „zimą–latem” przeszło 2 zł dziennie, a pracę miał lekką i słoneczny zegar go nie obowiązywał.

A więc w trudnej sytuacji ekonomicznej widziałbym pierwszą przyczynę zwlekania z przywozem lekarza do matki. Finansowanie permanentnie trwającego procesu o Zalipie i rozpoczęcie w poprzednim roku budowy stodoły wyczerpały nasze możliwości na tyle, że zdobycie nawet paru złotych na opłacenie wizyty lekarza było rzeczą prawie niemożliwą. Koniec marca w 1935 roku był w naszym domu okresem już w pełni przednówkowym.

Przednówek, tj. pora, kiedy wyczerpywały się wszystkie zapasy pochodzące ze zbiorów roku poprzedniego, zjawiał się u nas regularnie z nastaniem wiosny. W tym roku

nadszedł wyjątkowo wcześniej. Skończyły się nie tylko ziemniaki i mąka, podstawowe środki żywienia rodziny, ale skończyły się również buraki i słoma dla zwierząt, co było najbardziej dokuczliwe. Człowiek jest istotą rozumną; jeśli nie ma co jeść, to przynajmniej nie krzyczy. Poza tym zjeść potrzebuje niewiele, tyle, by oszukać głód. Ale krowa? Nic jej nie można wytłumaczyć, ona musi jeść, i to dużo. Tym bardziej że była w tym czasie cielna i jednocześnie dawała jeszcze dziennie litr mleka, które stanowiło dla nas podstawowy środek wyżywienia, zastępujący słoninę, cukier, mąkę. Co prawda dojenie tak wysokocielnej krowy pomniejszało szanse na uzyskanie dużego i tłustego cielaka oraz ujemnie wpływało na jej mleczość po wycieleniu, ale co mieliśmy robić – byliśmy w sytuacji przymusowej.

Krowę traktowaliśmy jako domownika i dbaliśmy o nią, jak tylko mogliśmy. Gdy tylko w oziminach pojawiły się pierwsze chwasty (tych nigdy na naszych polach nie brakowało, bo żadnych chwastobójczych środków wtedy nie znaliśmy i stosowana agrokultura była niska), a szczególnie oset – z zapalem brałem koszyk i nóż i całe godziny „plewiłem” zboże. Korzyść z tego była podwójna: zmniejszała się ilość chwastów w zbożu i była „omasta”, zielona i pożywna, dla krowy. Tylko „omasta”, bo mimo mego wielogodzinnego trudu, tych pożywnych skarbów zbierałem niewiele. Do nakarmienia krowy potrzeba było czegoś więcej. Tymczasem w domu nie było nawet źdźbła słomy, nie mówiąc już o koniczynie (nie mając łąki – siana nie mieliśmy nigdy). Jediną słomą, jaka była w domu, były snopki stanowiące pokrycie dachu; z wierzchu poczerniałe i zbutwiałe – w środku zachowały jednak swe pierwotne właściwości. Nie było innej rady, trzeba było sięgać po te „zapasy” i kolejno zdejmować snopek po snopku z nie wykończonej stodoły. W stodole zresztą i tak nic nie było, więc powiększanie się przestrzeni nie pokrytego dachu nie

dawało tu żadnych ujemnych skutków. Zresztą była to tylko pożyczka, bo po żniwach pokrywanie dachu stodoły zostało ostatecznie zakończone.

O wyjątkowo trudnej sytuacji świadczyć może i ten fakt, że ziemniaki w tym pamiętnym dla mnie roku sadziliśmy dopiero 5 lipca, kiedy normalnie jadało się już młode „jonówki”. Po prostu nie było za co kupić potrzebnych do sadzenia dwustu kilogramów ziemniaków i czekaliśmy, aż około 25 czerwca ociełiła się krowa i po tygodniu za cielę otrzymaliśmy 18 złotych. Pieniądzy tych wystarczyło na zakup sadzenia i oddanie proboszczowi długu za pogrzeb matki. Sadzenie tak późno ziemniaków było przedsięwzięciem ryzykownym, bo mogło już z nich nic nie wyrosnąć. Sąsiedzi nawet ojcu radzili:

– Macieju, nie sadźcie tych ziemniaków, bo wam z nich już nic nie wyrośnie. Za późno!

Ojciec jednak przezornie rad nie posłuchał, ziemniaki posadził, bo „Pan Bóg jest miłosierny i nie pozwoli, żeby sieroty nie miały co do gęby włożyć” oraz „byłby wstyd, żeby taki kawał dobrego pola leżał odłogiem przez cały rok”. I rzeczywiście – zbiory ziemniaków w tym roku były nie niższe niż w innych latach, kiedy sadzone były w maju.

Ale to tylko szczegóły mówiące o wyjątkowo trudnej sytuacji materialnej, w jakiej w tym czasie znajdowała się nasza rodzina. Świadczą one na pewno o jednym: kwota kilkunastu złotych w tym tragicznym kwietniu 1935 roku była dla nas sumą olbrzymią i praktycznie – nieosiągalną. Co prawda mieliśmy liczną rodzinę, sąsiadów i znajomych, u których należało szukać pomocy. I niewątpliwie ojciec – choć później niechętnie o tym nawet wspominał – szukał wtedy różnych możliwości pożyczania pieniędzy, ale bezskutecznie. Przyczyny były w zasadzie dwie.

Po pierwsze, „jak święto, to wszędzie święto”. Wszyscy w tym czasie odczuwali trudności i choć sytuacja nie była

tak jak u nas tragiczna, to wszystkim było ciężko i nikt pieniędzy na pożyczenie nie miał. Po drugie – trzeba to obiektywnie przyznać – byliśmy od lat stale i wielostronnie zadłużeni i jako tacy nie budziliśmy zaufania, że kolejną pożyczkę spłacimy w terminie. Wszyscy naszą trudną sytuację rozumieli, wszyscy nam współczuli, ale jak ktoś otrzymał konkretną propozycję: „Pożycz!” – odpowiadał:

– Nie mam, zrozumcie, nie śmierzę nawet groszem!

Rozumiał naszą sytuację również ksiądz proboszcz i zgodził się zarówno na obniżenie kosztów pogrzebu do 7 złotych, jak i poczekał na odbiór należności przeszło dwa miesiące.

Trudna sytuacja materialna, w jakiej znalazła się nasza rodzina w tych pamiętnych dla mnie miesiącach wczesnej wiosny 1935 roku, była przyczyną główną, ale nie jedyną tak tragicznego w skutkach zwlekania z przywozem lekarza do matki. Ostatecznie rok ten nie był znów aż tak wyjątkowy, choć ze wszystkich dotychczasowych – najtrudniejszy. Były i inne przyczyny, wśród których – tak mi się obecnie wydaje – ówczesny sposób traktowania w naszym środowisku różnych przypadków chorobowych odegrał poważną rolę.

Upraszczając, mogę stwierdzić, iż rozróżniano trzy grupy chorób, z których każda wymagała innego sposobu po- traktowania: suchoty, rozmaite przypadki urazów wymagające pomocy chirurga oraz wszystkie pozostałe choroby.

Suchoty były oczywiście chorobą najgroźniejszą. Każda wiadomość o nowym przypadku zachorowania na tę chorobę była dla najbliższych informacją straszną. Obecnie może tylko przypadki złośliwych nowotworów wywierają podobne wrażenie. Słowo „suchoty” oznaczało zawsze nieuchronny koniec określonej osoby i podobny los w niedalekiej przyszłości niejednego członka jej rodziny, bo zaraźliwość tej choroby była ogólnie znana. Panowało

przekonanie, że suchoty są nie do wyleczenia nawet u ludzi, których stać było na kosztowną terapię. A tych w całej okolicy było naprawdę niewielu. Koszty leczenia przekraczały możliwości nawet średnio zamożnych pięcio-, dziesięciohektarowych gospodarzy.

Dla ogromnej większości chłopów mało- i bezrolnych każdy przypadek gruźlicy rodził konieczność godzenia się z losem i oczekiwania pomocy boskiej, bo na inną nie liczone. Jeśli z chorym udawano się po poradę do znachora lub lekarza, to tylko „dla uspokojenia sumienia”. Podobnie jak suchoty traktowano również zapalenie płuc, gdyż i na tę chorobę nie znano skutecznego leku, a umierało na nią corocznie wiele osób.

Wszystkie przypadki złamań, zwichnięć, ciężkich pobić (te miały miejsce najczęściej na zabawach, odpustach, weselach i przy sąsiedzkich porachunkach) starano się opatrzyć w ramach własnych możliwości lub przy pomocy doświadczonych sąsiadów. Do lekarza wieziono poszkodowanego w przypadkach już naprawdę poważnych, i też najczęściej „po dwunastej”.

Poza suchotami, zapaleniem płuc i wszelkiego rodzaju przypadkami chirurgicznymi pozostawała oczywiście cała masa różnych chorób. Wszystkie one traktowane były raczej jako dolegliwości mniej groźne, z którymi organizm chorego winien był radzić sobie sam. W ramach tej grupy chorób wyróżniano te, których objawami były: ból głowy, wysoka temperatura i ogólne złe samopoczucie.

Objawy te traktowano jako nieomylny znak zauroczenia chorego przez kogoś, kto takie złe zdolności posiadał. A takich osobników, najczęściej kobiet, co to bądź przez złośliwość, bądź też przez bliższe kontakty z siłami nieczystymi, bądź wreszcie na skutek wrodzonych ku temu predyspozycji mieli moc urzekania, nigdy nie brakowało. Niektórzy osobnicy byli z tego znani i przed ich spojrze-

niem można się było zabezpieczyć. Wystarczyło tylko zrobić na czas znak krzyża i dyskretnie popluć w różne strony świata. Zabieg był skuteczny i chronił zarówno ludzi, jak i zwierzęta przed indywidualnym chorobotwórczym spojrzeniem złego osobnika. Ale jeśli człowiek nie znał osoby zdolnej zauroczyć lub przegapił moment, w którym należało wykonać zabieg zabezpieczający, to nieszczęście było gotowe. Nic więc dziwnego, że przy takiej epidemii zauroczeń, popyt na usługi związane z odczynianiem uroków był duży. Na szczęście chyba co czwarta kobieta umiała przeprowadzić odpowiedni zabieg. Terapia pozornie była prosta, bo polegała jedynie na potarciu odpowiednich części ciała chorego (czoło, nos, usta) lub podaniu mu do wypicia sporządzonej specjalnie w tym celu mikstury. Cała trudność zasadzała się na wyprodukowaniu, a właściwie na doborze odpowiednich składników tego lekarstwa. Podstawowe były znane: woda święcona, jakaś odmiana węgla drzewnego (mogły to być np. opalone zapalki, zwęglone kawałki drewna wyjęte z pieca, itp.) i kawałki chleba. Trzeba było dobrać tylko składniki pozostałe, w każdym przypadku inne, dostosowane zarówno do sprawcy, jak i ofiary zauroczenia, bo tylko właściwa struktura składników „lekarstwa” dawała rękojmię skuteczności zabiegu. Niestety, wypadki nieskutecznych terapii zdarzały się dość często, co bardzo godziło w dobre imię znachorów amatorów.

Nieskuteczność leczenia amatorskiego była wodą na młyn znachorów zawodowych. Tych było oczywiście znacznie mniej, a takich, którzy mieli większą sławę i rozgłos niż wszyscy trzej praktykujący w Proszowicach lekarze, w całej okolicy było tylko kilku. Wspominając dzisiaj wypowiedzi, jakie wówczas krążyły na temat skuteczności metod leczenia stosowanych przez lekarzy i różnych znachorów, muszę przyznać, iż ci drudzy byli mistrzami reklamy. Nie mogę sobie co prawda przypomnieć, aby ktoś z moich znajomych

został wyleczony przez znachora w przypadku tak ciężkiego stanu, kiedy lekarz uznał się za bezsilnego, ale pamiętam, że na ten temat krążyły najbardziej fantastyczne opinie, z których wynikało, że jeśli ktoś może pomóc beznadziejnie choremu, to tylko ten czy ów znachor.

W porównaniu ze znachorami lekarze nie cieszyli się tak dobrą opinią. Składały się na to różne przyczyny. Główną była chyba ta, że lekarza przywożono do chorego za późno, kiedy nawet najlepszy specjalista nie mógł już nic pomóc. Wizyta lekarza u chorego zbiegała się często z wizytą księdza i była dla rodziny i sąsiadów zapowiedzią śmierci pacjenta. Zdarzały się jednak przypadki, że po tych wizytach chory poczuł się lepiej, a czasem zupełnie wyzdrowiał. Taki pomyślny przebieg choroby przypisywany był jednak nie terapii zleconej przez lekarza, lecz „przyjęciu przez chorego Pana Jezusa” i „woli bożej”. Jego śmierć zaś przypisywana była bezradności lekarza. Z mimowolnej konfrontacji lekarz-ksiądz ten ostatni zawsze wychodził zwycięsko, bo to i pocieszył w nieszczęściu, i porozmawiał jako znajomy i znający sytuację opiekun parafii, a o tym, co zauważył złego, nawet nie wspominał. Lekarz nie dość, że nie znał realiów, to jeszcze mówił to, co naprawdę myślał: wypominał anty-sanitarne warunki w jakich przebywał chory, żądał zapewnienia pacjentowi lepszej opieki, odpowiedniego wyżywienia, czysty, świeżego powietrza oraz zakupienia przepisanych leków. Ksiądz, jeśli tylko zastał chorego jeszcze przy życiu, był zadowolony i chwalił rodzinę za troskę o duszę cierpiącego, natomiast lekarz najczęściej nie mógł się powstrzymać od zwrócenia uwagi za spóźnione jego wezwanie i karygodne warunki, w jakich przebywał chory.

Oplata za wizytę, koszty związane z zakupem leków oraz wysłuchanie szczerzej opinii na temat troski o krewnego – tak przeciwnej miłym słowom księdza – pozostawały długo w pamięci rodziny i sąsiadów. Było więc rzeczą lo-

giczną, że takiego gościa zapraszano w przyszłości jeszcze później lub wcale.

Jak w świetle nakreślonej powyżej przeze mnie charakterystyki różnych chorób i metod ich leczenia postrzegany był poród? Myślę, że będę najbliższej prawdy, jeśli powiem, że nie był u nas wtedy traktowany jako choroba. Ciąża, poród i związane z nimi problemy uważane były za tematy naturalne, lecz wstydlive, o których tylko kobiety mogły w swoim gronie rozmawiać. Ich publiczne roztrząsanie było niedopuszczalne, bo to i dzieci słuchały, i przy tej okazji mężczyźni zwykle robili głupie aluzje, zawsze prowadzące do grzesznych skojarzeń. A grzech, jaki można tu było popełnić – chociaż tylko myślą lub słowem – zawsze miał charakter grzechu śmiertelnego i dlatego też starano się nie stwarzać okazji do jego popełnienia.

Kobiety rzeczą było rodzić i cierpieć. W cierpieniu tym mogła ona liczyć jedynie na fachową pomoc akuszerki, którą uważano za wystarczającą. Poród odbywał się zawsze w domu. Nie pamiętam przypadku, by któraś ze znanych mi kobiet udawała się rodzić do szpitala. Również przyjazd lekarza do rodzącej bywał wydarzeniem wyjątkowym i ostatecznym po wyczerpaniu wszystkich możliwości akuszerki i po odczekaniu, czy organizm nie upora się sam z chorobą. Zwykle więc tak spóźniona interwencja lekarza nie pomagała już chorej. Tak było właśnie z matką.

Bierne, trzytygodniowe wyczekiwanie na poprawę stanu jej zdrowia doprowadziło do tragedii: na naszych oczach gasła i zmarła najbliższa i najdroższa mi osoba, pozostawiając troje małoletnich sierot. Czyż można się dziwić moim obecnym przekonaniom, iż czas drugiego dziesięciolecia naszej międzywojennej rzeczywistości był okresem, którego nie można mile wspominać?

Śmierć matki pogorszyła i tak już trudną sytuację naszej rodziny. Pamiętam, jak nazajutrz po pogrzebie matki odwiedziły nasz dom dwie dorosłe już córki najstarszego brata ojca, Walka, i – rozejrzawszy się po naszej izbie – stwierdziły w rozmowie ze sobą:

– No, rozkoszy to już te sieroty w życiu nie zaznają.

Rzeczywiście, ani przytulnie, ani dostatnio nasza izba w tym czasie nie prezentowała się. Bieda wyglądała z każdego kąta. Po usłyszeniu tego stwierdzenia kuzynek miałem ochotę zarówno płakać i krzyczeć z żalu za matką, jak i zbić je za ujawnioną szczerość i za wyrazy litości. Wtedy odczułem, jak przykre mogą być słowa prawdy, nawet jeśli wypowiedane są pod wpływem autentycznego współczucia i solidarności. Opanowałem się jednak i udałem, iż ich nie zrozumiałem.

Będziemy mieć macochę?

Życie po pogrzebie matki biegło w domu pozornie bez zmian. Niemowlę przebywało u ciotki w Łyszkowicach, dokąd zwykle co drugi dzień udawałem się w odwiedziny sam lub z ojcem. Trudno mi dziś powiedzieć, co bardziej mnie tam ciągnęło: serdeczne traktowanie przez wszystkich członków tamtej rodziny, czy też rosnące z dnia na dzień przywiązanie do młodszej siostrzyczki. Żeby zaś jak najmniej myśleć o matce, zabrałem się z zapałem do nauki w szkole i do pomocy ojcu w domu. Oba te kierunki mojej wzmożonej aktywności zostały wkrótce dostrzeżone. Szczególnie ojciec, nieskory z zasady do pochwał, teraz nie mógł ukryć swego zadowolenia i wszystkim powtarzał:

– Patrzcie, jaki pracowity jest ten mój Edziu, gówniarz ma dopiero osiem lat, a wszystko robi jak dorosły.

Bardzo cenilem sobie te pochlebne opinie ojca, byłem z nich dumny i jeszcze bardziej przykładałem się do pracy. W niej widziałem zapomnienie o swoim smutnym losie, a wyręczając ojca w różnych domowych czynnościach, chciałem mu się i przypodobać, i dodać otuchy, że wszystko będzie dobrze i że sami też w życiu nie zginiemy.

To „sami” z upływem czasu stawało się dla mnie coraz ważniejsze. Już bowiem po kilku tygodniach od pogrzebu matki zaczęli niektórzy przyjaciele ojca w potocznych rozmowach wspominać, iż „...trzeba wam się będzie, Macieju, rozglądnać za jakąś kobietą, bo bez kobiety żyć nie dacie rady. Wam potrzebna jest gospodyni i żona, dzieciom – matka”. Przez parę lat ojciec na takie rady miał tylko jedną odpowiedź:

– Spróbuję na razie żyć sam. Nigdy nie wiadomo, kogo człowiek weźmie do domu, dzieci muszą podrosnąć, żeby im macocha nie robiła krzywdy. Każda jest dobra, dopóki się nie ożeni (żenili się i mężczyźni, i kobiety – słowo „zamążpójście” było nieznane), a potem to myśli tylko o sobie i o swoich dzieciach. Nie mógłbym spokojnie wyjść z domu, gdybym nie był pewny, że moim dzieciom nikt krzywdy nie robi. Nie, na razie nie myślę o żeniaczkę. Poczekam, zobaczę...

Nie lubiłem tych rozmów o ponownym ożenku ojca, wydawały mi się one profanacją pamięci matki i zawsze niecierpliwie czekałem, żeby dorośli zmienili temat. Byłem wdzięczny ojcu za takie stawianie sprawy, choć nie wszystko tu rozumiałem. W każdym razie nie dopuszczałem nawet myśli, że mógłbym obcej kobiecie powiedzieć „mamusiu” i że ona miałaby do ojca jakieś prawa.

Zdecydowanie negatywne stanowisko ojca w kwestii ponownego ożenku trwało około trzech lat. Po tym okresie różni swatowie nie natrafiali już na tak jednoznaczną jego odpowiedź. Ojciec zaczął się wahać, dopuszczał do słów-

nego prezentowania mu różnych kandydatek i propozycji. Ale do wybuchu wojny konkretnych kroków w tym kierunku nie czynił, a może tylko ja nie o wszystkich jego poczynaniach w tym zakresie wiedziałem?

Już jednak sam fakt godzenia się ojca na przedstawianie mu różnych propozycji matrymonialnych był dla mnie bardzo przykry, ale mimo to, a może właśnie dlatego, z największą uwagą przysłuchiwałem się rozmowom dorosłych, którzy również całkowicie pochłonięci byli tematem i nie zwracali uwagi na nas, dzieci. A temat był rzeczywiście i obszerny, i ciekawy: gdzie i jak mieszka kandydatka, ile ma lat, ile morgów, jaką rodzinę, kto kogo będzie spłacać, jak wygląda, co prezentuje swoją osobą, itp. Poszczególne punkty tej słownej ankiety personalnej przedstawiam w kolejności ich znaczenia. Sprawom majątkowym poświęcano jednak najwięcej uwagi, szczególnie gdy swat starał się uatrakcyjnić swą propozycję w przypadkach tych kandydatek, których walory osobiste (wiek, stan rodzinny, wygląd, opinia społeczna o sposobie prowadzenia się i obyciu towarzyskim) nie były mocną ich stroną. Swat nie zapomniał również nigdy podkreślić, że jego mocodawczyni jest dobra, łagodnego charakteru, a przede wszystkim gospodarna, pracowita i kochająca dzieci, obce nawet bardziej niż własne.

Prowadzenie tak poważnych rozmów odbywało się czasem przy kieliszku, choć ojciec z zasady był mało pijący. Tylko parę razy w życiu widziałem go podchmielonego i za każdym razem wstydzilem się za niego i miałem do niego żal za wprawienie się w taki stan. Ojciec był w tym okresie mego życia dla mnie kimś doskonałym i wzorem do naśladowania. Nikt, jak on, nie był tak mądry, szlachetny, uczynny i ludziom życzliwy. Całą miłość, którą zwykle dziecko żywi do obojga swoich rodziców, ja kierowałem ku jego osobie. Tym niechętniej więc obserwowałem krą-

żenie kieliszka przy swatowskich okazjach, a samych swatów – sprawców picia i rozmów na tematy matrymonialne – szczerze i głęboko nienawidziłem. Podobnie zachowywała się w tych sytuacjach moja starsza siostra Gienia.

Ojciec jednak tylko pozornie nie zwracał uwagi na nas w czasie wizyty swata. To nam się tylko wydawało, że jest całkowicie pochłonięty rozmową. W rzeczywistości bacznie obserwował nasze zachowanie i naszą obecnością czuł się skrępowany. Mówił raczej mało, więcej słuchał i w stosownych momentach starał się zmieniać temat. Nam, dzieciom, nie przychodziła do głowy myśl, by nie przysłuchiwać się rozmowom starszych i by w tym czasie wyjść z domu i zająć się własnymi sprawami. Również i ojciec nie pomyślał nigdy o takim prostym rozwiązaniu. Było to wynikiem panującego powszechnie zwyczaju dopuszczania dzieci do wysłuchiwania rozmów na wszystkie tematy dotyczące spraw domowych i rodzinnych. Uczestnictwo w niektórych rozmowach dorosłych na pewno nie wywierało pozytywnego wpływu na nasz rozwój psychiczny, ale z tego sobie wówczas zupełnie nie zdawaliśmy sprawy, a każdą propozycję opuszczenia izby, w czasie gdy znajdował się w niej ktoś obcy, z kim prowadzono ciekawe rozmowy, uważaliśmy za zamach na nasze prawa.

Służąca

Opisywane rozmowy na tematy związane z ponownym ożenkiem ojca miały miejsce dopiero około 1938 roku. Na razie, w kilka tygodni po śmierci matki, istniała pilna potrzeba rozglądnięcia się za jakąś kobietą, ale jeszcze nie kandydatką na żonę i matkę, lecz po prostu za fachową siłą roboczą. Bez kobiety prowadzenie gospodarstwa i domu było niemożliwe. Szczególnie w domu odczuwalny był jej

brak. Ojciec umiał wypiekać chleb i sam robił to zawsze, nawet gdy żyła matka. Gorzej było z gotowaniem posiłków, praniem, naprawą ubrania i bielizny. Poza tym nie można było obciążać rodziny matki stałym wychowywaniem najmłodszej siostry. Opiekę w Łyszkowicach miała dobra, ale na dłuższą metę stan taki nie mógł trwać.

Kandydatek na służące w tym czasie nie brakowało. Samotnych kobiet i kobiet z nieślubnymi dziećmi („bąkami”) bez mieszkań i bez stałych źródeł utrzymania było dużo. A tu wakowało stanowisko, choć z jednej strony niezbyt atrakcyjne, bo i słabo płatne, i związane z koniecznością zamieszkania w mało komfortowych warunkach, i wymagające pracy zarówno w polu, jak i w domu przy trójce dzieci, ale z drugiej strony był to „etat” – jak to dziś można by powiedzieć – z perspektywą. Gospodarz był młodym, niespełna czterdziestoletnim wdowcem, który na pewno będzie chciał zmienić swój stan cywilny. Istniała, a w każdym razie tak można było przypuszczać, realna perspektywa zamiany z czasem statusu służącej na stanowisko gospodyni i żony. Życie pod jednym dachem, a nawet w jednej izbie, i możliwość wykazania się posiadanymi walorami w życiu na co dzień, tę metamorfozę mogły tylko ułatwić.

Nic więc dziwnego, iż wkrótce nasza sąsiadka Łachowa, zwana potocznie Łasyną, a zamieszkała na Stokach we Wroninie i posiadająca dwumorgowy kawałek ładnego pola przylegającego do naszego, oznajmiła ojcu, iż ma dla nas służącą, jaką tylko można sobie wymarzyć: starsza, ale w pełni sił, czterdziestosiedmioletnia, od lat na służbach, pracowita i zaradna wdowa mająca czwórkę dzieci dorosłych i samodzielnych, mieszka w Górcie Jaklińskiej i nazywa się Szydłowska. Zaprezentowane walory kandydatki przez znaną z solidności i prawdomówności Łasynę sprawę przesądziły. Ustalono, że omówienie szczegółów zwią-

zanych z zatrudnieniem nastąpi w naszym domu w dzień Bożego Ciała.

W przeddzień tego święta w izbie i w obejściu zrobiliśmy generalne sprzątanie, a ojciec wyprał nasze koszule oraz poszwy i prześcieradła na łóżkach. W wyznaczonym dniu, około godziny dziesiątej, w drodze z kościoła po mszy porannej, Łasyna przyprowadziła Szydłowską. Zarówno goście, jak i domownicy byli zdenerwowani, lecz uśmiechnięci. Atmosfera spotkania szybko jednak przestała być sztywna i oficjalna, a to dzięki swobodnemu sposobowi bycia Łasyny. Sąsiadka znana była jako kobieta umiejąca dostosować się do każdego towarzystwa. Nie unikała żadnego tematu i czasem nawet mężczyźni nie dorównywali jej w opowiadaniu dowcipów, i to również tych „pieprzonych”.

Było ciepło i słonecznie. Po wstępnym zaprezentowaniu izby, chlewa i obejścia, cała rodzina i goście wyszli w pole, gdzie szczegółowo obejrzano stan poszczególnych plantacji i omówiono plany niezbędnych prac polowych. Dało się zauważyć, iż Szydłowskiej dom i gospodarka spodobowały się i że zna się na gospodarskich sprawach. Swoim wyglądem i zachowaniem wzbudziła naszą sympatię i dlatego cieszyłem się myślą, że już wkrótce stanie się naszym domownikiem.

Dalsze pertraktacje na temat warunków pracy i płacy trwały krótko i przebiegły w przyjaznej atmosferze. Jeśli chodzi o zakres prac i obowiązków, to ustalono, iż do zadań służącej należeć będzie to wszystko, co w każdym domu robi gospodyni. Za tę nie ograniczoną ani przedmiotowo, ani czasowo pracę nabywała ona prawo do bezpłatnego wyżywienia i zakwaterowania na prawach członka rodziny oraz do wynagrodzenia w wysokości siedmiu złotych miesięcznie. Na koniec ustalono, iż z uwagi na potrzebę bezwłocznego zajęcia się domem, dziećmi i zaległymi praca-

mi w polu, nie ma potrzeby zwlekać i najpóźniej pojutrze, tj. w sobotę, Szydłowska przyniesie swój ruchomy dobytek i przystąpi do pracy.

Jak ustalono, tak zrealizowano. W umówiony dzień rano Szydłowska przyniosła swój mały tobołek i o nic nie pytając, rozpoczęła życie w naszym domu. Z upływem czasu coraz bardziej przekonywaliśmy się, iż Łasyna nic nie przesadziła przy wstępnym opiniowaniu naszej służącej. Zyskała ona moją sympatię już w dniu pierwszej wizyty u nas, a po krótkim czasie wspólnego życia stała się moim powiernikiem, a z czasem i obrońcą. W stosunku do nas była zawsze troskliwa i wyrozumiała, mimo że my niekiedy, czy to z dziecinnej głupoty, czy z braku odpowiedniego wychowania, w stosunku do niej nie byliśmy w porządku, a nasze postępowanie było często naganne. Sami będąc – nie ma tu co ukrywać – dziadami, w swoim przeświadczeniu byliśmy „gospodarzami”, ona natomiast – zawsze służącą. To społeczne zróżnicowanie przejawiało się zwykle w detalach, które dziś wydają mi się śmieszne, ale wtedy uważaliśmy je za bardzo istotne. Na przykład sprawa jedzenia.

Wszyscy domownicy jadali zawsze to samo (jeśli ktoś tu wyróżniał się, to raczej tylko ja, gdyż byłem najbardziej wybredny i często nie smakowało mi to, co wszyscy jedli z apetytem). Pod tym względem nie było więc żadnych różnic. Ale już miejsce przy jedzeniu świadczyło o hierarchii w rodzinie. Stół, zawsze jeden i ten sam, zbity z niedokładnie oheblowanych i niesamowicie porźniętych desek (przy krojeniu „swojaka” do palenia), stał przy północnym oknie, skąd był najlepszy widok na szosę. Honorowym miejscem przy nim była jego prawa strona, na stałe zarezerwowana dla ojca. Naprzeciwko ojca, po lewej stronie stołu, miejsce okupowałem ja, a pośrodku, twarzą do okna, siedziała Gienia. Prawo zasiedzenia działało tak silnie, że nawet pod nieobecność jednego z nas nikt na „cudzym” miejscu

nie siadał, mimo że miałby na to ochotę. Dla Szydłowskiej miejsca przy stole nie było i nawet jej na myśl nie przychodziło siadać przy nim, choć czasem była taka możliwość. Dla niej była tylko ława przy łóżku lub parapet zachodniego okna, na którym mogła postawić swoją miskę, jeśli ta za bardzo parzyła jej ręce.

Pełne natomiast równouprawienie panowało w zakresie spania, co nie wynikało wcale z naszych demokratycznych przekonań, lecz z istniejących warunków mieszkaniowych. W izbie były dwa łóżka stojące naprzeciwko siebie pod przeciwległymi ścianami. Na jednym spałem ja z ojcem, na drugim – starsza siostra ze służącą. Później, po opuszczeniu kołyski, do kobiecego łóżka przybyła trzecia lokatorka – Marysia. I w jednym, i w drugim łóżku słoma była jednakowo ostra i – przy braku siennika i odpowiedniego prześcieradła – jednakowo złośliwie drażniła ciała śpiących. Pod względem spania nikt nie czuł się ani lepszy, ani gorszy.

Szydłowska, kobieta która „z niejednego pieca chleb jadła” (w sensie zarówno dosłownym, jak i w przenośni), nawykła do roli służącej, nie zwracała uwagi na szczegóły świadczące o jej podrzędnej pozycji społecznej w naszej rodzinie. Uważała, że tak być musi, a nawet twierdziła, że u nas czuje się najlepiej ze wszystkich domów, w jakich przyszło jej dotychczas służyć. O swoich poprzednich chlebobawcach zawsze jednak wyrażała się dodatnio, choć z jej opowiadań wynikało jednoznacznie, że dotychczasowe jej życie różami usłane nie było. Nigdy nie posiadała własnego domu ani własnego kąta nawet, wdową została dość wcześnie i musiała wychować czworo dzieci.

Jej córka była w tym czasie już mężatką, mieszkała „na komornym” w Górcie Jaklińskiej i utrzymywała rodzinę z dochodów za dorywczą pracę męża u bogatszych gospodarzy. Również najstarszy z synów był już żonaty i praco-

wał jako fornał we dworze. Dwóch młodszych synów (17 i 14 lat) służyło u gospodarzy w Karwinie i w Wierzbnie, byli więc też już „samodzielni”.

Wkrótce poznaliśmy wszystkie dzieci Szydłowskiej, gdy na zmianę, w kolejne niedzielne popołudnia, zaczęły odwiedzać swoją matkę. Szczególnie wzruszające i przykre było każde spotkanie Szydłowskiej z jej najmłodszym synem. Był to chłopiec mały, zabiedzony i bardzo skromnie ubrany – dziecko jeszcze. Wygląd jego spracowanych dłoni wskazywał jednoznacznie, iż już od kilku lat ciężko fizycznie pracował na własne utrzymanie. Jego zaś opowiadania o tym, co robi, jak mieszka, co je, jak i ile sypia wzruszały nawet nas, przyzwyczajonych również do surowych warunków życia i takich samych metod wychowawczych. Nie w pełni zdawaliśmy sobie tylko sprawę z tego, co przeżywała matka, słuchając tych wynurzeń swojego najmłodszego dziecka, które – z braku innych możliwości – musiała oddać na służbę i wychowanie obcym ludziom, zamiast otoczyć je opieką i posłać do szkoły.

Starsze dzieci Szydłowskiej podczas odwiedzin zachowywały się bardzo powściągliwie i nie opowiadały jej już tak szczerze i dokładnie o „rozkoszach” swojego życia. Może im było nieco lżej, a może po prostu nie chciały jej martwić swoimi problemami? Odwiedzali matkę przede wszystkim z pobudek uczuciowych, choć odnosiłem wrażenie, że i córka, i żonaty najstarszy syn liczyli na to, że matka – mająca u nas bezpłatne utrzymanie – „odpali” coś ze swoich zarobków, bo im było ciężko wyżyć ze swymi rodzinami z własnych zarobków, a „matce przecież pieniądze na nic nie były potrzebne”.

Naiwni, nie wiedzieli o tym, że ich matka bezpłatne utrzymanie rzeczywiście miała, ale z otrzymywaniem należnej „pensji” sprawa komplikowała się, bo w naszym domu było w tym czasie dno kryzysu, złośliwie przeciąga-

jące się nie tylko na kolejne miesiące, ale i lata. Na szczęście kobieta przywiązała się do nas i nie robiła problemu z tego, że gdy nadchodził kolejny termin wypłaty, zamiast tych skromnych siedmiu złotych dostawała od ojca tylko zapewnienie, iż otrzyma swoją należność, gdy tylko „podezwie coś grosza”.

Od czasu do czasu trzeba było jednak dać coś Szydłowskiej *a conto* zaległych poborów, żeby sobie kupiła nowy fartuch lub spódnicę, bo te stałe elementy jej garderoby najczęściej się zużywały.

Szydłowska była naprawdę dobrą i wyrozumiałą kobietą. Choć była tylko służącą, jak umiała i mogła, starała się zastąpić nam matkę. Przesłużyła u nas do 1942 roku, kiedy Gienia stała się blisko dwudziestoletnią panną, a ja też już zupełnie inaczej zacząłem patrzeć na świat i życie. Przyczyną jej odejścia nie była jednak ani jej zbędność w domu, ani niska płaca, ani nieterminowość wypłat, ani ciężka praca i trudne warunki życia. Po prostu – choć tego wyraźnie nigdy nam nie powiedziała – przyzwyczaiła się do nas, dzieci, i do ojca. Niewykluczone, że „przyzwyczajenie się” do niego przybrało jakąś specyficzną formę i było bardziej złożone? Może i sam ojciec coś tu zawinił i swoim postępowaniem rozbudził w niej nadzieję na pozostanie u nas na stałe już w innym charakterze? Jeśli nawet tak było, to działało się to poza naszą dziecięcą, zawsze przecież tak przenikliwą, świadomością.

Z czasem doszło do tego, że gdy w pierwszych latach okupacji ojciec usilnie dążył już do znalezienia sobie żony, a nam matki – Szydłowska zdecydowanie przewodziła domowej grupie opozycyjnej, stanowczo sprzeciwiającej się tym zamiarom ojca. Jej odejście – przynajmniej w moim odczuciu – było niepotrzebne i obustronnie bardzo przykre. Przez siedem lat zżyliśmy się z sobą, staliśmy się dla siebie osobami bliskimi. Dzień jej odejścia był dla mnie i dla

Gieni jednym z najsmutniejszych dni w życiu. Szczególnie dramatyczne było pożegnanie Szydłowskiej z Marysią, którą jak matka pielegnowała od pierwszych miesięcy jej życia. Dramat był jednostronny, bo siedmioletnia siostra niezupełnie jeszcze zdawała sobie sprawę z konieczności rozstania się ze swoją opiekunką.

Rozstanie to przeżywał również ojciec, zupełnie jednak inaczej i z innego powodu. On był jedyną osobą, która pragnęła odejścia Szydłowskiej, bo nie mógł pogodzić się z jej próbami ingerowania w jego życie osobiste.

– Co ona, służąca, ma tu do gadania? Nie pozwolę, żeby mi dyktowała, czy mam się żenić, czy nie – ni to skarżył się, ni to manifestował swoją niezależność ojciec.

Opinie sąsiadów i rodziny były podzielone. Niektórzy solidaryzowali się z ojcem, bo uważali, że jako dobry gospodarz i ojciec przez tyle lat męczył się samotnie i nie zasłużył sobie na to, by żenić się ze starą służącą lub też na stałe pozostać wdowcem. Inni zaś stali na stanowisku „czego ten Maciek szuka: chorowity, dzieci dorastają, a on chce się z młodką żenić, żeby tylko awantury i obraza boska były w domu. Ma pod ręką co prawda starszą, ale doświadczoną, pracowitą i dobrą kobietę, która – jak matka – wychowała mu dzieci, o niego dba i co – ona mu nie odpowiada?”.

Najliczniejszą grupę stanowili jednak tacy „życzliwi”, którzy z jednakowym zapałem przyznawali rację jednej i drugiej stronie – w zależności od tego, z kim rozmawiali. Dla nich nasze rodzinno-matrymonialne problemy stanowiły pewną formę rozrywki i celowo dolewali oliwy do ognia. To dzięki tym ludziom zarówno ojciec, jak i Szydłowska nabierali przekonania, że tylko ich racje są słuszne, jeśli znajdują tyłu bezstronnych zwolenników. Gdyby nie było tych „życzliwych” kibiców i nieszczerých rad, to chyba ojciec nie wykazywałby takiego uporu w zamiarze pozbycia się Szydłowskiej, swoje szanse ożenku traktowałby bardziej

realnie i prawdopodobnie życie w naszym domu potoczyłoby się bez zmian przy obecności Szydłowskiej, może nadal jako służącej, a może już jako pełnoprawnej gospodyni...

Niestety, zaistniała taka sytuacja, że coś musiało się zmienić. Decydował ojciec, który skończył w tym czasie już 47 lat i coraz częściej i coraz poważniej zaczynał chorować. „Życzliwi” i tu wykazywali swoją troskę o ojca.

– Macieju, gdybyście mieli żonę, to ona na pewno by was wykurowała, bo wam tylko dobrej baby potrzeba.

Ojciec – w swoim przekonaniu – nie mógł nie wierzyć tak życzliwym radom. Astma dawała mu się coraz dotkliwiej we znaki, często brakowało mu powietrza w płucach i po niewielkim wysiłku musiał odpoczywać. Na dodatek z nadejściem zimy w jego gardle wyrastał potężny wrzód, który dosłownie i dokładnie – dopóki nie pękł – zatykał mu krtań. Cierpiąc tak strasznie, nigdy nawet nie pomyślał, by udać się po poradę do lekarza, bo nie wierzył w skuteczność takiej pomocy. Wcale nie wykluczał zaś możliwości, że gdyby się ożenił, to mógłby się pozbyć niejednej choroby...

Widać było, że bardzo chciałby odmienić swój los i to poprzez wyszukanie sobie odpowiedniej towarzyszki dalszego życia, młodszej i bogatszej od Szydłowskiej. Jej kandydatura na żonę nie wchodziła w jego planach w rachubę, dla niej zaś stanowisko służącej przy nowej gospodyni było również nie do przyjęcia. Uważała – i temu chyba nie ma się co dziwić – że swoją siedmioletnią pracą, ofiarną i prawie bezpłatną – zasłużyła sobie na inny los...

Wobec tak rozbieżnych celów i postaw nie było innego wyjścia, niż ostateczne rozstanie się.

Pobyt Szydłowskiej w naszym domu przypadł na ten okres mojego życia, który najtrwalej zapisał się w mojej pamięci. To, co było przedtem, pozostawiło w mojej świadomości zbyt nikły ślad, z upływem lat coraz bardziej blednący. To zaś, co nastąpiło potem, przeżywałem już bardziej

dorośle i świadomie; choć pod względem rozwoju fizycznego nadal jeszcze byłem dzieckiem, wcale nie dziecinny był już mój pogląd na świat i bardzo niechętnie przyjmowałem każdy przejaw traktowania mnie jak dziecko.

Dziś z pełnym przekonaniem mogę stwierdzić, iż taka opiekunka jak Szydłowska była dla nas skarbem i dzięki niej moje dzieciństwo było lepsze, niż mogło być bez niej. Choć była kobietą niepiśmienną, dzięki dużemu doświadczeniu życiowemu i życzliwemu stosunkowi do ludzi, potrafiła nawiązać z nami serdeczny, macierzyński wprost kontakt i korzystnie oddziaływać na formowanie się naszych postaw.

Każdy dzień mojego życia w tym czasie, choć szary, nieciekawym i pozornie podobnym do poprzedniego, był dla mnie lekcją życia. Moje poglądy i przekonania kształtowały trzy uzupełniające się środowiska: dom, sąsiedzi i szkoła.

Gdzieś, w dalekim świecie, rozwijała się w tym czasie gwałtownie technika i cywilizacja oraz zaczęły pojawiać się sygnały zapowiadające nieuchronne zbliżanie się wojny. Coraz częściej dorośli wymieniali nazwisko jakiegoś Hitlera, mówili o zbrojeniu się Niemiec i rozważali nasze szanse w przyszłej z nimi wojnie. Tematy te zaczęły mnie interesować i niepokoić, bo ciągle jeszcze słyszałem opowiadania o okropnościach poprzedniej wojny, a tu szykuje się nowa?

Na moje szczęście straszny i grabieżczy Hitler był daleko, a my – według zgodnej opinii wszystkich – potężni. Mogłem więc zapominać o grożącym nam niebezpieczeństwie i zajmować się tym, co mi przynosił dzień powszedni, oraz poddawać się opiniom środowiska, w którym żyłem. Dom rodzinny, przykład osobisty i sposób myślenia osób mi najbliższych, oparty na panujących zwyczajach i tradycji, wywierały na mnie wpływ decydujący.

Życie codzienne

Kto rano wstaje...

Dom nasz pod względem zamożności i stanu sanitarnego oraz wyposażenia zaliczany był na Wiktoryjce – w moim odczuciu – do grupy średniej. Uznawani byliśmy za rodzinę spokojną, żyjącą zgodnie i bogobojnie. Szczególnie ojciec czuły był na punkcie wiary i gorliwy w wykonywaniu praktyk religijnych. Wszystkie obowiązki katolika zalecane przez Kościół i tradycję traktował jako własną wewnętrzną potrzebę rozmowy z Bogiem i służenia Mu. Matka – o ile pamiętam – miała podobny stosunek do spraw wiary. Nic więc dziwnego, że byliśmy od wczesnego dzieciństwa przyzwyczajani do modlitwy, niedzielnego chodzenia do kościoła i codziennego śpiewania pieśni nabożnych.

Wstawało się rano dość wcześnie. Zimą o brzasku, latem dorośli około 4, dzieci około 6. Tego wczesnego wstawania wcale nie mógłbym zaliczyć do moich przyjemności. Przeciwnie, rano spało się najsmaczniej i spania było mi zawsze za mało. Ale leniuchowanie, kiedy słońce było już na niebie, uznawano za coś niemoralnego i dlatego spędzanie mnie z łóżka było zawsze zdecydowane, metodą skuteczną, choć dla mnie bardzo nieprzyjemną. Cały proces wyrwania mnie z objęć Morfeusza składał się z dwóch czynności: najpierw gwałtownie ściągano ze mnie pierzynę, a kiedy okazało się, że i bez przykrycia spałem nadal – pół „nawajki”

zimnej wody zaczerpniętej z wiadra i chluśniętej na śpiącego, stawiało mnie w okamgnieniu na nogi.

Mojego przerażenia i oburzenia nie mogłem jednak w pełni uzewnętrznić, bo ojciec właśnie intonował: *Zacznijcie, wargi nasze, chwalić Pannę Świętą lub Gorzkie żale, przybywajcie...* Śpiewanie nie przeszkadzało żadnemu z domowników w wykonywaniu bieżących czynności domowych, a ojcu w przekazywaniu uwag i poleceń oraz w odręcznym wymierzaniu nam kary chłosty za różne wykroczenia, w tym i za brak gorliwości w śpiewaniu. W tym czasie robiono poranną toaletę, ścielono łóżka, zamiatano izbę, dojono krowę i karmiono gadzinę oraz gotowano śniadanie. Skończywszy podstawową pieśń, rozpoczynano inną, tak aby łączny czas śpiewania wyrównać z czasem potrzebnym na ugotowanie śniadania i wykonanie wszystkich codziennych prac porannych.

Udział w tym chórze rodzinnym uważałem zawsze za najprzykrzejszą formę mojej zależności i bezradności. Przyczyn było kilka, a ich liczba z upływem czasu zamiast się kurczyć – rosła. Po pierwsze, miałem zawsze „głos kanarka, który konie dusi” oraz patologiczny wprost brak słuchu muzycznego. Mój śpiew brzmiał jak pobekiwanie barana, szczególnie gdy włączyłem tony najwyższe w celu wykazania się aktywnością w chórze; każde bowiem wyciszenie głosu i przejście do pozorowania śpiewu poprzez bezdźwięczne poruszanie wargami było dostrzegane przez ojca i karane odręcznie.

Po drugie, każdy człowiek gwałtownie ze snu zerwany, instynktownie czuje potrzebę wypowiedzenia w tym momencie swoich myśli i uczuć, ale te w żadnym wypadku ani do melodyjnych, ani do bogachwalących podobne nie bywają. To chyba oburzało mnie najbardziej; dopiero co zostałem ponizony i przestraszony, usta miałem zasuszone po całonocnym śnie w powietrzu zagęszczonym dymem papierosowym i innymi produktami lotnymi wydzielanymi

podczas snu przez ludzi, a tu, człowieku, śpiewaj, dziękuj Bogu i ciesz się, że żyjesz.

Po trzecie, z natury swojej pozbawiony byłem (i jestem nadal) skłonności do uzewnętrzniania swoich uczuć na rozkaz lub na pokaz. Wszelkiego rodzaju manifestacyjne śpiewanie pieśni dziękczynnych, głośne modlenie się czy skandowanie wiernopoddańczych tekstów uważałem za poniżanie godności człowieka. Zawsze uważałem, że im głośniejszy ktoś wyraża swoje uwielbienie i przywiązanie, tym mniej są one autentyczne i szczerze, chociaż ani ojca, ani pozostałych członków naszego rodzinnego chóru w tym czasie o nieszczerłość nie posądzałem. Uważałem jedynie, że chyba tu przesadzamy.

Po czwarte, zauważyłem, że choć w naszym środowisku prezentowanie własnej pobożności było wysoko cenione, to nasze codzienne i zbiorowe śpiewanie należało raczej do wyjątków i przez sąsiadów praktykowane nie było. Jedna czy druga sąsiadka czasem zanuciła sobie cicho *Kiedy ranne...* czy inną z naszego repertuaru pieśń, ale swoim członkom rodziny pozostawiała swobodę w wyborze formy chwaleń Boga. Chciałem, aby i u nas nie było takiego przymusu.

Po piąte, spełnianie w czasie śpiewu normalnych obowiązków nie ułatwiało utrzymania przez wszystkich członków chóru jedności melodii, tempa i słów. Jedna zamiatała izbę, druga doła krowę w chlewie, a trzeci coś robił przed domem. Stosunkowo znaczne odległości między śpiewającymi i dźwięki powstające podczas prac domowych zmuszały – aby nie utracić łączności słuchowej – do śpiewania bardzo głośnego.

Nic więc dziwnego, że tak potężny chór słyszeli zarówno bliżsi, jak i dalsi sąsiedzi (najbliżsi, Wilkowie, mieszkali w odległości stu metrów od naszego domu) i z nieco drwiącym uśmiechem mawiali:

– Matka, dawaj wreszcie to śniadanie, bo Krawcy kończą już godzinki!

Nic dziwnego zatem, że zawsze z utęsknieniem czekałem na koniec śpiewania, by po zmówieniu jeszcze tylko pacierza zasiąść wreszcie do śniadania.

Jedzenie złem koniecznym

Śniadanie było głównym i w okresie od wiosny do jesieni jedynym gotowanym posiłkiem w ciągu dnia. Obiady gotowane jadano tylko zimą oraz w niedziele, bo w okresie prac polowych nie było na to czasu. Przerwa między obiadem a kolacją była bardzo długa, bo do jej przygotowania w lecie przystępowano dopiero po powrocie o zmroku z pola i po oporządzeniu gadziny. Również w długie jesienno-zimowe wieczory o kolacji myślano dopiero po wyjściu ostatniego gościa, jeśli w danym dniu sąsiedzka wieczornica odbywała się w naszym domu, lub też po powrocie z podobnej imprezy ojca ze mną, jeśli odbywała się ona u Baranka lub Wilka. Była to już zwykle 11 wieczorem, każdy więc myślał raczej o tym, jak tu najszybciej znaleźć się w łóżku, a nie o jedzeniu.

Poranne menu było stałe, chyba że był przednówek i wtedy jadło się, co było, a jak nie było nic do jedzenia, to się tylko piło mleko. Na śniadanie gotowało się zupę kartoflaną, zwaną fitką, ale podstawowym daniem były kluski (makaron robiony z mąki pyłkowej, a kiedy takiej brakło – z mąki razowej, zmielonej na żarnach u Baranka, Dziuby lub Franka Oraczewskiego), które były przysmakiem całej rodziny, a szczególnie moim, chyba że kraszone były olejem, kiedy już sam zapach przyprawiał mnie o mdłości i nawet do ust ich nie brałem. Natomiast jeśli maszczone były topioną słoniną z cebulą, a jeszcze lepiej topioną

śmietaną, mogłem ich zjeść każdą ilość, tym bardziej że zupę jadało się zawsze w drugiej kolejności. Ale tak dobrze to nie było. Kluski były potrawą ściśle racjonowaną i choć robiono ich stosunkowo dużo (z około kilograma mąki na cztery osoby), każdy przy ich podziale czuł się pokrzywdzony i chciał dostać więcej. Naszej zachłanności na kluski nie ma się co dziwić, bo było to danie podstawowe na cały dzień dla ludzi, których tryb życia w żadnym przypadku do siedzącego zaliczany być nie mógł. Kluski robione były jedynie na wodzie, bo skoro wszystkim tak smakowały, to marnotrawstwem byłoby dodawać do nich jeszcze jajka lub nawet mleko. Nawet czas ich gotowania był – w porównaniu z obecnie stosowanymi metodami gotowania makaronu – znacznie skrócony, do momentu gdy zaczynały „lecieć” z garnka. Praktycznie było to więc jedynie zagotowanie, a nie ugotowanie. Mimo to nikt nigdy nie narzekał ani na to, że kluski je niedogotowane, ani na żadne z tego powodu dolegliwości żołądkowe.

Sam proces wyrabiania ciasta na kluski był przeze mnie pilnie obserwowany i zawsze czekałem na moment, gdy pierwszy arkusz ciasta został rozwałkowany. Wtedy niepostrzeżenie, jak sęp, doskakiwałem do stolnicy i starałem się porwać jak największy jego kawałek, który następnie przypiekałem na rozpalonej blasze i jadłem jako „macę”. Za złodziejstwo byłem jednak bezlitośnie karany mocnym uderzeniem po łakomej ręce wałkiem lub całą płaszczyzną noża. Takie uderzenie bardzo bolało, ale przyjemność jedzenia macy była tak duża, że z całą świadomością godziłem się na tę dolegliwość. Z podobną, a może z jeszcze większą zajadłością doskakiwałem do rondla, w którym przetapiana była słonina lub śmietana do klusek. Ze słoniną była sprawa prosta; wcześniej upatrywałem, który był największy skwarek, i jednym szybkim ruchem ręki chwytałem go w dwa palce. Doświadczenie oraz wyrobiona odporność skóry rąk na dzia-

łanie wysokiej temperatury sprawiały, że zanurzenie palców w topiącym się tłuszczu nie powodowało oparzeń, a nawet nie odczuwałem żadnego pieczenia. Gorzej było z polizaniem topionej śmietany; tej palcami nie dało się nabrać, do tego potrzebna była łyżka, najlepiej własna, bo ta, która tkwiła w rondelku, była rozpalona i zlizanie z niej wrzątku groziło poparzeniem warg i języka. Pokusa była jednak tak duża, że często i na tę dolegliwość człowiek się decydował. Moje łakomstwo budziło ogólne potępienie i obok odręcznego wymierzania mi kary chłosty ponosiłem bardziej dokuczliwe konsekwencje: przy podziale okrasy uwzględniano pobraną przeze mnie „zaliczkę” i bardzo często zarówno kluski, jak i fitkę jadałem niczym nie okraszone.

Słoniny i śmietany używano w domu raczej rzadko, częściej był to olej, a jeśli i ten tłuszcz „wyszedł” – musiało wystarczyć mleko. Klusek z olejem lub z mlekiem nie lubiłem i nie jadałem nigdy. Dopóki byłem mały, rodzice uwzględniali te moje uprzedzenia, ale gdy podrosłem, nikt na moje „zachciewajki” nie zwracał uwagi. Było to już po śmierci matki, kiedy standard naszego życia nieco się obniżył.

– Nie chcesz jeść, to nie jedz! – mawiał ojciec i nie zwracał uwagi na to, co i czy jem. Chcąc nie chcąc, musiałem jeść fitkę, która choć kraszona olejem, łatwiej mi przez gardło przechodziła, bo olej był do niej zasmażany mąką, co pozbawiało go nieprzyjemnego zapachu.

W okresach gdy nie było w domu pytlowej mąki na kluski, na śniadanie jadało się zwykle ziemniaki z żurem, kiszonym permanentnie w kamiennym garnku na piecu. Żur maszczony topioną słoniną z cebulą był również smaczną potrawą, tym bardziej że do niego można było przyjadać dowolną ilość chleba, ale z moimi ulubionymi kluskami równać się nie mógł.

Gotowany obiad, jak już wspomniałem, jadało się w niedziele i w zimie. W okresie prac polowych nie było na to cza-

su, bo w południe wracało się do domu z pola tylko na chwilę, by oporządzić gadzinę i przy okazji zjeść trochę chleba z mlekiem. Ten skład posiłku nie wymagał żadnych prawie przygotowań i nikt – poza mną – na takie menu nie narzekał. Ja natomiast z upływem czasu zniecierliwałem jadać chleba z zimnym mlekiem prawie w tym samym stopniu co klusek z olejem. Zaczęłem więc gotować dla siebie mleko i zalewać nim rozdrobniony chleb, ale i ten zestaw z czasem przestał mi smakować. Wtedy przestawiłem się na jedzenie chleba ze śmietaną zbieraną doraźnie z porannego udoju mleka specjalnie dla mnie. To też przestało w końcu mi smakować, a innego wyboru już nie było. Zaczęłem stosować demonstracyjne głodówki południowe, ale tym nikt się nie przejmował. Jakże często zazdrościłem wtedy niektórym swoim kolegom, którzy nie przeżywali podobnych problemów, bo w ich domach był zwyczaj gotowania obiadów.

Pewnego dnia w żniwa 1936 roku po powrocie w południe z pola do domu zapytałem jak zwykle, co będzie na obiad. Otrzymałem oczywistą odpowiedź: chleb z mlekiem. Rozplakałem się i na pocieszenie wysłano mnie do Wilka, aby pożyczyć „bobkę” do kosy. Pobiegnę tam. Wilki właśnie jedli obiad. Ich gospodarstwo było trzykrotnie większe od naszego, na urlop do nich zjechali bracia i siostry z rodzinami z Warszawy, Chorzowa i Równego, a wszyscy zaliczający się do inteligencji, od inżyniera do policjanta. Stołowników siedziało więc jeśli nie kilkudziesięciu, to kilkunastu, a każdy miał pełną miskę prażuchów okraszonych suto słoniną. Wszyscy jedli z wielkim apetytem, czego wyrazem było ogólne mlaskanie i głośnie skrobienie łyżkami po talerzach. Widok, który zobaczyłem, był dla mnie wstrząsający. Poczulem taki głód i jednocześnie żal, że nie przedstawiając nawet celu swej wizyty, biegiem wróciłem do domu, gdzie moja rodzina w milczeniu jadła zniecierliwiony przeze mnie chleb z mlekiem...

Nic więc dziwnego, że często nie jedząc wcale obiadu, albo jedząc tylko co nieco, zawsze z utęsknieniem czekałem na kolację. Pracując w polu albo pasąc krowę, pilnie obserwowałem ruch słońca po niebie, ale ono – mnie na złość – nie chciało szybciej zniżać się ku zachodowi. W końcu jednak pora kolacji nadchodziła, a dym, który zaczynał unosić się z komina naszego domu, był nieomylnym znakiem, że coś tam się warzy.

Na kolację zwykle gotowało się żur z ziemniakami – jeśli na śniadanie była fitka, lub odwrotnie. Często gotowane były również ziemniaki i podawane z kwaśnym mlekiem. Wszystko, co na kolację ugotowano, było wtedy i dobre, i smaczne, tylko że okupione tak długim czekaniem...

Aby skrócić oczekiwanie i pomóc ojcu w wykonywaniu jego obowiązków, nie mając nawet dziesięciu lat, sam deklarowałem przed zachodem słońca chęć wcześniejszego pójścia do domu i przygotowania kolacji. Ojciec godził się na to, bo moja wydajność w polu pod koniec dnia znacznie spadała, natomiast po powrocie do domu w pełni mogłem zastąpić dorosłego.

Obierałem zatem ziemniaki i nastawiałem je albo na fitkę, albo do żuru, albo do kwaśnego mleka. Gotowałem ich tak dużo, aby dla nikogo nie brakło, nawet dla psa, który od porannych paru ziemniaków z wodą też nic przez cały dzień nie jadł i leżąc teraz spokojnie przy budzie, niecierpliwie oczekiwał na ich kolejną porcję. Robiłem to z zamiłowaniem i dużą wprawą, za co ojciec często mnie chwalił. W ogóle od śmierci matki do jedenastego roku życia byłem ulubionym jego dzieckiem, bardzo pracowitym i rozumnym.

Dopiero moje późniejsze „filozofowanie” i nieprzejawianie gorliwości w wykonywaniu praktyk religijnych stały się przyczyną zmiany stosunku ojca do mnie. Do tego jednak czasu z ojcem rozumieliśmy się nawet bez słów, co jeszcze bardziej wyzwalalo moją pomysłowość i pracowitość.

Z czasem gotowanie kolacji stało się moim stałym obowiązkiem, wykonywanym chętnie, fachowo i szybko. Gdy o zmroku rodzina wracała z pola, na stole stały już dymiące talerze...

Ogólna liczba potraw, jakie jadało się w naszym domu, była niewielka. Niewprowadzanie nowości w tym zakresie wynikało zarówno z przyzwyczajeń i gustów, jak i – a może przede wszystkim – z braku możliwości. Jakby przeczuwając dzisiejsze opinie lekarzy na temat szkodliwości nadmiernego spożywania mięsa, jadalśmy go niewiele, bo tylko wtedy, gdy raz w roku lub raz na dwa lata, na święta Bożego Narodzenia, ubiło się własne prosię. Była to najczęściej sztuka cherlawa, która mimo że osiągnęła już dwanaście miesięcy życia, wzrostem i tuszą przypominała prosię czter-, pięciomiesięczne. Niecelowe było więc dalsze jej żywienie, ale i nieopłacalne sprzedanie, bo takiego „zapyzioka” nikt nie chciał kupić nawet za psie pieniądze. Najlepszym wyjściem było więc jej zabicie i zjedzenie.

Bicie świni było radosnym wydarzeniem w życiu rodziny; zapowiadało tłuste jedzenie przez najbliższe miesiące, a sam dzień świniobicia długo się pamiętało. Uboju dokonywał sam ojciec, żadnego fachowca o pomoc nie prosił, a ja towarzyszyłem mu w tym i pomagałem. Prawdę mówiąc, nie lubiłem patrzeć na sam moment pozbawiania świni życia, ale do tego nie mogłem się przyznawać, jeśli chciałem uchodzić za dorosłego mężczyznę.

Cała operacja od początku do końca odbywała się w chlewie, a kończyła na ćwiartowaniu półtuszy na kawałki mięsa o wadze 1–2 kilogramów, które wkładało się do beczki i soliło. Był to najlepszy sposób trwałego przechowania mięsa, bo przecież żadne urządzenia chłodnicze nie były wtedy znane. Z tego też powodu czas uboju przypadał zawsze na zimę, chociaż kalendarz świąt kościelnych oraz okres zapustów odgrywały tu również ważną rolę.

Całość uzyskanych podrobów wykorzystywano do produkcji kiszki, natomiast ani kielbas, ani innych wędlin nie robiono, bo „szkoda się było tym paprać” i „po co było sobie tak dogadzać”, skoro i tak wszystko się ze smakiem zjadło. A kiszka była rzeczywiście doskonała i dziś trudno mi nawet sprecyzować, co było powodem tak wysokiej jej oceny: czy jej walory smakowe, czy też fakt, że mogłem ją jeść po wielomiesięcznym okresie oczekiwania. W dzień świniobicia kiszkę jadło się na gorąco i do woli; w następnych dniach zarówno na zimno, jak i podsmażaną, ale już w ograniczonych ilościach, by wystarczyło jej jak najdłużej.

Kiszka! Jej smak pamiętam do dziś i dziś nawet dobrą, „własnej roboty” kiszkę (a nie kaszanke) zamienię na każdy rodzaj szynki. To pozostało mi z tamtych lat. Ale wszystko, co dobre, szybko się kończyło i po upływie około tygodnia kiszka była już tylko wspomnieniem. Na szczęście pozostawało jeszcze mięso, była słonina i było – na czarną godzinę” przemyślnie zszyte i podwieszane do łąty na strychu – sadło. W tym czasie nie prześladowało mnie widmo klusek z olejem i chleba z mlekiem, chyba że nadszedł okres wielkiego postu lub nawet zwykły piątek, kiedy znów trzeba było pościć, ale już z zupełnie innego powodu.

Szybko nadchodził jednak znów taki okres, kiedy wszelkie zapasy po ubitej świni wyczerpały się i trzeba było zapomnieć o dobrym jedzeniu. W latach, kiedy w domu był koń, ojciec od czasu do czasu wybierał się jako woźnica z miejscowymi handlarkami drobiem i nabiałem na wtorkowy lub piątkowy targ do Krakowa. Za każdorazowy przejazd, trwający od drugiej do ósmej wieczorem, otrzymywał zapłatę w wysokości 4,50 złotego, z czego kilkadziesiąt groszy przeznaczal na zakup świńskiego łba, albo 1–2 kilogramów świńskich skór, które upieczone w jednym garnku z zabitym królikiem w piecu chlebowym (przy okazji pieczenia chleba), stanowiły przysmak całej rodziny.

Na zarobek do Krakowa ojciec jeździł jednak rzadko, a jeść trzeba było codziennie. Bez mięsa można było żyć, ale bez okraszania trudno było się obejść i co tydzień te 45 groszy na ćwierć kilograma słoniny trzeba było wydać, szczególnie gdy krowa albo już „zostawiła”, albo nawet jednego litra mleka raz dziennie nie dawała. Ćwierć kilograma słoniny na tydzień trzeba było oszczędnie dzielić, aby jej wystarczyło. Mimo to nasi sąsiedzi byli przekonani, że „u Krawców to się nie obsuszają”, bo u niektórych i tego nie było.

Przykładem może tu być nasz krewniak, Franek Oraczewski, który jako murarz amator podjął się przestawić nam piec chlebowy. Było to jesienią 1936 roku. Pracował wtedy trzy dni i oczywiście żywiony był u nas. Na drugi dzień zaczął jednak zbyt często wychodzić za stodołę. Zapytany o przyczynę tych jego wędrówek, odpowiedział wprost, że jego żołądek nie jest przyzwyczajony do tak tłustego jedzenia, jakie u nas otrzymuje, i ma po prostu biegunkę. A nasze jedzenie w tym czasie niczym nie różniło się od przeciętnego, a jeśli chodzi o tłuszcz, to było go tyle, ile dawała ta ćwiartka słoniny dzielona na siedem dni.

Zakup słoniny i innych niezbędnych w gospodarstwie domowym artykułów dokonywany był często „na burg” w sklepie Nowickiego we Wroninie, który wierzył w ludzką wypłacalność i, choć nie bardzo chętnie, udzielał jednak kredytu, przez co zdobywał więcej klientów. Musiał walczyć o popularność, bo konkurencja była tu spora; zarówno we Wroninie, jak w Małym oraz Wielkim Biórkowie były po dwa sklepy ogólnobranżowe, oferujące towary od nafty do marmolady, pieczywa i artykułów monopolowych. W innych wsiach było podobnie. Średnio jeden sklep przypadał na mniej niż 50 domów, nic więc dziwnego, że utargi sklepy te miały niewielkie, a towary były nieświeże i przeterminowane. Ale kto w tym czasie i w tych warunkach zwracał uwagę na takie szczegóły. Względne powodzenie

miał ten sklepikarz, który – jak Nowicki – udzielał kredytu, więcej płacił za jedno jajko, nieco taniej liczył za swój towar, nie oszukiwał na wadze i umiał z klientem porozmawiać. Wymogów tych nie przestrzegał, albo przestrzegał jedynie w ograniczonym zakresie, pan Niewęgłowski w Małym Biórkowie, a mimo to do niego chodziłem po zakupy najczęściej, a on sam nigdy na brak klientów nie narzekał, choć pilnie baczył, kto odwiedzał jego konkurenta handlującego *vis-à-vis*, by przy okazji wypomnieć takiemu zdrajcy nielojalność.

Ja zawsze odczuwałem respekt przed tym przystojnym i dostojnym sklepikarzem i jak miałem tylko w ręce jajka, z którymi wysyłano mnie do sklepu po ćwiartkę kamfyny do lampy, 2 dkg drożdży, pół kilo kamiennej soli, 10 dkg cukru albo machorkę dla ojca, bo stara się już skruszyła i trzeba ją było wypalić, szedłem zawsze do Niewęgłowskiego. Główną przyczyną moich kontaktów z Niewęgłowskim było jednak to, że do jego sklepu trafić mi było najłatwiej. Jako pięcioletni brzdąc nie mogłem samodzielnie wybierać się do sklepu Nowickiego do Wronina, bo przejście po miedzach i obok zarośli oddalonych od ludzkich zabudowań wymagało sporej odwagi, a tej nie miałem za dużo. Co innego do Małego Biórkowa; wyszedłem na szosę i jej prawą stronę, mijając co 50 metrów słup telegraficzny, dochodziłem pod sam sklep, którego zewnętrzne drzwi obite były blaszanymi reklamówkami kawy Kneippa, bibułki Herbewo, cykorii Francka, pasty Erdal. Zabłądzić więc nie mogłem. Gdyby nawet zawiódł mnie wzrok, to nie mógł mnie zawieść węch, bo zapach był tam tak intensywny, że czułem go już z daleka. To on był magnesem, który ciągnął mnie do Niewęgłowskiego jak muchę do miodu.

Sam moment wejścia do sklepu był dla mnie raczej nieprzyjemny. Poruszony otwarciem drzwi dzwonek wydawał donośny dźwięk, który powiększał moją nieśmiałość

i zdenerwowanie, bo wiedziałem, że za moment ukaże się pan Niewęgłowski, bacznie mi się przyjrzy, oceni, jakie jajka przyniosłem do sprzedania, i zapyta, po co mnie tatuś przysłał. Stokroć bardziej wolałem, jeśli zamiast Niewęgłowskiego wychodziły obsłużyć mnie jego żona lub córka, które i uśmiechnęły się do mnie, i zagadały, a od czasu do czasu poczęstowały landrynką.

Sklep Niewęgłowskiego, mały wiejski sklepik towarów mieszanych, mieszczący się w obszernym parterowym budynku byłego zajazdu przygranicznego, w moich wspomnieniach pozostał symbolem innego świata, niepodobnego do tego, w którym w tym czasie żyłem na co dzień. Ten inny świat docierał do mojej świadomości poprzez zapach i widok takiej masy różnorodnych towarów, że zawsze wychodziłem stamtąd jak urzeczony. Nafta, nici, soda do prania, mydło (niektóre kawałki nawet pachnące), knoty i szkła do lamp, sznurowadła i pasta do butów – to były te najpotrzebniejsze w domu towary, na które wydawano najwięcej pieniędzy i dlatego używano ich bardzo oszczędnie. Nie na nie jednak podczas pobytu w sklepie zwracałem główną uwagę.

Prawdziwe katusze przeżywałem, pochłaniając wzrokiem olbrzymie ilości (w mojej ówczesnej ocenie) różnych wyrobów cukierniczych, a przede wszystkim wędliniarsko-garmażeryjnych. Nie mogłem spokojnie patrzeć na to, że takie smakołyki leżały sobie spokojnie na półkach, a Niewęgłowski jakby ich nie dostrzegał i nie pilnowany przez nikogo – nawet nie próbował ich zjadać. W dziecięcych marzeniach widziałem siebie na jego miejscu; ja nie potrafiłbym tak obojętnie poruszać się wśród tych przysmaków i na pewno tylko czekałbym na wyjście ostatniego klienta ze sklepu, by zaraz zabrać się do ucztowania.

Droga powrotna ze sklepu była dla mnie zawsze zbyt krótka. Wracałem do domu jak w transie; wiedziałem już

na pewno, że jak dorosnę, to otworzę sobie taki sam sklep, jaki ma Niewęgłowski, i do syta będę jadł to, co najsmaczniejsze. W tym czasie zawód sklepikarza wydawał mi się najbardziej atrakcyjny. Zresztą – nie tylko mnie. Karierę sklepikarza przewidywał dla swego syna lub córki niejeden rodzic, choć jako bardziej znający blaski i cienie tego zawodu, zdawał sobie sprawę z tego, iż do otwarcia sklepu potrzebny był kapitał, a zyski nie były ani duże, ani też wcale pewne. Dla mnie problemy takie nie istniały, bo ja patrzyłem na ten swój przyszły zawód pod kątem możliwości zaspokajania moich pragnień jedzenia dobrze i do syta.

Marzenia i plany kończyły się jednak z chwilą powrotu do domu. Po przekroczeniu progu izby wracałem do rzeczywistości, która choć pozbawiona była takich pokus i atrakcji, jakie prezentowało wnętrze sklepu Niewęgłowskiego, miała tę zaletę, że była bliska, swojska i realna. Ostatecznie najeść się do syta można było nie tylko tym, co oferował Niewęgłowski, ale i tym, co zwykle przygotowywało się w domu.

Podstawowym źródłem białka i tłuszczu w naszym pożywieniu było mleko. Dawała je krowa, dojona przez jedenaście miesięcy w roku. Kryzys następował wtedy, gdy w ostatnim miesiącu przed ocieleniem trzeba ją było „zostawić”. Bez mleka żyć było trudno i dlatego stosowano zwyczaj pożyczania codziennie po litrze mleka od któregoś sąsiada (najczęściej od Wicka Dziuby). Zwrot pożyczki następował po ocieleniu się krowy, gdy z kolei ten sąsiad był bez mleka.

Mleko spożywano i „prosto od krowy”, i na zimno, i gotowane oraz na kwaśno. Śmietana zbierana była „na omastę” i w pewnych okresach również do wyrobu masła, które w całości przeznaczone było na sprzedaż. Stosunkowo wysoka cena tego tłuszczu (do 4,5 zł za kilogram) była zbyt atrakcyjna, by pozwalać sobie na jego konsumpcję. Tylko

bezpośrednio po jego zrobieniu była szansa wyprosić małą kruszynę do chleba, ale gdy już „osełka” była uformowana, nie było mowy o jej ruszeniu. Trzeba było zadowolić się maślanką, która zresztą była doskonała i do chleba, i do ziemniaków.

Z czasem, gdy zrezygnowaliśmy z hodowli konia, a dokupiliśmy drugą krowę, masła się nie produkowało, lecz w całości dostarczaliśmy mleko do spółdzielczej zlewni do Małego Biórkowa. Cena dostarczanego mleka uzależniona była od zawartości tłuszczu, ustalonej na podstawie pobieranych w niektóre dni próbek. Ponieważ próbki nie były pobierane codziennie, istniała pokusa, by w pozostałych dniach zebrać śmietanę z mleka udojonego w poprzednim dniu w południe i wieczorem. Zlewniarz wiedział o tym i dlatego tak zmieniał terminy kontroli, by zbieranie śmietany było ryzykowne i nieopłacalne.

Podstawę naszego wyżywienia stanowiły zawsze ziemniaki i chleb. Chleb w naszym domu był doskonały. Pieczony był zawsze w sobotę, jeśli nie był to okres przednówkowy, kiedy po prostu nie było go z czego piec. Bez chleba życie było trudne, bo kiszki marsza grały.

Wypiekiem chleba zawsze zajmował się ojciec. „Zaczynkę” robił poprzedniego dnia w dzieżce, którą wstawiał na noc do łóżka pod pierzynkę, by dobrze „ruszyła się”. Spanie z dzieżką było niewygodne, ale za to w izbie unosił się przyjemny zapach ciasta.

Rano, a w lecie nawet bardzo wczesnie rano, ojciec zakasywał prawy rękaw koszuli i długo oraz dokładnie miesił ciasto. Była to praca bardzo ciężka, czego dowodem był pot obficie spływający z ojca. Po wyrobieniu dzieża znów wkładana była pod pierzynę, żeby ciasto wyrosło. W tym czasie rozpalano ogień w piecu chlebowym. Palono słomą, różnymi gałęziami, wysuszonymi łętami ziemniaczanymi, a od 1937 roku, kiedy rozpoczęliśmy uprawiać tytoń – „korco-

kami”, czyli wysuszonymi łądygami tytoniu. Drewnem nie palono nigdy, bo nigdy na jego zakup nie było pieniędzy.

Pieczenie chleba bardzo lubiłem (w przeciwieństwie do prania bielizny, którego nie znosiłem i które też odbywało się w soboty, ale – na moje szczęście – trwało krótko, bo bielizny i pościeli do prania było niewiele). Prawda, że podczas pieczenia w izbie panował nieporządek i nawet jeść trzeba było na stojąco, gdyż stół i ława zajęte były „duckami”, tj. plecionymi ze słomy koszykami z nałożonym ciastem. Nie zrażało mnie to jednak, bo w nagrodę na śniadanie w tym dniu jadało się pieczone podplomyki, a przez następne dni – smaczny, świeży chleb, który nie czerstwiał szybko, bo do jego wyrobu ojciec używał trochę gotowanych ziemniaków, a dla polepszenia smaku – czarnuszki. Po wyjęciu z pieca sześciu bochenków chleba o wadze 3–4 kilogramów, dla ich ostudzenia rozkładało się je na słomie w rogu izby lub na łóżku, z którego wcześniej zdjęto pościel.

Technologię wyrobu i pieczenia chleba ojciec opanował w wojsku. Dumny był, gdy zarówno domownicy, jak i sąsiedzi chwalili jakość i smak produkowanego przezeń „daru bożego”. Czasem ten nasz doskonały chleb stawał się powodem sąsiedzkich nieporozumień, gdy ten lub ów sąsiad za często chciał go pożyczać, a oddawał produkt własny, z zakalcem, kwaśny i niedopieczony. Pożyczanie chleba było w tym czasie u nas dość rozpowszechnione i nikt, komu go brakowało, nie wstydził się tego. Ustalanie wagi chleba przy pożyczaniu i oddawaniu odbywało się przy pomocy „kantarka”, przyrządu tyle starego, co niedokładnego; w zależności bowiem od sposobu jego trzymania, pół bochenka pożyczanego chleba mogło wykazywać wagę albo półtora, albo dwu i pół kilo. Niechęć ojca do pożyczania chleba wynikała jednak nie z trudności precyzyjnego ustalenia rzeczywistej wagi, lecz z braku nadziei

na otrzymanie zwrotu równie dobrego produktu. I dlatego wysłannikowi sąsiada, który zwykle rano przybiegał do nas ze słowami:

– Krawcu, pożyczcie do środy kilo chleba!

ojciec odpowiadał:

– Powiedz mamie, że nie mam chleba na pożyczenie!

Taka odmowa powodowała gniewanie się sąsiada albo na czas dłuższy, albo do kolejnej próby pożyczki w następnym tygodniu.

Zwyczaj pożyczania był dość rozpowszechniony. Poza chlebem pożyczano się różne narzędzia gospodarcze i rolnicze: pług, brony, grabie, kosę i przyrządy do jej ostrzenia, oraz różne środki spożywcze. Najczęściej jednak parę groszy „do najbliższego jarmarku”, trochę nafty i łyżkę soli, i to w sytuacji naprawdę przymusowej, a nie jako pretekst do sąsiedzkiego pogadania.

„Bez omasty fitke zjis, ale bez soli nie do rady” – mówiło się w takich przypadkach i – jeśli tylko było w garnku nieco tego minerału, to sąsiadowi nigdy się nie odmawiało.

Z misją pożyczania czegoś od sąsiada zwykle wysyłane były dzieci. W naszym domu zaszczyt ten spotykał mnie.

– Edek, kopnij no się do Wilka i pożycz scypte cykoryi, bo nie ma z cego zrobić herbaty na kolację – mówił ojciec i zaraz dodawał: – a wracaj na jedny nodze, żebym nie musiał po ciebie chodzić z pasem!

Herbatę piło się u nas wtedy, gdy nie było mleka. Nie był to napój sporządzony z oryginalnej, naturalnej herbaty, lecz jedynie gotowana woda zapuszczana kruszynomami cykorii. Prawdziwej herbaty właściwie w tym czasie w ogóle nie znałem. Znałem natomiast naturalną kawę, bo tę, w ilości 2–5 dkg, kupowało się na Boże Narodzenie lub Wielkanoc i po ubiciu jej w szmatce młotkiem, dodawało się do kawy zbożowej w celu uczczenia świąt. W izbie długo unosił się aromat tej kolonialnej używki, choć jej spożycie trwało

bardzo krótko. Wiadomo, co dobre, to się szybko kończy. Jeśli już mowa o zbożowej kawie, to również trzeba wyjaśnić, że ta była dosłownie zbożowa, robiona we własnym zakresie. Przypalało się jęczmień lub pszenicę, ziarno miażdżyło się i aby napój był smaczniejszy – dodawało cykorię. „Kupnej” zbożowej kawy używaliśmy niewiele, bo była dla nas za droga.

Ostatecznie jednak nie to było ważne, co się piło, lecz to, co się jadło. Zarówno herbata z cykorii, jak i kawa zbożowa własnej produkcji zawsze mi smakowały, gdyż tylko do nich był cukier. Gorzej było, gdy kawę sporządzano na wywarze z gotowanych buraków cukrowych, bo taką trzeba było jeść „na rozum” (kawę, herbatę i mleko w naszym domu się jadło; piło się tylko wodę), nie zwracając uwagi na jej smak i zapach. Ale co było robić – na cukier nie zawsze można było sobie pozwolić, a w buraczanym wywarze było go dużo i do tego za darmo. Faktu tego tylko ja nie umiałem docenić, bo ja byłem „fusyt”. Pozostali domownicy jedli taką kawę ze smakiem albo może tylko udawali, że im smakuje.

Ogólnie sprawom jedzenia w naszym domu poświęcało się niewiele uwagi. Jadło się, aby żyć. Przejawy nadmiernej troski o swoje podniebienie i żołądek mogły źle świadczyć o człowieku, a nawet prowadzić do obżarstwa, co jest przecież grzechem ciężkim.

„Edek, polej no mi!”

Poziom higieny jest pojęciem względnym, zależnym zarówno od rozwoju techniki i cywilizacji, jak i od zwyczajów i nawyków ludzi. Mój dom może być najlepszą ilustracją prawdziwości tego twierdzenia.

W naszej wielofunkcyjnej izbie było klepisko, nierówne i stale zawilgocone. W domu nigdy nie było miednicy lub naczynia ją zastępującego. Mycie ziemniaków i warzyw przed gotowaniem odbywało się w garnkach i przy tej okazji niewiele wody trafiało na izbę. Gorzej było z innymi zabiegami higienicznymi, jak choćby z wykonywaniem codziennej toalety porannej. Tu stosowano system polewania wody na ręce osoby myjącej się.

– Edziu (lub Edek – w miarę jak dorastałem), polej no mi – mówił ojciec, a ja brałem „nalewajkę” i polewałem mu na ręce. Trzeba to było robić uważnie, by trafić strumykiem na rozstawione ręce ojca i lać tylko wtedy, gdy on sobie tego życzył, oraz by nie rozlewać za dużo wody na ziemię. Do mycia używało się tylko zwykłego szarego mydła, które przy zetknięciu z zimną wodą wcale nie chciało się pienić, ale zawsze zmiękczało brud. Po namydleniu rąk i twarzy trzeba było parę razy polać, by spłukać resztki mydła. Na koniec ojciec pocierał mokrymi rękami włosy, by się lepiej układały po uczesaniu. Tak wyglądała toaleta ojca i podobnie myli się rano pozostali domownicy.

Bardziej złożone były natomiast wzajemne usługi związane z myciem się moim i siostry. Jeśli aktualne stosunki między nami były poprawne – a były to okresy raczej wyjątkowe – na prawach wzajemności polewaliśmy sobie. Najczęściej bywało jednak tak, że jedno z nas polewało drugiemu i na tym kończyła się współpraca. Ten, który zdążył się umyć, a którym najczęściej byłem ja, nie kwapił się do rewanżu. Uważałem bowiem, że jako młodszemu i w dodatku mężczyźnie (przez długi czas nie uważałem kobiet za równorzędnych partnerów), należą się pewne nieekwiwalentne świadczenia ze strony starszej siostry.

Najczęściej jednak, z uwagi właśnie na niedotrzymywanie obietnic rewanżu, w porannym myciu stosowaliśmy samoobsługę polegającą na tym, że brało się zimną wodę do

ust, a potem – już nieco ogrzaną – polewało się nią własne ręce. Ten sposób mycia się był najbardziej optymalny: wody zużywało się niewiele i niewiele też jej było na podłodze. A że z wodą spływało nieco śliny, to było nawet korzystne ze względów higienicznych, bo przy tej okazji dokonywała się, ograniczona wprawdzie, dezynfekcja jamy ustnej. O myciu zębów przy użyciu ciepłej wody, pasty i szczoteczki nigdy nie słyszeliśmy. Wydaje mi się, że każdy, kto w tym czasie myłby u nas w ten sposób zęby, naraziłby się na ośmieszenie, a obiektem drwin i docinków nikt nie chce być

Nietrudno sobie jednak wyobrazić, że nawet przy najbardziej oszczędnym używaniu wody, po porannej toalecie całej rodziny izba była zalana. Niektóre jej rejony, szczególnie te oddalone od pieca, nigdy nie wysychały. Dla poprawy stanu sanitarnego i estetycznego od czasu do czasu trzeba było „remontować podłogę” i na jej szczególnie przelane odcinki rozkruszało się specjalnie w tym celu suszoną glinę, którą dokładnie rozprowadzano miotłą. „Remont” wykonywano najczęściej przed ważniejszymi świętami kościelnymi i przed wizytami znaczniejszych gości. Po takim zabiegu w izbie robiło się ładnie i uroczyście. Jednak po kilku dniach wygląd izby wracał do normy i znów każde stąpienie pozostawiało trwałe ślad.

Wodooszczędna metoda robienia porannej toalety wynikała nie tylko z troski o niezalewanie izby, ale i z konieczności ograniczania zużycia wody, którą przez siedem lat trzeba było donosić z zapasowej studni Akulenki, odległej o około 400 metrów, do której dojście – szczególnie po deszczu i w zimie – wcale nie było łatwe. A wody w gospodarstwie potrzeba było dużo. Dwa wiadra, które ojciec przynosił na „nosidłach”, koń lub krowa wypijały na raz. Jeśli to tylko było możliwe, wykorzystywało się ją dwukrotnie: woda po umyciu ziemniaków, naczyń kuchennych

i po odcedzeniu ugotowanych klusek czy ziemniaków zlewana była razem i jako pomyje dawana krowie (koń, jako zwierzę szlachetne – takiej mikstury nigdy nie pił).

Ograniczanie się w robieniu codziennej toalety w zasadzie do mycia rąk i twarzy wynikało ze względów praktycznych i zwyczajowych. Mycie się do pasa odbywało się raz w tygodniu w niedzielę łącznie z goleniem się ojca. Przeważnie jednak podstawiano wtedy garnek lub wiadro (to samo, w którym przynoszono wodę do picia i pojenia bydła) i po takim zabiegu ślady na izbie pozostawały niewielkie. Mycie nóg dorosłych, chodzących zawsze w butach, oraz dzieci w okresie zimowym, było zjawiskiem rzadkim, nie warto więc nawet o tym wspominać, podobnie jak o kąpieli całego ciała, co było już wydarzeniem wyjątkowym, odbywającym się jeden lub dwa razy w roku, i to zawsze w chlewie.

Odrębny problem stanowiło mycie nóg przez dzieci w okresie letnim, kiedy chodziło się boso. Wykonywanie tego zabiegu było dla mnie prawdziwą zmart. Rzadko udawało mi się wmówić rodzicom, iż moje nogi po całodziennym chodzeniu boso są na tyle czyste, że przesadą byłoby je myć przed udaniem się do łóżka, choć i takie przypadki się zdarzały. Decydującym czynnikiem był tu nie tyle stan czystości moich nóg czy liberalizm w ocenianiu go ze strony rodziców, co raczej słabe oświetlenie izby (lampa naftowa nr 5). Zwykle konieczność mycia nóg była nieodwołalna i rad nierad brałem „nalewajkę” zimnej wody i w ciemną noc musiałem wyjść przed dom i umyć nogi. Były to straszne chwile, bo ze wszystkich stron podchodziły do mnie złe duchy, o których tyle się nasłuchałem. Moja prośba o towarzystwo drugiej osoby z zasady nie była spełniana. Nic więc dziwnego, że proces mycia w tych warunkach skracałem do minimum i po paru sekundach, z duszą na ramieniu, byłem już z „umytymi” nogami boso z powrotem w izbie.

Formalnym wymogom stało się zadość, nogi były mokre (i oczywiście brudne, bo nie tylko nie domyte, ale ponownie zabrudzone w czasie powrotu), mogłem już więc mówić pacierz i legalnie iść spać.

Napisałbym nieprawdę, gdybym stwierdził, że mycie nóg wymagało ode mnie zawsze jednakowego poświęcenia. Z początkiem wiosny, kiedy rozpoczynała się moda (a raczej konieczność, bo buty „wysiadały”) na nieużywanie obuwia, skóra na stopach była po całej zimie chodzenia w butach miękka i delikatna, choć zawsze nieco brudna. Mycie ich, mimo że do przyjemności nie należało, nie było wcale bolesne. Ale po paru tygodniach, na skutek działań atmosferycznych, różnych skaleczeń i systematycznego codziennego niedomywania oraz drażnienia skóry zimną wodą, pojawiać zaczęły się najpierw małe, a potem coraz większe rany. Gdzieś w środku lata, a szczególnie jesienią, każde dotknięcie stóp zimną wodą i potarcie skóry powodowało straszny ból, a z otwartych ran zaczynała słuwać krew. Żaden ze sposobów leczenia, stosowanych przeze mnie pod wpływem życzliwych rad rodziców i sąsiadów, nie przynosił oczekiwanej poprawy. Stan moich nóg martwił mnie szczególnie nie dlatego, że cierpiałem fizycznie – bo do tego jakoś przyzwyczailem się – lecz przede wszystkim z powodu ich nieprzyjemnego wyglądu. Za ten ich wygląd później w szkole musiałem się nieraz tłumaczyć przed nauczycielem, a tymczasem moje poradlone i coraz brudniejsze nogi były przedmiotem drwin i docinków ze strony moich rówieśników i osób starszych. „Cós to, Edek, rzepe bedzies siół na tych swoich girach?” – pytali mnie ci, których kończyny nie były ani czyściejsze, ani częściej myte, lecz mieli to szczęście, że ich skóra była bardziej odporna na stosowane metody pielęgnacyjne i nie przybierała tak oplakanego wyglądu. Problem mycia nóg zniknął późną

jesienią wraz z otrzymaniem nowych juchtowych butów z cholewami i zakończeniem sezonu chodzenia boso.

Płacząc nieraz z bólu przy myciu popękanych i krostami porośniętych stóp, z utęsknieniem oczekiwałem więc na nadejście tej upragnionej pory roku, kiedy nie musiałem już myć ich nawet raz w tygodniu. Nie przyszło natomiast do głowy ani mnie (bo i skąd?), ani rodzicom, iż najlepszym lekarstwem na moje rany byłoby mycie nóg mydłem i ciepłą wodą w miednicy. Miednica była urządzeniem nieznanym zarówno w naszym domu, jak i u sąsiadów.

Podobnie nieznanym było naczynie tak niezbędnym w każdym domu, w którym żyją dzieci, jak nocnik. A ponieważ do drugiej połowy lat trzydziestych (kiedy to sam pan premier Sławoj Składkowski zajął się sprawą chłopskich wygódek) nie mieliśmy ustępu, załatwianie potrzeb fizjologicznych też nie było rzeczą prostą, ale nikt nie robił z tego powodu żadnego problemu. Tradycja i przyzwyczajenie regulowały te sprawy może nie doskonale z dzisiejszego punktu patrzenia na przestrzeganie zasad higieny, ale za to w sposób maksymalnie prosty.

Niemowlęta swoje potrzeby fizjologiczne załatwiała „do pieluchy”, małe dzieci tam, gdzie je sytuacja zastała, a większe dzieci i dorośli w dzień za domem, natomiast w nocy – w chlewie. Przy wyjątkowo niesprzyjających warunkach atmosferycznych chlew był punktem docelowym podczas dnia również i dla dorosłych. Z izby do chlewa przejście było bezpośrednie, a więc wygodne. W nocy, kiedy człowiek był zaspany i rozgrzany pod pierzyną, wyprawa do chlewa do przyjemności nie należała. Sytuacja nie zawsze pozwalała na odszukanie butów (własnych lub cudzych) i często trzeba było boso po mokrej polacie biec do celu, gdzie istniało niebezpieczeństwo nadeptnięcia na „minę” pozostawioną przez poprzednika. Zamoczenie i zabrudzenie nóg nie robiło co prawda na mnie większe-

go wrażenia, bo po powrocie, przed wejściem pod pierzynkę, nogi pocierałem o słomę w łóżku i znów były czyste. Niebezpieczeństwo przeziębienia się podczas tych nocnych wędrówek było raczej znikome, bo organizm był zahartowany i przyzwyczajony do znacznie trudniejszych warunków. Wyjście jednak spod ciepłej pierzyny i konieczność przebiegnięcia po lodowatej zimą izbie do przyjemności w żadnym przypadku nie należały i to powstrzymywało przed zbyt pochopnym i przedwczesnym podejmowaniem decyzji. Czasem podjęta ona została za późno i „sprawę załatwiono” sposobem dozwolonym jedynie dla niemowląt. Skutki takiego opóźnienia były dla sprawcy dosłownie oplakane, a dla współlokatorów również dosłownie – nieprzyjemne. Ostatecznie człowiek w łóżku nie był sam i swoim lenistwem szkodził nie tylko sobie...

Jak sobie pościelesz – tak się wyśpisz

Warunki życia w naszym domu – zbudowanym na okres przejściowy do czasu wygrania sprawy o Zalipie – były zatem dość surowe. Szczególnie skromnie umeblowana była izba mieszkalna, choć mnie wydawała się zawsze tak przytulna i swojska. Dowód to, że pojęcie standardu jest względne.

W izbie stały dwa łóżka. Na jednym spałem ja z ojcem, na drugim Gienia z matką, później ze służącą. Łóżka były dość szerokie i wyłożone słomą, zmienianą średnio raz na kwartał. Po włożeniu nowej słomy, do czasu jej ułożenia się, było dość niewygodnie, gdyż z kopiatego łóżka człowiek po prostu spadał. Gdy słoma się uleżała, spanie było „bycze”, bo po całodziennych trudach nie potrzeba było żadnego komfortu, by spać jak zabity. Czasem tylko poczułem, iż skopałem podarte prześcieradło i śpię na samej słomie (siennik był nieznany w naszym domu), która wy-

suszona i wykruszona drażniła moją skórę w najbardziej czułych miejscach.

Ze skromnej poduszki, przypadającej na nas dwóch, najczęściej rezygnowałem, gdyż była tak mała i tak cieniutka, że mogła służyć do podtrzymywania tylko jednej głowy. Wygodniej mi było spać, gdy pod głowę położyłem sobie własne ubranie zdjęte na noc. Czułem się wtedy swobodnie, bo miałem coś tylko dla siebie, czym nie musiałem dzielić się z ojcem.

Podobnie było z pierzynką. Ta też jedna przypadła na nas dwóch i też była „wiatrem podszyta”. Bywało, że po oskubaniu gęsi jesienią dopełniało się pierzynę do pełnej pojemności, ale w takim stanie nigdy nie dotrwała do następnej jesieni. Znajdujące się w niej pierze zawsze nadawało się do sprzedania Żydowi (pewnie, że jako towar używany) za marne parę groszy, kiedy już „na lik” nie było nic innego na sprzedaż, a grosz potrzebny był na gwałt. Latem, kiedy noce były ciepłe, taka wypatroszona pierzynka była nawet bardzo wygodna i żaden z nas nie ściągał jej na siebie kosztem drugiego. Zimą jednak bez solidnego przykrycia trudno się było obejść i dlatego wolałem z pierzynki zupełnie zrezygnować, a do przykrywania się używałem zimowego palta ojca, tzw. kapoty, i najczęściej sypiałem pod tym zastępczym przykryciem. Kapota trzymała ciepło, a przy tym wydzielala przyjemny zapach potu ojca.

Tak wyposażony we własną „poduszkę” i w oddzielne przykrycie spałem zawsze głęboko i żadne hałasy domowe nie były w stanie mnie zbudzić. Było jednak coś, co zmuszało mnie kilka razy w ciągu nocy do przerwania snu. Tym „cosiem” było palenie przez ojca papierosów. Ojciec palił dużo zarówno w ciągu dnia, jak i w nocy. Brak nikotyny w organizmie budził go co parę godzin ze snu, siadał więc, skręcał ze „swojaka” solidne papierosisko i palił, palił, palił. Procesowi temu towarzyszyły ataki gwałtownego kasz-

lu, jako że jego płuca nie mogły sobie poradzić z taką ilością nikotyny, a „swojak” tej niewidocznej trucizny posiada jednak bardzo dużo.

Ojciec nie umiał ograniczać się w paleniu, a na monopolowe papierosy lub kupny tytoń nie mógł sobie pozwolić; mała paczka niebieskiej machorki kosztowała 38 groszy, tyle prawie co ćwiartka słoniny, która służyła do maszczenia dla całej rodziny na tydzień, i wystarczała z biedą na jeden dzień. Na taki luksus ojca stać nie było, ale od czasu do czasu kupował on tę niebieską machorkę lub, częściej nawet, machorkę czerwoną za 60 groszy po to, aby pokazać ją „financowi”, gdy ten na drodze zaczął palić ojca i zażądał udokumentowania, co ojciec pali. A to, że pali, było widoczne, choćby po jego żółkniętych palcach. Można było jedynie udowodnić, iż używa tylko wyrobów Państwowego Monopolu Tytoniowego, a więc skarbu państwa nie okrada.

Jedna paczka takiej machorki służyła więc przez długie tygodnie jako dowód lojalności ojca względem państwa, a ostateczne jej zużycie następowało z konieczności, kiedy znajdujący się w niej tytoń począł zmieniać się w proszek. Palony na co dzień „swojak” ojcu smakował, choć dla otoczenia niesamowicie śmierdział, mimo że do tego zapachu, chcąc nie chcąc, w dzień byliśmy wszyscy przyzwyczajeni. Gorzej było w nocy – po prostu tym dymem się dusiłem.

Już pierwsze zaciągnięcie się ojca, zakasłanie i splunięcie budziło mnie z najgłębszego snu; w nosie czułem zasychanie, w gardle gorzkie pieczenie. Cierpliwie czekałem na moment, kiedy żarzący się niedopałek ojciec odrzuci w kąt izby pod piec. Niedopałek dymił dalej, dopóki nie zgasł zupełnie. W izbie przez długie jeszcze minuty unosiły się kłęby dymu. Wstręt do jego wdychania podczas snu pozostał mi do dziś, mimo że lekkomyślnie sam stałem się z czasem nałogowym palaczem.

Dopóki byłem brzdącem, spanie na jednym łóżku z ojcem w izbie bardzo sobie ceniłem. Gdy zacząłem „dorosnąć”, zauważyłem, iż większość moich kolegów (a tak się jakoś dziwnie składało, że tych miałem zawsze o kilka lat starszych od siebie) nie sypia w swoich domach, lecz najczęściej w chlewach ze zwierzętami, a latem – w stodołach. Tak postępował Jasiak Kasińskiego i jego brat Boguś, Stach i Józek Wilcoki oraz Dzidek Akulenków. Wszyscy byli z tego powodu dumni, świadczyło to bowiem m.in. o ich dorosłości i samodzielności. O nich mówiło się – wcale nie z pejoratywnym odczuciem – „parobcoki”, a oni sami z dumą opowiadali, jak to wygodnie im się w tych warunkach sypia i jak przemyślnie urządzili sobie spanie.

Często i chętnie przesiadywałem w tych „sypialniach”, podziwiałem ich komfort i samodzielność kolegów oraz zazdrościłem im, że oni mogą, a ja nie. Nie mogłem spać w chlewie, bo w naszym na to nie było miejsca. Chlew był ciasny, kwadratowy, wszystkie miejsca przy ścianach wykorzystane były dla zwierząt, a na jego środku znajdował się dół na gnojówkę. Nie było więc gdzie ulokować posłania dla mnie. Z bólem serca zmuszony byłem spać w izbie, na jednym łóżku z ojcem, i tylko marzyłem, że jak w przyszłości wybuduje się inny, nowy chlew, to ja już w nim urządzę takie spanie, że koledzy będą mi go zazdrościć.

Dziś te moje ówczesne marzenia i plany wydają mi się śmieszne i nieco dziwne. Ale – jak już wspomniałem – standard życia jest pojęciem względnym, a człowiek zawsze stara się czerpać z otaczającej go rzeczywistości wzorce, które wydają mu się godne naśladowania. Plany i marzenia dziecka nie są jednak trwałe. Tak było i w moim przypadku. Gdy nieco później zacząłem odnosić w szkole większe sukcesy w nauce i kierownik szkoły przy okazji wywiadówek nieraz sugerował ojcu, iż „waszego Edka trzeba dalej uczyć, bo z niego może coś wyrosnąć”, a ksiądz proboszcz

jednoznacznie zawyrokował, iż powinienem iść „na księdza”, zmieniły się moje plany życiowe. I nie ma w tym nic dziwnego. Perspektywa zostania księdzem była dla mnie wtedy tak atrakcyjna, że już widziałem się w tej roli.

Przyrzekałem sobie, że najpierw będę pilnie się uczył, a później – już jako proboszcz – wzór pobożności i skromności – będę zasobnym opiekunem członków mojej rodziny. Widząc się już proboszczem biórkowskiej parafii, nie wykluczałem też innej możliwości; wierząc bezgranicznie w posłannictwo Polaków w krzewieniu wiary katolickiej, dopuszczałem możliwość zostania misjonarzem, który z całkowitym poświęceniem nawracał będzie na prawdziwą wiarę błądzących czarnych, żółtych i czerwonych mieszkańców naszej planety.

Plan zostania księdzem był aktualny stosunkowo długo. W tym czasie wmawiałem sobie, iż do tego zawodu mam powołanie. Ale to była dopiero perspektywa, nie należy więc za bardzo uprzedzać wydarzeń. Na razie byłem kurdupłem, spałem na jednym łóżku z ojcem, parę razy w nocy budził mnie dym palonego przezeń papierosa i jego przejmujący kaszel...

Mój los nie był jednak wcale tak zły. Dopóki żyła matka, mogę powiedzieć, że warunków życia zazdrościli mi nawet inni. Najmniej natomiast godny zazdrości na wsi był los noworodków i małych dzieci, jako że w tym okresie życia nowy człowiek potrzebuje najwięcej komfortu i opieki. A tych elementów nie tylko mnie brakowało chyba najbardziej. Chociaż „opieka” jest też pojęciem względnym. Własnego okresu niemowlęctwa oczywiście nie pamiętam, mogę jednak bez obawy popełnienia większego błędu, na podstawie obserwacji sposobu wychowywania młodszej o osiem lat Marysi, odtworzyć, jak ja sam byłem wychowywany.

Myślę, że sprawowana nade mną przez rodziców opieka była skuteczna; poza oparzeniem lewej ręki gotującym się na piecu mlekiem nie odniosłem w dzieciństwie żadnych obrażeń ciała. I choć byłem „piekielnym nasieniem” – dzieckiem wyjątkowo krzykliwym i płacziwym („już go miałem rzucić do pokrzyw – taki pieron był rozdarty” – często opowiadał ojciec), rodzice – a później już sam ojciec – kochali mnie. Na to mogli sobie pozwolić, bo to nie wymagało poświęcania mi specjalnie czasu. Gorzej było z bawieniem mnie. „Bawienie” przeszkadza w wykonywaniu bieżących prac w domu i w polu, a te są ze zrozumiałych względów ważniejsze od dziecka. Niemowlę nakarmione, ułożone i przywiązane w kołysce oraz mające wetkniętą do buzi odpowiednio zawiniętą szmatkę z łyżeczką cukru, pozostawiane było nawet na parę godzin bez opieki. Jeśli nie mogło zasnąć, poruszało się kołyską przez kilka minut i wtedy dziecko uspokajało się. Technike usypiania niemowlęcia poznałem doskonale, gdy przyszło mi nieraz usypiać Marysię.

Tu muszę przyznać, iż między kołysaniem wykonywanym przez dorosłego, a kołysaniem wykonywanym przeze mnie była jednak poważna różnica. Dorosły nie liczył na natychmiastowe zaśnięcie dziecka, amplituda wahań kołyski była u niego mniejsza, a sam ruch bardziej płynny. Dorosłym, jeśli nawet się śpieszyło, to śpieszyło się powoli. Co innego mnie, dziecku, któremu kazano wykonywać tę niewdzięczną pracę. Kołysanie gówniarza, podobnie jak pasienie krów na postronku, uważałem zawsze za pracę katorżniczą. Robiłem to niechętnie i to tak, żeby albo dziecko szybko zasnęło, albo żebym został zdyskwalifikowany, jako nie nadający się do wykonywania tej czynności.

Pierwszy cel udawało mi się po pewnym czasie zawsze osiągnąć, drugiego – nigdy. Zamiast zwolnienia mnie od obowiązku kołysania – na co przecież liczyłem – otrzyma-

wałem niespodziewanie jedno lub dwa uderzenia wojskowym pasem. Ból, a przede wszystkim upokorzenie (bicie dzieci od tego czasu uważam za rzecz dającą przeciwne do zamierzonych skutki) wywoływały u mnie zrozumiałą chęć zemsty. A mścić mogłem się tylko na kołysce i pośrednio na mojej maleńkiej, niczego nieświadomej siostrze. Zemsta polegała na jeszcze gwałtowniejszym poruszaniu kołyską, co czasem doprowadzało do jej wywrócenia się, a zawsze do niebezpiecznych przechyłów. Dla szczególnego podkreślenia, jak bardzo lekceważę obowiązek usypiania dziecka, kołyskę poruszałem nogą, a nie ręką, i to w sposób rozmyślnie demonstracyjny. Nic więc dziwnego, że każdy przypadek wywrócenia kołyski (choć dziecku nic się nie działo, bo było solidnie przywiązane) rodził dla mnie skutki dosłownie oplakane. Ojciec odpasywał i „wietrzył” swój pas wojskowy. Podobnie zresztą, jak i przy innych okazjach...

Kołyska, najważniejszy i najniezbędniejszy w tym czasie mebel w izbie, była tak stara i wyeksploatowana, że nikt nie potrafił określić, ile dzieci, a nawet ile pokoleń zostało w niej wychowanych. Do nas trafiła od ciotki z Łyszkowic. Jej wyposażenie było prymitywne, ale praktyczne. Słoma, którą jej wewnątrz było wyłożone, stanowiła dość miękką i szybko wysychający podkład zastępujący, powiedzmy, materacyk. Zmieniana była stosunkowo często, zarówno z uwagi na ścieranie się, jak i nadmierne nasycenie zapachami. Z wierzchu słoma przykryta była najczęściej względnie całą połówką starego worka lnianego, na którym kładło się pieluchę, będącą fragmentem zużytego egzemplarza bielizny lub pościeli. Niemowlę ubierane było jedynie w koszulkę, a krocze dziecka przemyślnie wiązano drugą pieluchą, która najbardziej narażona była na gruntowne zabrudzenie. Ta druga pielucha po załatwieniu się dziecka „na grubo” była czyszczona, płukana, a następnie przesuszana przed następnym użyciem; pielucha zamoczona je-

dynie przez dziecko, przepierana i przesuszana była rzadko, gdyż z reguły następował tu proces samowysuszenia. Dzisiejsze praktyki matek, polegające na każdorazowym praniu, gotowaniu, a nawet prasowaniu pieluch – w świetle moich dziecięcych doświadczeń i wspomnień – uznać należy za przesadne.

Wspominając swoje przeżycia związane ze spełnianiem obowiązków opiekuna młodszej siostry, muszę przyznać, iż w zasadzie nie lubiłem jej ani kołysać, ani też zajmować się jej bawieniem wtedy, gdy w pobliżu byli dorośli. Jeśli jednak zostałem w domu sam, to obarczony obowiązkiem zajęcia się Marysią, robiłem wszystko, aby się z niego wywiązać jak najlepiej. Z upływem tygodni i miesięcy coraz bardziej zacząłem się do niej przyzwyczajać, a prawdę mówiąc – zacząłem ją kochać.

Pewnie, że jako ośmio-, dziewięcioletniemu opiekunowi nie zawsze na czas chciało mi się przystępować do przewijania dziecka, często dopiero nieprzyjemny zapach zmuszał mnie do tej czynności, ale miałem już taką wprawę w tym zakresie, że robiłem to nie gorzej niż np. Szydłowska.

Pod jednym tylko względem byłem jednak gorszym od służącej opiekunem. Gdy Marysia skończyła pół roku, jej pokarmem przestało być samo mleko. Trzeba było wtedy starać się, by w domu była zawsze kupiona bułka lub kawałek pszennego chleba. Bułkę rozdrabniało się i zalewało gotującym mlekiem. Tak przygotowaną „drobionkę” brałem do ust, żułem i następnie łyżeczką karmiłem dziecko. Niestety polegało na tym, iż ten pokarm był tak apetyczny, że tylko z największym trudem i samozaparciem powstrzymywałem się, by przy okazji żucia samemu go nie połykać. Prawdę mówiąc, nigdy nie udawało mi się, by z moich ust wyszła ta sama ilość pokarmu, która do nich trafiała. Zawsze coś wpadło mi do gardła, a często to „coś” stanowiło połowę tego, co było dla siostry przeznaczone.

Nic więc dziwnego, że po takim „karmieniu” dziecko było nadal głodne i płakało. Domownicy wiedzieli, że to ja byłem temu winien, bo byłem tak „chytry na jedzenie”, i dlatego starali się, gdy tylko praca w polu na to pozwalała, odsuwać mnie od karmienia niemowlęcia. Ale co ja tu byłem winien? Sam byłem dzieckiem, nigdy do syta nie najedzonym, a tu pokusa była już w moich ustach...

Co innego Szydłowska. Ją też na pewno podniecał smak bułki, też często bywała głodna, ale jako osoba dorosła umiała przewycięzać pokusę. Sumienie nie pozwalało jej zjadać tego, co było przeznaczone dla małej. I choć miała poważne braki w uzębieniu utrudniające jej proces żucia – robiła to tak długo i tak dokładnie, że z jej ust wychodziła papka, którą dziecko mogło bez trudu połykać. Co ważniejsze jednak, Marysia nie traciła pod względem ilości nic z tego, co dla niej było przeznaczone. A bułka była droga i nie można było pozwolić sobie na używanie jej w takiej ilości, która wystarczyłaby i dla dziecka, i dla przeżuwacza. Nieraz więc, obserwując biernie proces karmienia Marysi przez Szydłowską, zawiedziony i rozgoryczony, mawiałem z żalem:

– Do kołysania dziecka to Edek, ale do dawania mu jeś – to Szydłowska. Nie bede wiency dziecka bawił!

Jak cię widzą, tak cię piszą...

Jak już wspomniałem, niemowlę ubierane było jedynie w koszulkę, a dopiero gdy zaczęło się bawić na siedząco – dodatkowo w coś, co przypominało sweterek. Jego dolna część ciała przez długi czas nie była niczym okrywana i „świeciła tyłkiem”. Spodenki jako takie nosiły dzieci już sprawnie chodzące, często dopiero wtedy, gdy wybierały się do szkoły.

Zwyczaj niezakładania dzieciom śpioszków lub spodek był dla nich najbardziej nieprzyjemny wtedy, gdy zaczynały „bałykować”. Jeśli ten okres ich życia przypadał w lecie – nie było żadnego problemu, ale w zimie nieprzyjemnie było patrzeć, jak dziecko gołym tyłkiem jeździło po mokrej izbie. I dlatego też trzeba było uważać, żeby je puszczać z rąk na te odcinki klepiska, które były względnie suche, gdzie mogło się najmniej zabrudzić. A puszczać trzeba je było, bo w końcu dziecko musiało kiedyś zacząć stawiać samodzielne kroki, a poza tym nikt nie był w stanie bez przerwy dźwigać bąka na rękach...

Moda i sposób ubierania się to temat rozległy i co najmniej kontrowersyjny. Każdy ma tu swoje zdanie dziś, ale – wydaje mi się – nie każdy interesował się tym problemem wczoraj. Dla mnie kwestia stroju w czasach dzieciństwa sprowadzała się w zasadzie nie do tego, jak się ubrać, ale przede wszystkim – w co się ubrać. Pierwsze z prawdziwego zdarzenia ubranie wyjściowe, uszyte przez prawdziwego krawca w Proszowicach, otrzymałem... we wrześniu 1939 roku. Był to piękny gimnazjalny garnitur z niebieskimi wypustkami i srebrnymi guzikami. W lecie tego roku ukończyłem bowiem sześć klas szkoły powszechnej w Biórkowie Wielkim i zdałem egzamin wstępny do II Gimnazjum im. św. Jacka w Krakowie. Ale to już inna, późniejsza historia.

Do tego czasu ubrania dla mnie szył Rodak, zięć Gumulskiego, który mieszkał w Biórkowie Wielkim przy cmentarzu, lub też krewniaczka Wilkowa z Łyszkowic. Każde ubranie szyte było niezmiennie z cajgu, najlichszego i najtańszego materiału, a mimo to z każdego byłem dumny i chciałem, aby mnie wszyscy po jego włożeniu podziwiali. Na występujące w jego uszyciu mankamenty nie zwracałem żadnej uwagi, choć było ich zawsze kilka: a to jeden rękaw był krótszy od drugiego, a to pod pachą niesamowicie ciągnęło, a w końcu i to, że spodnie zawsze szyte były na długość nieco niżej kolan. Taka

długość była rzeczywiście nieefektywna i nikomu elegancji nie dodawała. Mnie jednak nikt o zdanie nie pytał, bo jako wsiowemu chłopakowi nie pasowało chodzić w spodniach o innej długości; długie spodnie nosili tylko dorośli kawalerowie i żonaci mężczyźni, a spodnie krótkie – powyżej kolan – zarezerwowane były dla miastowych chłopaków i dla harcerzy.

Dla mnie denerwujące i ośmieszające były nie długość nogawek, kolor czy też jakość materiału, z którego miałem uszyte spodnie, lecz „klapa”, którą posiadały portki szyte dla mnie i dla wszystkich moich kolegów. Kłapa pomyślana była jako rozwiązanie awaryjne w różnych nagłych przypadkach. Wystarczyło wówczas odpiąć dwa guziki, kłapę pod siebie podwinąć i wszystko było w porządku, jeśli to tego jeszcze zdążyło się dobiec w odpowiednie miejsce. Takie było przeznaczenie kłapy i jej jedyny plus. Były jednak i minusy, które wynikały ze złośliwości martwych przedmiotów. Często zdarzało się (mnie też parę razy), że chłopak zapomniał zapiąć kłapę na guziki albo guziki porywały się i poginęły, bądź wreszcie jakiś dowcipny kolega niepostrzeżenie odpiął ją, o czym zainteresowany nie wiedział, a wtedy śmiechu oglądających to, co kłapa powinna zakrywać, i łez ośmieszonego było co niemiara. Bo muszę tu dodać, że najczęściej pod spodniami nic się nie nosiło.

Nie lepszy los w zakresie strojów miały nasze rówieśnice. Rodzice często się zastanawiali, kogo łatwiej ubierać: chłopaka czy dziewczynę. Okazywało się wtedy, że i na jedno, i na drugie potrzeba „duckę” pieniędzy, „...a tak pierony wszystko niszczą, że im tylko kupuj a kupuj ubrania...” Dziewczyny nie miały co prawda kłopotu z kłapami, bo nie nosiły nigdy spodni, ale ich „suby” też sprawiały im pewien problem, którego powodem był zwyczaj niewkładania majtek, chyba że w zimie, kiedy mróz zmuszał do włożenia grubych, barchanowych reform, które też efektywne nie były i do pokazywania wcale się nie nadawały. To, co dla

dziewuch było zmartwieniem – dla nas, chłopaków, było frajdą, bo przy byle jakiej okazji mogliśmy się przekonać, co też one „tam” mają.

Nic więc dziwnego, że każda szanująca się dziewczyna musiała pilnie baczyć, by silniejszy wiatr lub nieostrożne wychodzenie na drabinę albo na drzewo (bo one też lubiły się na drzewa wspinać) nie naraziły jej na pokazanie tej części ciała, która z zasady nie nadaje się do pokazywania. Nie było to zadanie łatwe. Zresztą nie tylko dziewczynom, ale i dorosłym kobietom podobne „kompromitacje” zdarzały się, czym one zresztą zbytnio się nie przejmowały, bo mężczyźni, którzy co nieco zobaczyli, zachowywali o tym dyskretne milczenie. Tylko ci najmłodszy, których „te” rzeczy interesują zawsze najbardziej, mieli na ten temat czasem różne pytania...

Wspomniałem wyżej, iż słowo „moda” w dzisiejszym jego znaczeniu było u nas pojęciem nieznanym. Nie było mody, był zwyczaj, który dzielił ludzi według wieku, płci, w mniejszym stopniu według stopnia zamożności.

Boso chodziły latem dzieci, kobiety i ewentualnie parobkowie, służący u gospodarzy. Normalnemu mężczyźnie, gospodarzowi (nawet jednomorgowemu) nie wypadało nigdy chodzić boso. Nawet podczas największych upałów chłop butów nie ściągał, podobnie jak koszuli (najczęściej podartej, połatanej, brudnej i zapoconej) i kapelusza. Efektem tego zwyczaju był wygląd mężczyzny: twarz, szyja i ręce od łokci były spalone od słońca, a pozostała powierzchnia ciała – biała. Ten charakterystyczny sposób opalania się był wyróżnikiem chłopca, do którego nikt nie zwrócił się nawet przez pomyłkę per „panie”, a zawsze tylko „wy”.

Rodzice, jak tylko zapamiętałem, zawsze mieli po jednym komplecie ubrania „kościelnego”, nakładanego tylko w niedziele do kościoła lub też na „jarmak” bądź „na sprawę” do Proszowic. Przechowywane przez cały tydzień

w kuferku (szafa na ubrania pojawiła się w naszym domu dopiero w latach okupacji), zawsze było trochę zmięte i pleśnią pachnące. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż zarówno materiał, z jakiego było uszyte, był najtańszy, jak też nie zawsze chowane tam było w stanie wysuszonym, czy wreszcie dlatego, że pozycja leżąca, a nie wisząca, w wilgotnej zawsze izbie żadnej garderobie na dobre nie mogła wyjść. Dla mnie jednak rodzice, po nałożeniu tych kościelnych ubrań, byli zawsze wzorem elegancji i dostojęstwa. Do kościelnego ubrania ojciec wkładał świeżo upraną – zawsze w sobotę, bo była tylko jedna – koszulę, do której nawet czasem przypinał biały wykrochmalony kołnierzyk i krawat, a na głowę wkładał również kościelny kapelusz, który, choć też służył mu kilkanaście lat, wyglądem swym niczym nie przypominał używanego na co dzień.

Odrębnym elementem świątecznego stroju były buty. Często zamoczone i zabłocone leżały przez cały tydzień pod łóżkiem i powoli wysychały. W niedzielę rano, gdy buty trzeba było ponownie włożyć, ojciec wyciągał je z tej przechowalni i przystępował do ich czyszczenia: z grubsza zeskrobywał błoto nożem, wiechciem słomy usuwał resztki brudu, a następnie smarował je lekko mlekiem i pocierał sadzami z pieca. Pasty, choć było jej w sklepach pod dostatkiem, z zasady nie używało się, bo „kto by tam nastarczył tyle pasty kupować”. Tak „napastowane” buty „glancowało” się tak długo, aż były jednakowo czarne na całej powierzchni, i choć połysku nie dawały, to jednak niepodobne były do butów na co dzień.

Tak ubrany ojciec był człowiekiem bardziej do sekwestratora, organisty czy nawet nauczyciela podobnym niż do siebie. Tylko ta jego spalona słońcem twarz i szare, spękane ręce zdradzały, że jest prawdziwym chłopem, a nie panem.

Podobnie było z matką. Podstawową rolę w jej stroju spełniała barankowa chusta, będąca zawsze modnym

i efektywnym szczegółem ubioru. Jej główną zaletą była możliwość przykrycia i ukrycia wszystkich braków, jakie w stroju matki zawsze występowały. Chroniła również przed „zawianiem” głowy, co miało niebagatelne znaczenie. Chusta, spódnica do pół łydki oraz sznurowane trzewiki z wysokimi cholewkami były stałymi elementami ubioru matki. Podobnie ubrane chodziły wtedy wszystkie kobiety wiejskie. Taki strój był wyróżnikiem, a właściwie piętnem ich stanu. Do tak ubranej kobiety nikt i nigdzie nie zwrócił się przez „pani” – zawsze „wy”.

Stabilność w sposobie ubierania się rodziców nie była wynikiem ich konserwatyizmu w stosunku do mody. Była to raczej konieczność ekonomiczna. W strukturze wszystkich wydatków domowych wydatki na cele konsumpcyjne stanowiły zdecydowaną mniejszość, a w ramach tych ostatnich najmniej wydawano na ubranie.

Dorośli, mimo że każdy z nich miał tylko jedno kościelne ubranie służące mu przez wiele, wiele lat, i jedno ubranie na co dzień, łatanie i cerowane w nieskończoność, nigdy nie prane, zawsze zapocone i zabrudzone – właśnie przez to, że jednak w niedzielę się przebierali, byli w znacznie lepszej od nas, dzieci, sytuacji. Ja, choć tego bardzo chciałem, nawet w święta nie mogłem inaczej niż zwykle wyglądać, bo nie miałem się w co przebrać. Ubranie miałem jedno: na święto i na co dzień, w zimie i w lecie, do kościoła, do szkoły i po domu. Pierwsze palto dostałem dopiero, gdy poszedłem do trzeciej klasy, a poprzednie dwie zimy do szkoły chodziłem w samym ubraniu.

Tu może się rodzić pytanie, czy mi nie było zimno? Oj, było, i to jeszcze jak! To może z tego powodu wyniosłem przeświadczenie, że zimy lat 1934 i 1935 były tak mroźne, śnieżne i wietrzne? Na szczęście zawsze miałem buty z cholewkami.

Otrzymanie nowych butów było wydarzeniem radosnym. Skończyły się uwagi nauczyciela na temat moich brudnych i poradlonych nóg, skończyły się docinki kolegów o hodowli rzepy, a co najważniejsze – nie musiałem już codziennie myć nóg przed spaniem. Popękana i stale niedomyta skóra zaczęła się goić, a ślady ran zaczęły stopniowo zanikać.

Posiadanie własnych butów w pewnym stopniu nobilitowało ich właściciela. Moja sytuacja pod tym względem była pomyślna, bo nie miałem rodzeństwa, z którym musiałbym je wspólnie użytkować. Różnica czterech lat, dzieląca mnie od starszej siostry, wykluczała taką konieczność. Moi rówieśnicy pod tym względem mieli gorzej, bo u nich jedne buty przypadały na dwie lub trzy osoby. Rekord niedostatku pod tym względem panował w rodzinie mojego brata ciotecznego – Franka Oraczewskiego: liczba dzieci zwiększała się średnio co półtora roku o jedną osobę, by zatrzymać się na dziesięciu, a jednocześnie jego dochody raczej kurczyły się, a nie rosły. Franek buty kupował tylko dla najstarszego, później dla dwóch, by mieli w czym pójść do szkoły. Z nadejściem zimy młodsze dzieci nie wychodziły z łóżka, bo nie miały w czym, a za swoją potrzebą biegly do chlewa w butach ojca lub najstarszego brata.

W porównaniu z nimi ja w swoich butach czułem się wśród nich niczym angielski XIX-wieczny kolonista wśród czarnych tubylców Afryki. Wdzięczny byłem ojcu za to, że wyłożył na mnie 13 złotych, i szewcowi amatorowi Władkowi Woźniakowi z Małego Biórkowa, że mi takie buty uszył. Co prawda nowe corocznie były tylko spody, doszywane do starych cholewek, ale i tak wyglądały świetnie.

Buty więc, eksploatowane okresowo od listopada do kwietnia, stanowiły jedyny jaśniejszy punkt w moim ubiorze, co do pewnego stopnia mogło być realizacją przysłowia „poznać pana po cholewach”.

Gospodarka

Dla mieszkańców Biórkowa, Wronina, Łyszkowic czy innych sąsiednich wsi istniały przed wojną tylko dwie możliwości zapracowania na utrzymanie siebie i rodziny: w swoim gospodarstwie dla tych, którzy takie posiadali, i we dworze u pana Woźniakowskiego; dla fernali i służby dworskiej przez cały rok, dla dochodzących – sezonowo. Można tu jeszcze dla ścisłości dodać, iż szczególnie pracownicy, skromni i zadowolający się zapłatą w postaci kilku złotych miesięcznie (jak np. Szydłowska u nas) mogli znaleźć zatrudnienie w charakterze służących lub wyrobników u „grubych” gospodarzy, ale tych w okolicy było tylko kilku, a warunki życia i pracy u nich były feudalne.

Praca więc, jeśli już była, to tylko na roli. Nie licząc tak wyjątkowych posad, jak dróżnika (szczęściarz!), kilku robotników torowych na kolejce wąskotorowej, woźnego w szkole czy stójkowego w gminie – innych możliwości zarobkowania nie było. O dojeżdżaniu do pracy do Krakowa, oddalonego przecież tylko o 22 kilometry, nikt nawet nie myślał, bo i tam było bezrobocie, a nawet jeśli komuś udało się znaleźć pracę sezonową, to koszty codziennego dojazdu wielokrotnie przekroczyłyby ewentualny zarobek. Dlatego też myśl o zatrudnieniu w Krakowie była nierealna.

Tymczasem rąk do pracy przybywało. Rodziny były liczne, choć sama Wiktoryjka była pod tym względem wyjątkowym środowiskiem. „Inność” pochodzenia Akuleńków, Błaszkwiczów, Pankowskich, gdzie było tylko po dwoje dzieci, poważnie obniżała średnią liczbę dzieci na rodzinę wiktoryjską. Natomiast jeśli idzie o okolicę, to nasza rodzina z trójką dzieci zaliczana była do grupy małodziejnych. Już bardziej typowa była rodzina Franka Oraczewskiego, który konsekwentnie zmierzał do osiągnięcia dwucyfrowej liczby potomstwa.

– Do Bóg dziecko, do i na dziecko – mówił niejeden, któremu bocian przyniósł piąte czy siódme dziecko i który wcale przy tej okazji nie przyrzekał, że na tym skończy.

Dopóki dzieci były małe, trzeba się było troszczyć o ich ubranie, nakarmienie i o to, żeby miały jako tako na czym i pod czym spać. W miarę jak dorastały, problemy związane z liczną rodziną nie malały, a przeciwnie – rosły. Znalezienie dla chłopca lub dziewczyny zajęcia, nawet oddanie do służby za jedzenie i ubranie czy też posłanie na pańskie, nie było łatwe. Parobków było pod dostatkiem, a dwór też miał dość służby i robotników. Każdy starał się więc wykorzystać własne dziecko w gospodarstwie, by choć trochę mieć z niego korzyści. Nic zatem dziwnego, że w takiej sytuacji wszystko, co chłop produkował, było bardzo tanie, nieproporcjonalnie do ilości włożonej pracy ludzkiej. Rąk do pracy był nadmiar, każda praca musiała się opłacać.

Tak było i w naszym domu. Nam też wszystko opłacało się robić, choć dawało to nieraz dochód minimalny. Wszystko, cokolwiek na naszej ziemi urosło, było skrzętnie zbierane i wykorzystywane. Nawet chwasty, których nigdy nie brakowało. Na pewno nie z mlekiem matki wyssałem kult i szacunek dla kromki chleba, kłosa żyta, wyrosniętego buraka pastewnego czy też kępy zielonej trawy, ale wpojono mi to uczucie własnym przykładem i słowem rodziców, potwierdzono przykładem i podobną postawą sąsiadów. I dlatego też, kiedy patrzę dziś na burzany przerośniętej trawy w przydrożnych rowach na Wiktoryjce, coś we mnie protestuje, że ta trawa, będąca czterdzieści lat temu własnością dróżnika, była nieomal wykradana, a dziś, kiedy stanowi własność gospodarza, do którego pola dany odcinek rowu przylega, marnuje się i stanowi wylęgarnię chwastów dla okolicznych pól.

Podobne wrażenie wywołuje widok nie skoszonego zieleńca w mieście. Ta trawa była kiedyś darem – dziś stanowi kłopotliwy problem.

W domu naszym paszy dla gadziny było zawsze za mało. Łąki nie było, koniczyny siało się parę arów, bo pole potrzebne było pod zboże, ziemniaki, buraki, od 1938 roku – pod tytoń. Szczególny brak paszy występował na wiosnę, kiedy stare buraki już się skończyły, nowe nie miały jeszcze tak dużych liści, żeby je można było zrywać, zabrakło też słomy z ubiegłorocznych zbiorów. Wtedy nie było „na lik” co dawać gadzinie. I dlatego ojciec corocznie dogadywał się z dróżnikiem Stefańczykiem, od którego za 5 zł kupował trawę na rowie po jednej stronie szosy od mostku Wilkowego po drogę do Wronina koło Szopy. Przez dwa lata za dopłatą 2 zł odcinek ten był wydłużany aż po mostek Pankowskiego.

Przy zawieraniu umowy było zastrzeżone, że trawę na rowie można tylko wykaszać, bo wypas krów jest zabroniony z uwagi na osuwanie się jego brzegów. I już w tym momencie zakładało się, że warunek ten przez nas nie będzie spełniony, bo my potrzebowaliśmy trawy już na początku wiosny, kiedy ona jeszcze do koszenia nie nadawała się. Przepis przepisem, a życie wymagało jego obchodzenia. Dróżnik też o tym wiedział, ale udawał, że wierzy zapewnieniom ojca, iż trawę będzie tylko kosił. I corocznie, gdy trawa ledwie zazieleniła się, ojciec wydawał mi wcale nie nowe polecenie:

– Edek, weź no krowe na łańcuch i popaś ją na rowie, ino żeby cie Stefańczyk nie widziół. Patrzój, jak będzie sed, to uciekój z krowom do domu!

I ja prowadziłem na rów Krasulę, która wprost dławiała się młodą zieloną trawą, a ja pilnie baczyłem, czy zza zakrętu pod Pankowskim nie wylania się najpierw łopata niesiona na ramieniu przez dróżnika, później czapka rogatywka

i w końcu cała jego postać. Wtedy, nie zwracając uwagi na stawiany przez Krasulę opór, ciągnąłem ją co sił za łańcuch z rowu i pędziłem z nią prosto do domu. Stefańczyk, chłop w ciemność nie bity, wiedział, że przed jego pojawieniem się w najlepsze łamałem przepisy i niszczyłem efekt jego pracy pielęgnacyjnej. Ta moja destruktywna działalność oburzała go i jako opiekuna drogi państwowej, i jako bezpośredniego wykonawcę, ale przez jakiś czas udawał, że tego nie dostrzega. Z czasem miarka się jednak przebrała i coraz częściej zachodził do ojca, mówiąc:

– Macieju, już wam mówiłem, że krowy na rowie pasz nie wolno, a wos chłopok dalej pasie. Jak go jescce roz złapie – podom do gminy i pódziecie siedzieć.

Ojciec dla miłej zgody przyznawał rację dróżnikowi, częstował swojakiem i jak umiał – zagadywał, pomstował na mnie, że „pieron wcale nie słucho, co się do niego mówi”, ale swoje myślał i jak tylko Stefańczyk skrył się za pagórek koło Panka, mówił:

– Jazda z tom krowom na rów, ino żeby cie Stefańczyk znów nie zoboczył.

I tak to pasienie krowy stało się dla mnie obowiązkiem nie tylko trudnym, ale i odpowiedzialnym. Zamiast oddawać się marzeniom o przyjemnych rzeczach, musiałem nieczym żołnierz na posterunku baczyć, by nie przegapić niebezpiecznego wroga – dróżnika. Tak długo jednak w dzbanie wodę noszą, aż nie urwie się ucho.

Stefańczykowi w końcu znudziła się ta zabawa w chowanego, a może po prostu spodziewał się jakiejś kontroli i przy okazji nie chciał podpaść sam, że nie umie pilnować porządku na swoim odcinku drogi. Dość, że pewnego dnia po „ostatecznym” uprzedzeniu ojca, że dłużej nie będzie tolerował mojego pasienia krowy na rowie, jak zwykle udał się w kierunku Posądry. I kiedy ja znów znalazłem się z Krasulą w rowie, „nakrył” mnie na gorącym uczynku,

wykorzystując chwilę mojego zagapienia się i własną przebiegłość. Podjechał przygodną furmanką tak niespodziewanie, że kiedy znalazł się tuż przy mnie, poczułem się jak sparaliżowany. Już nie ja, a on przyprowadził Krasulę pod dom i oddając ją w ręce ojca, lojalnie uprzedził, że teraz to już na pewno meldunek poleci do gminy.

Jak obiecał, tak zrobił. Nawet długo nie trzeba było czekać, gdy stójkowy z gminy przyniósł papier urzędowy, z którego wynikało, że ojciec ma się stawić w gminie celem odsiedzenia trzech dni w tamtejszym areszcie. Przekleństwa i złorzeczenia, jakie po otrzymaniu tego zawiadomienia skierował on pod adresem dróżnika, trudno byłoby spisać na wołowej skórce. Gdyby choć część z nich miała się sprawdzić, to Stefańczyk nie mógłby nawet żywy do domu wrócić. Na szczęście dla niego nie słyszał ich i jako administrator i konserwator drogi państwowej od Zielonej do Posądy żył bardzo długo.

Na drugi dzień ojciec, rad nierad, zawinął w gazetę pół bochenka chleba, do butelki nalał litr mleka i po zaleceniu nam, byśmy się słuchali Szydłowskiej i robili wszystko, co ona nam poleci, pożegnał się z nami tak serdecznie, żeśmy się wszyscy popłakali, i poszedł siedzieć. Pierwszy raz – jak zapamiętałem – ojciec opuszczał dom na parę dni i do tego udawał się z misją, którą nie wypadało się nawet przed sąsiadami pochwalić. Widać było, że mu te „wczasy”, załatwione przez Stefańczyka, wcale się nie podobały, ale starał się, jak tylko umiał, i nas, i siebie pocieszyć:

– Przynajmniej pare dni cłek se odpocnie i sie wyśpi.

Po powrocie ojca z gminnego aresztu wszystko wróciło do poprzedniego stanu, tzn. dalej pasąłem krowę w rowie i dalej uważałem, żeby mnie dróżnik nie przyłapał. Zmieniło się na parę tygodni tylko to, że gdy ojciec ze Stefańczykiem spotykali się na drodze, to obaj udawali, że się nie widzą. Obaj w tym czasie patrzyli w przeciwnych

kierunkach i gdyby któregoś z nich wtedy osa użądliła w czoło, to żaden by jej nie usiłował stamtąd spędzić, żeby drugi nie pomyślał, że tamten przymierza się do dotknięcia kapelusza lub okucia rogatywki.

Ktoś może dziś pomyśleć: odrobina zakurzonej i zapiaszczonej trawy w przydrożnym rowie, a tyle o niej gadania. Tak to wydaje się dziś, ale wówczas była to dla nas sprawa poważna. Gdy krowa ryczała z głodu, człowiek był gotów nie tylko dróżnikowe zalecenia łamać. Można ją było co prawda wyprowadzić na trawnik przed domem lub sierpem nażąć nieco trawy na granicy, ale oba te miejsca były zawsze „wygolone”.

Gdzieś w lipcu problem żywienia krowy nieco łagodniał. Więcej było chwastów, a i buraki już na tyle podrosły, że można było zrywać z nich liście. Te buraczane liście („burocyny”) były doskonałą karmą nie tylko dla krowy, ale i dla świń. Jednak buraków było niewiele, a na każdym z nich z dnia na dzień było mniej liści. A tu trzeba ich było dużo, szczególnie w sobotę, kiedy należało narwać nie tylko „na dziś”, ale i na święto, żeby w niedzielę nie wychodzić w pole, bo grzech. Gdy do tego jeszcze był suchy rok i liście nie tylko nie zdążyły odrosnąć, ale nawet usychały – zrywanie burocyn było i męczącą pracą, i... szkołą samodzielnego podejmowania decyzji.

– Smaruj, Edek, na burocyny – wydawał polecenie ojciec – i narwij tyle, żeby lo krowy i lo świń starcyło na jutro! Ino uważaj, żebyś z jednego krzoka nie rwoł za dużo, bo burok uschnie.

Łatwiej było takie asekuranckie polecenie wydać, trudniej je było wykonać. Na poszczególnych roślinach były najwyżej trzy–cztery listki, i do tego nie rozwinięte w pełni. Dlatego też podjęcie decyzji, którą pozbawić kolejnego liścia, było sprawą nieprostą, wymagającą zastanowienia.

Podobnie rabunkową gospodarkę na swoich polach prowadzili nasi sąsiedzi. U nich też liście buraków stanowiły podstawową karmę dla bydła i dla trzody chlewnej w okresie lata. Nic więc dziwnego, że ogołacane z liści buraki nie wyrastały i jesienią w czasie wykopków w niczym nie przypominały swoich braci, którym dane było rosnąć na dworskich polach. Z dworskich buraków nikt liści nie zrywał. Dlatego też idąc koło dworskiego pola, nieraz z żalem myślałem, że gdyby mi przyszło tu zrywać burocynty, to nie tylko parę „narącek”, ale i całą furę można by ich w try miga nazrywać; było ich tak dużo, takie były grube i jędrne. Jednym się tylko pocieszałem, że część tych liści i tak będzie nasza, ale dopiero jesienią, gdy przyjdą wykopki.

Rzeczywiście, gdzieś w listopadzie, kiedy w domu było już wszystko z pola zebrane, dwór rozpoczynał wykopki buraków cukrowych. Pastewne zebrał już wcześniej siłami własnej służby, ale cukrowe pozostały w polu. Czasem nawet przymrozki skuwały wierzchem ziemię, a one nadal rosły w polu. Dwór się nie spieszył, bo wiedział, że ludzie ze wsi i tak przyjdą, za cenę zabrania całej – a najczęściej połowy – naci wszystkie przed zimą wykopią, pięknie z ziemi obiorą i w kształtne pryzmy ułożą. I nigdy się nie pomylił.

Gdy tylko połowy ogłosił, że jutro rozpoczynają się we dworze wykopki, skoro świt na kilkudziesięciohektarowym polu dworskich buraków jawiły się tłumy okolicznej ludności i rozpoczynały się umizgi do połowego. Od niego zależało wszystko, a każdy chciał zająć jak najwięcej najlepszych rządów, by tej naci dla siebie dużo obrać. Pole było olbrzymie, rządki długie zwykle na kilometr. Połowy, chłop doskonale znający się na rzeczy, tylko rzucił okiem po tłumie i już wiedział, jakie warunki podyktować zrywaczom: dać im całą nać, połowę, a może wystarczy tylko trzecią część, a resztę zagospodarować we własnym zakre-

sie dla dobra dworu i pana. Wszystko zależało i od pogody, czy było deszczowo i zimno, czy też słońce świeciło, od liczby kandydatów i wreszcie od jakości liści na burakach. Warunki umowy dyktowane były indywidualnie, bo niezależnie od czynników obiektywnych polowy kierował się też względami osobistymi. Co było zrobić, on tu był panem, a właściwie to pana zastępował i reprezentował. Pan najwyżej przejechał się na koniu po polu, bardziej dla rozrywki, niż w celu sprawowania nadzoru nad przebiegiem prac. Wierzył swojemu pracownikowi, a poza tym nie chciał zajmować się tak drobnymi sprawami, jak wykopki buraków cukrowych.

Na decyzje polowego nikt jednak nie narzekał, targów nie prowadzono. Ostatecznie dwór nie prosił o pracę przy wykopkach, a jedynie dawał szanse poprawy bilansu paszowego poszczególnym gospodarzom. Każdy więc po otrzymaniu przydziału rządaków brał się z kopyta do roboty, bo to i czasu było szkoda, i przejmujący najczęściej ziąb zmuszał do ruszania się. Buraki były głęboko wrośnięte w ziemię, o ręcznym ich zrywaniu nie było nawet mowy. Trzeba je było „zrywakiem” najpierw umiejętnie podważyć, żeby ich przy tym broń Boże nie uszkodzić, a następnie delikatnie wyjmować i układać starannie na kupę, by ziemią nie zanieczyszczać liści. To było zajęcie dla mężczyzn. Kobiety, opatulone we wszystko, co tylko brudnego i ciepłego było w domu, siadały przy tak ułożonych przyzmach i tyle uważnie, co szybko odkrawały liście i usuwały z korzeni ziemię. Wyuczonymi ruchami robiły to bardzo sprawnie, a praca była odpowiedzialna: liście nie mogły być ani za głęboko, ani za wysoko odkrawane, a na korzeniu nie mógł pozostać nawet gram ziemi, bo polowy stale krążył po polu i pilnie baczył, czy jego zalecenia co do sposobu obierania są w pełni przestrzegane. A wzrok miał tak bystry, że dostrzegł każdy burak obrany nie tak, jak trzeba. Każdego



Dwór w Biórkowie Wielkim wzniesiony na przełomie XVIII i XIX w.
Stan budynku z roku 2007.

przejawu niestaranności w pracy nie omieszkął surowo potępić i skomentować:

– Tak rznać buroki to se możecie u siebie – mówił. – Tutoj mocie robić tak, jak kozołem, a jak sie wom nie podobo – to jazda z pola. Przyjdom inni i zrobiom jak trzeba.

Niestaranność, dyktowana pośpiechem, narażała sprawcę tylko na ostrą wymówkę stróża interesu dziedzica. Natomiast nawet nieumyślna pomyłka, polegająca na wrzuceniu zerwanego buraka do kupy naci, kończyła się zawsze przepędzeniem winnego z pańskiego pola, gdyż traktowana była jako chęć kradzieży cukrodajnej rośliny dworskiej. Dodatkową karą za ten czyn był zakaz zabrania tej naci, którą sprawca zdążył już sobie obrać.

W takich to mniej więcej warunkach corocznie na olbrzymim polu dworskich buraków trwał swoisty wyścig pracy ludzi wolnych, za poważnych gospodarzy uważających się, którym za ich ciężką pracę dwór płacił jedynie tym, co dla niego było w zasadzie zbędne, bo jego bydło miało co jeść. Nikt nie narzekał na warunki pracy, na sposób traktowania przez służbę dworską, tylko każdy drapał z ziemi te buraki i czyścił je tak starannie, jakby brał udział w konkursie kto lepiej i więcej. Praca trwała od świtu do zmroku i tylko rzęsisty deszcz mógł ludzi wypędzić do domu.

Po tygodniu lub dwóch na polu, gdzie przez całe lato rosły dorodne buraki, pozostały tylko olbrzymie przymy tej rośliny, które przez długie jeszcze tygodnie dworscy fornale zwozili na biórkowską stacyjkę kolejki wąskotorowej, skąd już wagonami jechały do cukrowni Chybie. Praktycznie tak długo, jak długo trwał wywóz buraków, w chłopskich zagrodach ich liście stanowiły podstawową karmę dla bydła, która zwiększała zarówno ich mleczność, jak i ich biegunkę, bo co za dużo, to niezdrowo. A nikt nie wiedział w tym czasie, że ta w tak trudnych warunkach zdobyta pasza, mo-

gła być kiszona i w o wiele lepszej postaci wykorzystywana przez długie jeszcze miesiące jako dodatek do innej karmy.

W ogóle jesień była najbardziej sytą porą roku i dla zwierząt, i dla ludzi. Może dlatego też darzyłem ją wtedy i darzę ją dziś tak dużym sentymentem. Na nadejście jesieni czekałem już na wiosnę, a jej początek kojarzył mi się z zakończeniem żniw. Nie tylko dlatego, że był nowy chleb i że było go pod dostatkiem. Zawsze jakoś bardziej myślałem o zwierzętach niż o sobie.

Ścierniska szybko porastały chwastami i wykruszonym w czasie żniw zbożem. Nie było zwyczaju szybkiego ich zaorywania, stanowiły więc doskonałe pastwiska i to nie tylko własne, ale i sąsiadów, a przede wszystkim dworskie. Co to była za frajda wygnać krowę na takie zazielenione pastwisko i puścić ją luzem, niech skubie, gdzie się jej podoba. To wcale nie było to, co trzymanie jej na łańcuchu w rowie i czuwanie, czy nie idzie dróżnik. Ze ścierniska ani sąsiad, ani dwór nie przepędzał. Krasula skubała, gdzie chciała, a ja mogłem robić, co mi się podobało: czytać książki, oddawać się marzeniom lub zbierać łożwiane kulki rozsiane po polach przez rosyjskie i austriackie działa w szrapnelowych pociskach podczas ostrzału w 1914 roku. Jeśli jeszcze tak się złożyło, że razem ze mną pasł swoją krowę któryś z moich kolegów – trudno było wieczorem dowołać się, bym wracał do domu.

Jesień. Dobra, bo syta i spokojna to była pora roku. Po niej na drugim miejscu cenilem sobie lato, a to głównie z uwagi na truskawki i wiśnie, które rosły przy szosie.

Truskawki w tym czasie uprawiali w naszej okolicy przede wszystkim mieszkańcy Zielonej, gdzie pola były pagórkowate i na ich południowych zboczach roślina ta bardzo się udawała. To właśnie stamtąd ojciec przyniósł w 1936 roku trochę rozsady i od tego czasu truskawki sadziliśmy już corocznie na obszarze około ćwierci morgi. Byliśmy

pierwszymi na Wiktoryjce, którzy zaczęli uprawiać truskawki. Inni nie byli przekonani, że to się opłaca, czekali, jak Maciek na tym wyjdzie, ale wszyscy lubili je jeść i to dla nas było nawet bardzo kłopotliwe, bo trudno było się opędzić przed proszonymi i nieproszonymi gośćmi. Ci ostatni to szczególnie dzieci i młodzież z całej niemal okolicy.

Gdy nadchodził okres dojrzewania i zbioru truskawek, zmieniał się tryb mojego życia. Na pagórku, gdzie one rosły, stawiało się budę ze słomy, w której trzeba było stale dyżurować, by nie dopuszczać do ich zjadania przez wrony i przez tych, którzy po cudze owoce tak chętnie wyciągali ręce. Pilnowanie truskawek to był przede wszystkim mój obowiązek. Przez pierwsze dni stanowiło to dla mnie atrakcję i przywilej, którym z nikim nie chciałem się dzielić. Jednak gdzieś po tygodniu, gdy wylegiwania się w budzie i zjadania świeżych owoców miałem już dość, każde przypomnienie mi przez ojca: „Edek, skoc no zoboc na trukowki, cy tam ni ma wron albo złodzieja” traktowałem jako niezasłużoną karę i wtedy odpowiadałem z płaczem i złością:

– A cós to, cy truśkowki som tylko moje? Niech Gienia idzie i zobocy, jo już byłem dzisiej pieńć razy.

Pilnowanie truskawek, choć było zajęciem nudnym, to jednak było niemęczące. Ciężką pracą był dopiero ich zbiór, szczególnie gdy nadszedł pełny wysyp i dziennie trzeba było zebrać 100–150 kg tego owocu. A wszystko zaczynało się tak przyjemnie od jednego lub najwyżej dwóch kilogramów. Na Zielonej, gdzie odbywał się skup truskawek, na początku sezonu można było uzyskać cenę do 40 groszy za kilogram, a więc równowartość prawie pół kilograma cukru. Opłaciło się więc zbierać, bo pracy było niewiele, a grosz ładny. Z każdym dniem jednak podaż była większa, a ceny spadały.

W szczyście sezonu, gdy producenci zaprzestali przyniesienia, a zaczęli przywozić pełne fury tych owoców, ich

cena spadła do 4–6 groszy za kilogram, a bywały dni, kiedy i po tej cenie nie było komu ich sprzedać. Dzienny utarg 6 lub 8 zł też był nie do pogardzenia, ale zebranie 100 lub 150 kg truskawek wymagało olbrzymiej pracy. Zbiór odbywał się najczęściej w południe, gdy słońce najbardziej grzało. Godziny zbierania w upale były tak męczące, że nawet praca przy żniwach wydawała się nieporównywalnie lżejsza. Pot zalewał czoło, krzyż bolał, a przed oczami jęły pojawiać się czerwone plamy. To był sygnał, że organizm już nie wytrzyma temperatury i wysiłku i że człowiek znajduje się na granicy omdlenia. W takich chwilach tylko marzyłem o tym, żeby się napić zimnej wody, wejść do ocienionej budy i położyć się bez ruchu.

Sezon truskawkowy, znaczony tak ciężką pracą, był jednak okresem, na który czekało się cały rok. Codziennie był świeży grosz, zaraz na Zielonej można było kupić i chleb, i słoninę, nie było więc problemu, co w tym czasie jeść, a do tego można było pozatykać najbardziej dokuczliwe dziury w domowym budżecie. Gdy kończyły się truskawki, wysychało to jedyne cienkie źródło dochodów i znów zdobycie 50 groszy stawało się problemem.

W sumie te ćwierć morgi truskawek dawało nam dochód rzędu 100–150 zł i to w okresie, gdy w domu nie było nic innego do sprzedania. Tylko ten, kto żył w tym czasie na wsi, potrafi ocenić i docenić, jakie znaczenie miał taki zasiłek gotówkowy dla pięciomorgowego gospodarza. Więcej z takiej powierzchni pola można było uzyskać jedynie za tytoń, którego uprawę podjęliśmy w 1938 roku. Do tego trzeba jeszcze uwzględnić i tę korzyść, że przez trzy tygodnie jedliśmy bez ograniczeń świeży owoc, co już przez cały rok się nie powtórzyło. O tym wiedzieliśmy i dlatego każdy z nas jadł więcej, niż miał na to ochotę, bo w nawale pracy truskawki stanowiły często jedyne nasze pożywienie w ciągu dnia. Nic więc dziwnego, że ten tak smaczny,

ale jedzony bez umiaru owoc, „wychodził nam bokiem”, a popijany zimną wodą ze studni dawał biegunkę „na trzeci zagon”.

Jeszcze niezupełnie skończyły się truskawki, a już zdążyły dojrzeć przydrożne czereśnie. Był to owoc dosłownie zakazany, bo nie był nasz. Stanowił własność państwową, sprzedawaną corocznie na pniu Paluchom z Siedlisk. Dopóki czereśnie były zielone, nikt się nimi nie interesował, ale gdy tylko zaczęły żółknąć – amatorów zrywania było pełno. Nic więc dziwnego, że Paluchy sami i przez wynajmowanych ludzi pilnowali ich i w dzień, i w nocy.

Czereśnie były jednak blisko i bardzo nisko. Wystarczyło wejść do żyta, przy którym drzewo rosło, i wyciągnąć rękę, aby ich nazrywać do woli. Nie było to jednak takie łatwe, bo pilnowacze mieli dobry wzrok, nawet na odległość 300 metrów potrafili dostrzec zamach na dobro swego chlebowdawcy i przy pomocy solidnego kija, z którym się nigdy nie rozstawali, skutecznie przepędzali śmiałka. Z tego też powodu w dzień czereśnie były praktycznie nieosiągalne, ale za to w nocy dla chcącego nie było nic trudnego. Jeśli więc z każdym dniem przybywało gałęzi pozbawionych nie tylko owoców, ale i liści, to był to wynik nocnych podrywek tych, którym czereśnie szczególnie smakowały. Te nocne podrywki prowadzone były z całą bezwzględnością i każdy, kto się do drzewa dostał, rwał i owoce, i liście, a nawet całe gałęzie, które dopiero gdzieś w bezpiecznym miejscu były dokładnie obierane.

Występowało tu ciekawe zjawisko: nikt nie potępiał takiej kradzieży, bo tego nikt ani kradzieżą nie nazywał, ani nie uważał za grzech powszedni. Był to jedyny przypadek, kiedy miejscowa opinia akceptowała zabór cudzego mienia, choć podobna kradzież zboża albo ziemniaków z pola czy siana z łąki były wprost nie do pomyślenia. Nawet najbiedniejszy i najbardziej potrzebujący nie wyciągał ręki po

cudzy plon na polu (co innego kradzież z domu, stodoły czy chlewa, to było na porządku dziennym), ale z czereśniami było inaczej. I dlatego też pilnowacze musieli tak bardzo uważać i działać tak stanowczo, bo inaczej na drzewach nic by nie pozostało.

Nadchodził jednak czas, kiedy czereśni można było pojeść do syta legalnie. Paluchy nie byli w stanie sami obrać setek drzew, które rosły na wykupionym przez nich odcinku drogi, i dlatego musieli angażować miejscowych chłopaków do tej pracy za wynagrodzeniem 50 groszy dziennie. Był to wcale ładny zarobek, ale niestety krótkotrwały, bo sezon zbioru trwał niewiele więcej ponad tydzień.

Zdarzało się jednak tak, że i przez ten tydzień dochodziło do kilkakrotnej zmiany pracowników. Następowало to niejako wbrew woli umawiających się stron, bo przedwczesne zerwanie umowy nie wychodziło na dobre ani pracodawcom, ani pracownikom. Całkowitą winę za ten stan rzeczy ponosiła jednak nasza chytryść i to nie tyle na pieniądze, co na owoce. Każdy z nas w pierwszym dniu pracy tyle czereśni wkładał do ust, co i do koszyka. A co za dużo, to niezdrowo. Żaden organizm nie był w stanie strawić 3–4 kg tych owoców zjadanych w ciągu dnia. Do tego trzeba jeszcze dodać, że między nami, zrywaczami, robione były zakłady, który z nas zje więcej czereśni z pestkami. Zwycięzcą zostawał ten, kto na drugi dzień mógł pochwalić się największą ilością wydalonych pestek. Wszystko było sprawdzane, gra była rzetelna, tylko skutki dla zawodników opłakane. Nasz system trawienny nie wytrzymywał warunków konkurencji i pierwszy dzień pracy bywał najczęściej ostatnim, bo przekarmiony organizm musiał na drugi dzień odpoczywać.

Paluchy znali nasze pobudki, którymi kierowaliśmy się, przystępując do pracy. Co jednak mieli robić? Zabraniać nam zjadania czereśni nawet nie próbowali, bo kto by tam upilnował domowego złodzieja. Nie mogli stać przy każ-

dym drzewie i baczyć, by zrywacz nie jadł ich owoców. Mogli natomiast i robili co innego, co w danej sytuacji dość skutecznie chroniło ich interesy: w zawieranej umowie zastrzegali sobie, że wypłata zarobionych pieniędzy dokonywana będzie po zakończonym sezonie obierania czereśni i tylko pod tym warunkiem, że zrywacz przepracuje cały sezon. Jeśli natomiast delikwent z jakiegokolwiek powodu wcześniej zrezygnuje z pracy – zarobione wcześniej pieniądze przepadają. Pojęcie „chorobowego” nie było znane.

Środowisko

Kto nie mieszkał na wsi, ten nigdy nie zrozumie, jak niezbędne jest tu ścisłe współzycie sąsiadów bliżej lub dalej od siebie mieszkających i jak względne jest tu pojęcie „najbliższa okolica”.

W mieście możemy żyć lat kilkanaście w jednym domu i nie znać nawet nazwisk sąsiadów. Zupełnie inaczej było w czasach mojego dzieciństwa: każdy chciał o każdym wiedzieć jak najwięcej. Stan rodzinny, majątek, moralne prowadzenie się (chodziło tu przede wszystkim o tzw. sprawy męsko-damskie i regularność chodzenia do kościoła, bo to, czy i ile pije albo czy nadmiernie biją żonę lub dzieci już znacznie mniej interesowało sąsiadów), zaradność i umiejętność gospodarowania – czego zewnętrznym wyrazem był wygląd koni i zaprzęgu, a nie ich właściciela – to były najbardziej interesujące szczegóły dotyczące każdego człowieka, mieszkańca zarówno rodzinnej wsi, jak i dalszych miejscowości. Dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, jakie zawsze mogły się zdarzyć, bo ludzi o podobnych nazwiskach i imionach mogło być kilku, wystarczyła drobna uwaga w rodzaju: „ten, co ma łąkę przy kolejce”, „ten, któremu śkapa padła we żniwa” lub „ten, co żyje na kocią łapę z Iksińską”. Takie uściślenia eliminowały wszelkie nieporozumienia. W tym samym celu używano też różnych przezwisk lub przydomków. Jeśli cho-

dzi o przewiska, to były one zwykle dosadne i obraźliwe dla zainteresowanych, dlatego w ich obecności raczej nie wypowiedane, chyba że ktoś chciał delikwentowi celowo dokuczyć.

Informacje personalne, krążące między ludźmi, były tak szczegółowe, wiarygodne i aktualne, że o podobnych mogą tylko marzyć wszystkie organizacje policyjne świata. Szybkość i częstotliwość ich przepływu była niezależna od odległości dzielących poszczególne ogniwa przekazu. Był to w tym czasie system niezawodny, sprawnie działający i choć nie poprawiał naszych ciężkich warunków życia, to jednak w odczuwalny sposób życie to uatrakcyjnił.

Dla nas, wchodzących w nowe środowisko, sprawny przepływ informacji na temat ludzi, wśród których mieliśmy odtąd żyć, był szczególnie pożądanym. Pozwalał bowiem przyjąć odpowiednią postawę wobec poszczególnych sąsiadów, którzy – o czym szybko zdążyliśmy się przekonać – różnili się między sobą nie tylko wyglądem zewnętrznym, sposobem życia, zamożnością, ale i pochodzeniem społecznym. Po prostu nie wszyscy pochodzili z chłopów, co różniło społeczność Wiktoryjki od innych środowisk w okolicy.

W drugiej połowie 1928 roku dom był ukończony i mogliśmy wreszcie przenieść się na Wiktoryjkę. Tak przynajmniej potocznie określaliśmy swoje nowe miejsce zamieszkania, choć faktycznie zamieszkaliśmy na polach wsi Wronin, na tzw. Płuskach. Wiktoryjka była najbardziej na wschód wysuniętą kolonią wsi Biórków Mały, położoną po północnej stronie szosy Kraków–Proszowice. Szosa ta formalnie dzieliła na naszym odcinku Wronin od Biórkowa – faktycznie łączyła nas z mieszkańcami tej kolonii.

Zarówno do centrum Wronina, jak i Biórkowa Małego odległość od naszego domu była jednakowa, ale do macierzystej wsi trzeba było iść polami lub po nieprzejezdnych

często drogach polnych – do Biórkowa szło się wygodnie „za szosą”.

Po naszej stronie szosy nasz dom w tym czasie był jedyny „wroniński”, natomiast po drugiej stronie „pod ręką” mieszkało pięciu sąsiadów: Baranek, Błaszkwicz, Akulenko (Iwan), Derela i Dziuba. Nieco dalej na zachód, już po naszej stronie szosy na Łysej Górze mieszkało jeszcze trzech sąsiadów: Pankowski, Musiał i Akulenko (Olek). O jednych i drugich mówiło się, że mieszkają „na Wiktoryjce”, i tak zaczęto mówić również o nas.

W pierwszej połowie lat trzydziestych we wsiach Łyszkowice, Wronin, Biórków i in. przeprowadzona została komasacja gruntów, przez co zyskaliśmy trzech nowych sąsiadów: Wilka z Wronina, Pałetkę i Panka z Łyszkowic. Oni również poszli za naszym przykładem i poczuli się mieszkańcami Wiktoryjki.

Sąsiedzi

Najdalej na wschód mieszkała rodzina Baranków. Ich dom był maleńki, drewniany, mieściły się w nim jednak i kuchnia, i pokój, i nieduży chlewik dla jednej krowy oraz komora, w której stały żarna do mielenia zboża, często przez gospodarzy i sąsiadów używane. Baranki mieli tylko dwa morgi pola, ale za to sześcioro dzieci. Głównym źródłem ich utrzymania było wyplatanie z wikliny różnych koszyków i „półkosków” na wozy, przy czym zatrudniani byli wszyscy członkowie rodziny pod fachowym kierownictwem głównego wykonawcy – ojca. Byli to ludzie pracowici, a sam Baranek znany był w okolicy nie tylko jako fachowiec w wyplataniu koszyków, ale i doskonały kosiarz, murarz, cieśla, a nawet weterynarz amator. Nic więc dziwnego, że wśród sąsiadów cieszył się dużym autoryte-

tem, niewspółmiernym do jego statusu dwumorgowego gospodarza. Również i w swoim domu jego osoba była najważniejsza, o czym świadczyć może m.in. forma zwracania się do niego przez własne dzieci per „wy”, podczas gdy do matki mówiły „ty”.

Drugą cechą obok pracowitości i fachowości, wyróżniającą Baranków w naszym środowisku, było ich „wygadanie” i niezwykle poczucie humoru. Biada była temu, kto nieopatrznie naraził się im, bo ani się spostrzegł, a zdążyli przypiąć mu „latkę”, z której przez długi czas zaśmiewali się sąsiedzi.

– Lepiej ta już z Barankami nie zaczynać – mawiali ludzie i... prawie codziennie schodzili się do ich domu na sąsiedzkie wieczornice, mimo że dom ten był najmniejszy na Wiktoryjce. W „godzinach szczytu” zapełniał się do granic pojemności, bo gości przyjmowano tylko w kuchni, która jednocześnie spełniała funkcję warsztatu wikliniarskiego i sypialni. I choć do siedzenia dla gości pozostawała tylko jedna ława i dwa łóżka, nikt nie narzekał na ścisk i niewygodę.

W całym dziesięcioleciu lat trzydziestych i podczas okupacji dom Baranków w szerszym zakresie od naszego spełniał funkcję klubu rolnika, choć nie podawano tam nic do picia ani do jedzenia. Magnesem przyciągającym ludzi była możliwość wymiany poglądów i informacji oraz snucie wspomnień z bliższej i dalszej przeszłości.

Pomińmy na razie opisywanie treści i formy prowadzonych tu dyskusji, a zajmijmy się przedstawieniem panującej tu atmosfery, która w miarę upływu wieczoru stawała się coraz bardziej gorąca i duszna w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Pojęcie wietrzenia izby było wtedy nieznane i tylko nieuszczelne drzwi i okna były źródłem wymiany powietrza. A było co wymieniać, bowiem wszyscy mężczyźni palili

„swojaka” (z wyjątkiem Ignacego Wilka) i to palili tak intensywnie, że przerwa pomiędzy jednym „skrętem” a drugim była krótsza od czasu jego palenia. Dym tytoniowy gęstniał z każdą chwilą i przysłańiał i tak już słabe światło lampy naftowej.

Najwięcej gości siedziało na łózkach, w tym wszystkie dzieci. Na ławie miejsca było niewiele, tradycyjnie zajmowali ją ludzie starsi, bardziej do wygodniejszego siedzenia predestynowani. Siedzenie na łózkach było też względnie wygodne, ale najbardziej narażone na bezpośredni kontakt z tabunami pcheł, których w słomie znajdującej się w łóżku nigdy nie brakowało.

Ich obecność i aktywność poznać można było po charakterystycznych ruchach obronnych atakowanych, zmierzających albo do przepędzenia intruzów z powierzchni ich ciała, albo też do przechwycenia i zniszczenia agresorów. Przepędzenie dawało tylko chwilowy efekt; insekt eksmitowany z jednego miejsca przenosił się w sąsiednie i dalej swoje robił. Skuteczniejsza była jego likwidacja. Był to proces nieco okrutny, ale społecznie akceptowany.

O ile polowanie na pchły było czynnością towarzysko obojętną, to o wiele rzadsze przypadki przechwycenia innego insekta, wszy, było takim sukcesem, którym nikt się nie chwalił. Uważano, że o ile pchły bywają wszędzie i w każdym domu i to niezależnie od poziomu higieny i zamożności gospodarza, o tyle pojawienie się wszy było objawem zarówno biedy, jak i brudu, a posądzenie kogoś o jedno i drugie było towarzyskim nietaktem. Słusznie również uważano, że wszy przemieszczają się dużo wolniej od pcheł i jeśli ktoś złapał takiego „grubszego zwierza”, to go sobie sam wyhodował i ze sobą przyniósł, a tym nie było się co chwalić.

Pięćdziesiąt metrów na zachód od domu Baranków znajdowały się zabudowania Błaszkieviczów, gospodarzy oś-

miohektarowych, reemigrantów z Ameryki, którzy zarobiwszy za oceanem nieco dolarów, kupili to gospodarstwo tuż po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Ich dom, duży, ale stary, był przeciwstawieniem domu Baranków pod wieloma względami i dlatego może, na zasadzie kontrastu, obie rodziny żyły ze sobą blisko i łączyły je serdeczne stosunki.

Do Błaszkwiczów chodziło się rzadko i na krótko. Goście przyjmowani byli tylko w kuchni i nieczęsto proszeni o siadanie. Ja byłem tam najwyżej kilka razy, a w ich pokoju – nigdy. W domu tym były dwie dorosłe córki, ale jako ładne, majątne i umiejące się cenić, dla miejscowych kawalerów były raczej nieprzystępne. O ich względy ubiegali się lepsi kandydaci, legitymujący się innymi niż morgi i pracowitość walorami; jednym był pan Motyka rodem z Wielkiego Biórkowa, w tych czasach funkcjonariusz tajnej policji państwowej w Gdyni, który po wieloletnim okresie narzeczeństwa ożenił się ze starszą córką już w czasie okupacji. Osiadł wówczas u teściów i przejął pół gospodarstwa. Stał się rolnikiem, ze wszystkimi żył w zgodzie, ale chłopem nigdy się nie czuł.

Do młodszej córki zachodził przez kilka lat podczas urlopów syn Musiała z Sowiej Góry – plutonowy zawodowy Wojska Polskiego.

O ile Motyka, poza starannością w ubiorze i poprawnością języka, niczym się w naszych oczach nie wyróżniał, to pan plutonowy już swoim wyglądem wywoływał ogólne zainteresowanie. Mundur podoficera zawodowego, pięknie skrojony i dopasowany do jego figury, budził u wszystkich, a szczególnie w nas, dzieciach, nieukrywany zachwyty.

Pan plutonowy był chyba świadom własnych atutów, bo na zaczepne spojrzenia dziewczyn nie reagował, do Błaszkwiczów zachodził rzadko i w ogóle rzadko i na krótko przyjeżdżał do rodzinnego domu. Dla nas, tej brzyd-

szej części miejscowego społeczeństwa, i tych małych, i tych dorastających, był do wybuchu drugiej wojny światowej symbolem „wyjścia na człowieka” i w miarę realnym przykładem do naśladowania. Jego wygląd i pozycja społeczno-ekonomiczna były dla nas tak atrakcyjne, że każdy tylko marzył, żeby mu się tak powiodło jak Musiałowi. Dzięki niemu zawód podoficera zawodowego i w moich planach życiowych przez dłuższy czas zajmował pierwsze miejsce, wyprzedzając nawet profesję proboszcza.

Prawda, dostrzegałem np. różnicę w sposobie witania się naszego proboszcza z dziedzicem Woźniakowskim z Wielkiego Biórkowa, wyrażającą się bezpośrednim podaniem i uściśnięciem ręki, zupełnie jak równy z równym, podczas gdy pan plutonowy przy spotkaniu z dziedzicem miał zaszczyt oddać mu jedynie regulaminowy ukłon wojskowy przez salutowanie, ale niegodzien był już ścisnąć dłoni pierwszego obywatela w okolicy. To dawało mi co nieco do myślenia i trochę żał mi było rezygnować z zamiaru zostania księdzem. Zaraz jednak kompensowałem sobie ten niekorzystny w tym przypadku wynik konfrontacji plutonowy–ksiądz pocieszającym stwierdzeniem: A niech tam, ale plutonowy może się ożenić, a proboszcz nie – co ostatecznie przeważało.

Wizyty plutonowego u Błaszkiewiczów, choć budziły tak duże zainteresowanie miejscowej opinii publicznej, przez samych zainteresowanych traktowane były jako rzecz normalna i wcale – tak przynajmniej twierdzili – nie były łączone z konkretnymi zamiarami matrymonialnymi. W końcu wybuchła wojna, z której plutonowy nie wrócił do rodzinnego domu i osoba jego przestała interesować miejscowych ciekawskich, a młodsza córka Błaszkiewiczów wyszła za mąż za krawca Maniaka, z którym zgodnie gospodarowała na drugiej połowie gospodarstwa.

Błaszkiwiczowie byli rodziną „pośrednią”, nie zaliczaną jednoznacznie ani do chłopów, ani do „panów”. Podczas kilkuletniego pobytu w Ameryce zarobili trochę grosza, ale w dużym stopniu pozbyli się chłopskiego sposobu myślenia; zobaczyli inny świat, ale nie nauczyli się języka angielskiego. Z ich opowiadań wynikało, że życie za oceanem mieli niełatwe i że tęsknota za ojczystym krajem zmusiła ich do powrotu.

Od zachodu do zabudowań Błaszkiwiczów przylegało gospodarstwo Jana Akulenki, z uwagi na rosyjskie pochodzenie nazywanego potocznie Iwanem. Był synem byłego carskiego wachmistrza, który po wieloletniej służbie na ówczesnej granicy rosyjsko-austriackiej i „dorobieniu się grosza”, kupił kilkanaście hektarów ziemi z podworskiej resztówki i wraz z rodziną osiadł na Wiktoryjce. Jednego z synów, Aleksandra, ożenił z córką byłego rządcy z Pińczowskiego, Pankowskiego, a jedną z córek wydał za jego syna Stefana. W wyniku tych związków powstały w bliskim sąsiedztwie cztery kilkuhektarowe gospodarstwa, ekonomicznie silne i stosujące nowe, jak na owe czasy, bardziej wydajne metody gospodarowania.

Gospodarstwo Jana było jednym z nich. I choć nazywany był Iwanem lub czasem nawet Moskalem, nikt nigdy nie dociekał, czy był Polakiem, czy Rosjaninem. Do kościoła chodził regularnie, używał raczej „miastowego” języka i w ogóle niczym szczególnym nie wyróżniał się poza tym, iż był panem i, podobnie jak jego brat i siostra, życzył sobie, by zwracać się do niego per „pan”, a nie „wy”.

Do Iwana chodziło się tylko „po interesie”, a jeśli nie było go w domu, to chętnie zachodziliśmy tam z siostrą na rozmowy z jego służącą Maryną. Maryna była starszą panną, nie grzeszyła ani urodą, ani inteligencją, ale była bardzo gościnna i miała dobre serce, a gościć miała czym. Dla nas najbardziej atrakcyjne były owoce, bo tych u nas w domu

– poza truskawkami – nie było nigdy. Akulenko miał duży sad, który ja traktowałem jako wspólną własność, o czym wcale Akulenko nie wiedział. A może tylko udawał, że nie dostrzega moich skrytych zamachów na jego owoce? W każdym razie, gdy gościła nas Maryna, dostęp do nich był niczym nie ograniczony; jesienią w sadzie, w czasie zimy i na wiosnę – w schowku. Maryna cieszyła się, że ma gości, my jedliśmy do zaspokojenia głodu i na zapas.

Przebywanie u Maryny, penetrowanie „pańskiego” domu i całego obejścia było dla nas nie lada frajdą. Tam po raz pierwszy w życiu zobaczyłem pokój z drewnianą podłogą i łóżka ustawione na jego środku.

Mimo że był to dom stary i z zewnątrz wcale nie prezentujący się okazale, zarówno kuchnia, jak i pokój wydawały się nieporównywalnie większe, bogatsze i bardziej funkcjonalne od naszej izby.

W drugiej połowie lat trzydziestych, gdy po śmierci matki w naszym domu zamieszkała Szydłowska, kontakt z Maryną stał się jeszcze bliższy. Obie samotne kobiety, jedna wdowa, a druga panna, zaprzyjaźniły się ze sobą. Teraz chodziliśmy do Akulenki we trójkę. Gospodarzowi znudził się już stan kawalerski i coraz częściej wyjeżdżał do narzeczonej za Proszowice, pozostawiając troskę o dom i równocześnie dużo swobody swojej służącej.

Skończyły się dziecięce zabawy w domu Iwana i nasze rozmowy o niczym i o wszystkim z Maryną. Obie kobiety o jednakowym statusie społecznym i o podobnych zainteresowaniach znalazły wspólny język i tematów do rozmów nigdy im nie brakowało. Maryna chorobliwie wprost lubiła rozmawiać o chłopach i kawalerach, o różnych jej z nimi przeżyciach i o zmienności ich uczuć. Doświadczeń w tym zakresie miała dużo i umiała barwnie opowiadać. Nasza służąca też chętnie ten temat podejmowała, a swoimi doświadczeniami znacznie przewyższała Marynę. Nic

więc dziwnego, że często zapominały o naszej obecności i niczym nie krępując się, mówiły wszystko, co tylko miały do powiedzenia na swój ulubiony temat. Czasem tylko Szydłowska, jako starsza i bardziej rozsądna, hamowała wylewność Maryny:

– Maryna, uważaj trochę, bo dzieci słuchajom!

– E, a cós to, myślicie, że łone nie znajom tych rzeczy?

– odpowiadała Maryna i rozmowa toczyła się dalej.

Przyznaję, że w tym czasie opinia Maryny o naszej dojrzałości do słuchania i rozumienia problemów poruszanych przez obie kobiety była nieco przesadna. Być może, że siostra, starsza ode mnie o cztery lata, rzeczywiście była bardziej świadoma, ale ja nie wszystko właściwie rozumiałem, nie wszystko mnie interesowało, ale – jak to się mówi – słuchałem tych rozmów z otwartą gębą.

Wieczór, nawet ten najdłuższy zimowy, mijał bardzo szybko i trzeba było wracać do domu. Syci wrażeń i objeżdzeni owocami i różnymi łakociami, niechętnie żegnaliśmy się z Maryną. Pocieszaliśmy się myślą, że Iwan wkrótce pojedzie do narzeczonej, a jego służąca znów zaprosi nas do siebie.

Przed samą wojną Akulenko ożenił się i sprowadził do domu dostojną i urodziwą żonę. Skończyły się nasze wizyty u Maryny, czego bardzo żalowaliśmy. Wiedzieliśmy, że sprawczynią tego była nowa gospodyni, i dlatego nie mogliśmy darzyć jej sympatią. Potraktowaliśmy ją jako intruza, który zburzył sielankę. Szczególnie niezyczliwie przyjęła ją Maryna, bo choć dotychczas młody i przystojny gospodarz był dla niej tylko gospodarzem, jej natura burzyła się przeciwko obecności w domu innej kobiety.

Do czasu wybudowania własnej studni, my szczególnie byliśmy zależni od Iwana, bo z jego łąki pobieraliśmy

wodę, czego w każdej chwili mógł nam odmówić, tym bardziej że bezpośrednio przy studni miał mały staw, w którym hodował ryby. Ryb było niewiele, ale rosły szybko, bo karmione były padłymi końmi, które w całości wrzucano do stawu. Ta część konia, która znalazła się pod wodą, tylko dla niektórych gatunków ryb była jadalna. Najlepszym pokarmem były natomiast robaki, których tysiące żyły na padlinie wystającej nad wodą. One, spadając do wody, stanowiły właściwe pożywienie ryb. A że w tym czasie padnięcia koni zdarzały się w okolicy często i wszyscy wiedzieli, że Iwan tylko czeka na wrzucenie do swego stawu kolejnego siwka lub gniadej, pokarmu dla ryb nigdy nie brakowało.

Ten intensywny sposób karmienia przez Akulenkę ryb dawał oczywiście i przykre uboczne skutki; w czasie letnich upałów trudno było z powodu zapachu i widoku nawet zbliżyć się do stawu. Nieprzyjemne było również pobieranie wody ze studni znajdującej się w jego sąsiedztwie, ale z tym trzeba było się godzić, bo innego źródła wody bliżej nie było.

W bezpośrednim sąsiedztwie stawu Iwana, oddzielony jedynie półmetrową groblą, znajdował się podobnej wielkości staw Błaszkiwiczów, równie mulisty i zarośnięty, ale słabiej zarybiony. Ten ostatni odgrywał w okresie największych letnich upałów rolę publicznego basenu, w którym uczyli się pływać i zażywali ochłody co odważniejsi młodzi mieszkańcy Wiktoryjki.

„Co odważniejsi” powiedziałem nieprzypadkowo, bo zdecydowanie się na kąpiel w tym stawie wymagało dużo odwagi z dwu zupełnie różnych powodów. Po pierwsze, przesączająca się z Iwanowego stawu woda wyglądem przypominała rosół, a jej zapach był tyle intensywny, co nieprzyjemny. Wiadomo – tam „dojrzewał” kolejny siwek. Zanurzenie się w takiej wodzie, zagęszczonej poruszoną

mułem, wymagało samozaparcia. Kąpiących się jednak nie brakowało i ci źle na tym nie wychodzili, bo jeśli to był ich pierwszy kontakt z wodą od co najmniej kilku miesięcy, to mimo wszystko ciało więcej zanieczyszczeń oddawało, niż przejmowało. A o to przecież głównie chodziło, choć i przeżycia rekreacyjno-sportowe też się liczyły.

Inny rodzaj odwagi wymagany był od amatorów kąpie-li przy wyborze odzienia. Dzieci obojga płci i to w wieku do lat ...nastu żadnych problemów tu nie miały; wchodziły do wody w stroju adamowym. Ale starsi? Strój kąpielowy był pojęciem nieznanym. Ostatecznie mężczyźni nosili kalessony, których krój przypadkowo zbliżony był do lansowanego przez ówczesną modę sportową stroju kąpielowego, ale zainteresowani o tym nie wiedzieli, bo i skąd? Poza tym rzadko który miał ten element garderoby w stanie nadającym się do publicznego pokazania, zarówno pod względem czystości, jak i całości, a przecież nikt nie chciał pokazywać się w brudnych lub podartych „kąpielówkach”. Gdy jednak słońce mocno przygrzało i ktoś znalazł się przy stawie Błaszkiwiczów, znikwały wszelkie opory wewnętrzne i wchodził do wody w takich „niewymownych”, jakie na sobie miał. Przy okazji i one nieco wybielały, i można ich było przez kolejny tydzień nie prać. Najgorszy był jedynie ten moment rozebrania się, wejścia do wody i wyjścia z niej, w którym pływak przypominał skradającego się złodzieja, a nie człowieka zażywającego odpoczynku.

O wiele gorszy był los dziewcząt. O dorosłych kobietach nawet nie wspominam, bo te miały na tyle poczucia wstydu, że o kąpie-li nigdy nie myślały. W lecie żadna z nich nie nosiła ani „niewymownych”, ani biustonoszy. Pozostawało jedynie wejście do wody w koszuli, ale nic tak nie uwydatnia kształtów kobiecych, jak mokra koszula. I tak źle, i tak niedobrze. Najodważniejsze więc i najbardziej spragnio-

ne kąpieli dziewczyny czekały na taką okazję, kiedy przy stawie nie było nikogo. Najbezpieczniej było kąpać się o zmroku. Wtedy nawet niespodziewane najście niepożądanych widzów nie kompromitowało rusałki.

Mimo tych niebezpieczeństw i nieprzyjemności stawy Akulenki i Błaszkwiczów odgrywały pozytywną rolę. Dzięki nim poziom higieny mieszkańców Wiktoryjki, ogólnie biorąc, nieco się podnosił. Był to jednak postęp absolutnie za mały w stosunku do istniejących zaniedbań.

Sto metrów od domu Iwana za zachód, w kotlinie otoczonej z trzech stron wzniesieniami, oddalone o sto metrów od szosy, znajdowały się zabudowania dwóch stale ze sobą skłóconych rodzin: Derelów i Dziubów. Pola tych pięciomorgowych gospodarzy rozciągały się wąskim dwudziestometrowym pasem od szosy do kolejki, co bardzo utrudniało dojazd do dalej położonych odcinków. Wydzielenie odpowiedniej drogi dojazdowej było prawie niemożliwe, bo taka wyłączałaby z uprawy dziesiątą część pola.

„Kiszkowate” ukształtowanie posiadanej ziemi powinno było wpływać dodatnio na współzycie tych dwóch gospodarzy, ale niezgodność charakterów i niemal fizyczny kontakt ze sobą przeważały i stały się przyczyną nieprzerwanych waśni między nimi. Po prostu za blisko siebie mieszkali. Źródłem nieporozumień były najczęściej kury lub gęsi, które nigdy nie zrozumiały, że między jednym a drugim domem przebiega granica, której nie powinny przekraczać, bo ich nieumyślne poszukiwania pokarmu na polu sąsiada stawały się przyczyną stanu wojennego między ludźmi. One same traciły przy tym życie, a w najlepszym przypadku zyskiwały złamanie nogi lub przetrącenie skrzydła. W końcu doszło do tego, że Derela zrezygnował z pobierania wody ze studni od Dziuby, choć dzieliła go od tego źródła odle-

głośność dwudziestometrowa i po wodę chodził, podobnie jak i my, do Iwana.

Obydwie rodziny na rdzennej Wiktoryjce były – obok Baranków – jedynymi prawdziwie chłopskimi.

Derele byli rodziną raczej zamkniętą w sobie. Czwórka dzieci, dwóch synów i dwie córki, była wychowana w dużej dyscyplinie. Ojciec cieszył się w rodzinie olbrzymim autorytetem, miał groźny wygląd i twardą rękę. Sprawy rodzinne rozgrywane były jednak w czterech ścianach własnego domu i nikt nigdy nie był świadkiem jakiegokolwiek karcenia dzieci. Na zewnątrz był „tatuś”, „mamusia”, „Stasiu” czy „Jasia”, co drażniło sąsiadów, bo nikt nie wierzył, że w rodzinie wszystko można załatwić grzecznym słowem. A że Derela miał ciężką rękę, świadczyć mógł prawy bok jego konia, gdzie sierść była stale wycięta batem.

Ogólnie sąsiedzi wiedzieli, że Derele żyją tak skromnie, że nawet chleba nie wypiekają i nie jadają. Ich dom zbudowany był z kamienia, ściany miał zawsze przemoknięte, podobnie jak klepisko w kuchni i w pokoju, co w sumie czyniło go nieprzyjemnym i mimo że gospodarze byli życzliwi i gościnni, nikt nie zachodził do nich na sąsiedzkie pogawędki. Oni też rzadko odwiedzali sąsiadów, choć do pewnego czasu Derela często przychodził do nas, ale ja zupełnie nieświadomie przerwałem te jego wizyty.

Pewnego dnia, chcąc ożywić rozmowę rodziców z przybyłym do nas Derelą, ni w pięć, ni w dziewięć zapytałem:

– Po co przychodzicie do nas, Derela?

Zarówno zapytany, jak i moi rodzice osłupieli, usłyszawszy moje pytanie. Było ono pod każdym względem niestosowne i mogło jedynie niedwuznacznie świadczyć o niechęci naszej rodziny do odwiedzin Dereli w naszym domu. Trudno było zrozumieć je inaczej. Zabrzmiało zupełnie jak wyreżyserowane przez rodziców, bo czyż taki

gówniarz mógł sam je wymyślić? Tak też przyjął moje pytanie Derela, sięgnął po swoją czapkę leżącą na łóżku, powstał z ławy i wycedziwszy słowa „Zostańcie z Bogiem”, z godnością opuścił nasz dom.

Po tym incydencie więcej do nas już nie zachodził, a ja dzień ten zapamiętałem na długo z powodu wyjątkowo intensywnego lania, jakie wojskowym pasem spuścił mi ojciec po wyjściu sąsiada.

Zupełnie inny tryb życia prowadzili Dziubowie. Ich małeńki i stary domek drewniany, o jednej izdebce, mikroskopijnym chlewiku i ciasnym korytarzyku, zawsze mnie interesował i przyciągał. A może to nie tyle sam dom, co ludzie w nim mieszkający? Gospodarz, kawaler dobrze już po trzydziestce, był na ówczesne czasy raczej nietypowy, bo równie niechętnie zaglądał do kieliszka, jak i do kościoła. Za to dużo czytał. Jako jedyny na Wiktoryjce prenumerował „Rolnika Polskiego”, miał komplet maszyn rolniczych, w tym nawet do spółki z innym gospodarzem – siewnik.

Picia wódki unikał zarówno z braku przyzwyczajenia, jak i z powodu zaleceń lekarza: swego czasu miał skręt kiszek i tylko dzięki szczęśliwemu oraz w odpowiednim czasie dokonanemu przemieszczeniu się zatrzymanych gazów wszystko skończyło się pomyślnie. Odtąd Wicek – bo tak Dziuba przez wszystkich był nazywany – zdecydowanie posłuszny był wszelkim sygnałom dawanym mu przez jego układ trawienny. Nawet będąc w większym towarzystwie, nie krępował się pozbywać nagromadzonych w kiszkiach gazów, choć procesowi temu towarzyszył potężny efekt dźwiękowy. Zamiast „przepraszam” sprawca ogólnej konsternacji mówił: „Choć po świńsku, ale zdrowo”, co można było zrozumieć zarówno jako przeproszenie towarzystwa, jak i poinformowanie go, że „z brzuchem nie ma żartów”.

Wszyscy znali Wicka i nikt nie czuł się obrażony, ale też nikt nie pochwalał jego nadmiernej troski o własne zdro-

wie. Gdy nadarzała się okazja, niejedną wytykał mu ten brak obycia towarzyskiego. Nikt jednak nie wytykał mu lenistwa w chodzeniu do kościoła, choć z tego powodu nazywany był „roczniakiem”, jako że tylko na Wielkanoc raczył spotykać się z księdzem. W rzeczywistości jednak roczniakiem nie był, bo i w inne ważniejsze święta do kościoła chodził, a że nie w każdą niedzielę, jak nakazywało prawo kościelne?... Widocznie mało grzeszył i nie czuł potrzeby tak częstej modlitwy jak inni.

W domu, poza Wickiem, była jeszcze jego matka, kobieta starsza już i wyjątkowo mała. Mimo swojego wieku i wzrostu, była wzorem pracowitości. Nie było dla niej pracy trudnej lub przekraczającej jej możliwości. Nigdy w życiu nie była u lekarza, nie chorowała, nie używała okularów. Miała doskonałą pamięć i ciekawie umiała opowiadać o czasach swojej młodości.

W 1936 roku Wicek ożenił się. Było to pierwsze wesele, które obserwowałem bezpośrednio. Siedziałem na „woszczie” w stodole, skąd doskonale widziałem kto, z kim i jak tańczy. Gdzieś koło północy poszedłem spać, a na drugi dzień obudziłem się rześki i zdrowy w przeciwieństwie do innych biesiadników, którym „głowa pękała” i „suszyło” ich bardzo. Sprawcą ich złego samopoczucia była wódka, której Wicek nikomu nie żałował.

Młoda gospodyni szybko zaaklimatyzowała się w naszym środowisku, w życie Dziubów nie wprowadziła większych zmian i – co było zjawiskiem wyjątkowym w okolicy – jej stosunki z teściową ułożyły się poprawnie, nie dając powodów do litowania się sąsiadów nad losem starej Dziubiny. Nie uległy odmrożeniu stosunki z najbliższymi sąsiadami, Derelami, bo ich kaczkę, kury i gęsi niczego się w życiu nie nauczyły i dalej nielegalnie przekraczały granicę sąsiedzkich pól.

Gospodarstwo Dziuby było ostatnim od zachodu na Wiktoryjce. Dalej, ale już po drugiej stronie szosy, była Sowia Góra, gdzie mieszkało jeszcze trzech gospodarzy, którzy też zaliczani byli do wiktoryjskich.

Jednym z nich był Pankowski, szwagier Iwana Akulenki. Był to prawdziwy pan, prezesował w zarządzie spółdzielni mleczarskiej w Czulicach i do pracy fizycznej, nawet we własnym gospodarstwie, wcale nie kwapił się. Na co dzień chodził „kościelnie” ubrany pod krawatem. Złośliwi twierdzili, iż pewnego razu widzieli go, jak w takim stroju wiózł gnój w pole, co zamiast ośmieszać go – umacniało jeszcze bardziej jego autorytet. Aspiracje męża podzielała jego żona, która też umiała się cenić. Powodziło im się dobrze, służąca i parobek robili u nich wszystko, a dwie córki – mniej więcej moje rówieśniczki – miały życie lekkie i godne pozazdroszczenia.

Mimo bliskiego sąsiedztwa z Pankowskimi, nasze kontakty były prawie żadne. Przy spotkaniu pan udawał, że mnie nie dostrzega, choć zawsze zdzierałem czapkę z głowy i głośno mówiłem: „Pochwalony...”. Nie byłem również godnym partnerem do rozmów i zabaw dla jego córek, choć chodziliśmy razem do szkoły, a z jedną nawet do tej samej klasy. Im, córkom pana prezesa, nie wypadało bawić się z byle kim, co ja doskonale rozumiałem i dlatego starałem się, podobnie jak i inni moi koledzy, nie narzucać tym pannom swego towarzystwa.

O ile samego Pankowskiego raczej unikałem, to prawie instynktownie ciągnęło mnie do jego sadu, leżącego przy samej szosie. Idąc do i ze szkoły, nie mogłem wprost się oprzeć, by nie rzucić kamieniem w uginające się pod ciężarem owoców gałęzie rosnących tam drzew i po uprzednim sprawdzeniu, czy ktoś z domowników nie obserwuje sadu, nie zebrać z ziemi paru strąconych jabłek czy gruszek. Prezes wiedział o zamachach na jego owoce, ale miał

ważniejsze sprawy na głowie, niż pilnowanie sadu. A może uważał, że jemu, prezesowi, nie wypada o głupie jabłka użerać się z takim pętakiem jak ja?

Kilkadziesiąt metrów od Pankowskich w kierunku Małego Biórkowa, nieco w dolinie, stał mały i niepozorny domek Musiała, ojca wspomnianego już plutonowego.

Gospodarstwo było niewielkie, dwumorgowe, a głównym źródłem utrzymania czteroosobowej rodziny było kołodziejstwo, amatorsko uprawiane przez gospodarza. Była to rodzina skromna, pracowita i w naszym środowisku dość izolowana, głównie z powodu swego galicyjskiego pochodzenia.

Musiał, o czym wszyscy doskonale wiedzieli, całą pierwszą wojnę światową przesłużył w jednym z węgierskich pułków kawalerii i wcale się z tym nie krył. Był to szczególnie dla jego obecnych sąsiadów nieobojętny, niemile przypominający im najazd austro-węgierskich wojsk w 1914 roku na ziemię Królestwa. Zresztą samo galicyjskie pochodzenie było już wystarczającym przewinieniem, by w stosunku do tych przybłędów zachować dystans i odpowiednią rezerwę.

Mnie osobiście Musiały podobali się, byli mi życzliwi i zawsze serdecznie mnie przyjmowali. Nie podzielałem ogólnego uprzedzenia do tych „Galicjoków”, często ich odwiedzałem, a w 1937 roku u nich właśnie, po raz pierwszy w życiu, założyłem słuchawki ich radia i usłyszałem głos człowieka, którego nie widziałem. Radio to, pierwsze w okolicy, było prezentem ich syna, który swoją osobą bulwersował miejscową opinię, a z którego (zarówno syna, jak i radia) Musiały byli tak dumni.

Ostatnim domem zaliczanym do Wiktoryjki był dom Olka Akulenki, brata Iwana, a szwagra Pankowskiego. Była to również „pańska” rodzina, choć gospodarz wyglądem

swym i zwyczajami wcale pana nie przypominał. Bardziej już panią była jego żona, siostra prezesa Pankowskiego.

Mieli dwóch synów, z których starszy, Tadek, przewidywany był do wyższych celów i dlatego nawet szkołę powszechną kończył w Krakowie i mieszkał tam u rodziny.

Drugi syn, Dzidek, o dwa lata ode mnie starszy, był moim najbliższym kolegą zarówno w szkole, jak i w domu. On jeden w naszym środowisku miał różne „kupne” zabawki i urządzenia do zabawy i on jeden potrzebował mojej pomocy w rozlicznych obowiązkach domowych. Mimo iż był pańskim dzieckiem, Dzidek trybem życia i zakresem obowiązków zleconych mu przez ojca przypominał raczej parobka niż syna gospodarza. Jego królestwem był duży chlew, w którym – dla podkreślenia swej niezależności – urządził sobie „mieszkanie”, a w nim wygodną pryczę do spania. Ta imponowała mi najbardziej, budziła moje zainteresowanie i zazdrość; marzyłem o podobnym urządzeniu się. Spanie w chlewach mieli i inni moi koledzy, ale Dzidek wykazał tu najwięcej pomysłowości i jego lokum było pod każdym względem najlepsze: bez podnoszenia głowy miał wgląd na cały chlew, małe okienko umieszczone w pobliżu pryczy dawało tyle światła, że od biedy można było czytać, a rzadko usuwany spod zwierząt obornik, spalając się powoli, dawał tyle ciepła, że nawet podczas mrozów do przykrycia się podczas snu wystarczało jedno tylko palto. Było więc czego mu zazdrościć.

Czasu jednak nie miał Dzidek wiele. Trzy krowy, dwa konie, parę świń, setki kur i jeszcze więcej królików oraz gołębi czekało na nakarmienie. Trzeba się było dobrze spieszyć, by wszystkie zwierzęta nakarmić, podścielić pod nie słomę, napoić i znaleźć jeszcze trochę czasu na pogranie w ping-ponga lub w chińczyka. Często jednak brakło czasu nie tylko na zabawę, ale nawet na sprawdzenie, która para gołębi zniosła jajka lub która króliczka się okociła i ile

ma małych, mimo że były to dla nas sprawy bardzo interesujące.

Najbardziej jednak atrakcyjną rzeczą w domu Dzikka był dla mnie rower.

Rower w drugiej połowie lat trzydziestych w naszej okolicy był elementem nieporównywalnie bardziej luksusowym niż dzisiaj samochód. Ile kosztował nowy, nie miałem nawet pojęcia, być może i sto złotych. Rowery posiadali tylko nieliczni, których zaliczało się do grupy ludzi dobrze sytuowanych („O, patrzcie, roweru się dorobił, a człowiek na sól nie ma...” – mówiono o takim), postępowych i jednocześnie nieco nierozsądnych, bo ogólnie uważano, że jazda na tym niestabilnym pojeździe zawsze musi skończyć się jakimś wypadkiem. Spięte zwykłą agrafką nogawki spodni były zewnętrznym i najbardziej rzucającym się w oczy elementem stroju rowerzysty. Były tak modne i atrakcyjne, że nie zdejmowano ich nawet w tych sytuacjach, kiedy nie były wcale potrzebne.

Jednym z tych postępowych ludzi był Olek Akulenko, który może jedyny w okolicy kupił używany rower za 45 złotych nie dla zwiększenia swego autorytetu, lecz dla osobistej wygody. Sam nauczył się jako tako jeździć i po pierwszym okresie, w którym miał trudności z wyminięciem na szerokiej bądź co bądź szosie podążającej z naprzeciwka furmanki, później jeździł już w miarę pewnie. A że zawsze zwykle na widok zbliżającego się samochodu zatrzymywał się i na poboczu szosy przeczekiwał jego przejazd, to wcale nie z powodu trudności z jego wyminięciem – jak sądzili złośliwi – lecz dla dokładniejszego ustalenia marki i typu nadjeżdżającego pojazdu. Ostatecznie w tym czasie samochód na naszej szosie widywało się rzadko i każdy budził zrozumiałe zainteresowanie.

Umiejętność jazdy na rowerze – i to o wiele bardziej biegłą – posiadał wcześniej od ojca Dzikdek, co stało się

dla mnie bodźcem do pójścia w jego ślady. Do tego jednak same chęci nie wystarczyły, bo żadna teoria nie zastąpi tu ćwiczeń praktycznych. Do urzeczywistnienia moich zamiarów potrzebny był rower, a ten miał tylko Akulenko i on sam – choć do pewnego czasu o tym nie wiedząc – przyszedł mi tu z pomocą.

Akulenko przez długie lata nie posiadał własnej brzytwy do golenia. Nie sądzę, że nie kupił sobie tego niezbędnego przedmiotu z powodu braku pieniędzy. Jeśli stać go było na różne wydatki, w tym na zakup roweru, to te parę złotych na brzytwę też by na pewno znalazł. Nie kupował jej, bo przyzwyczał się do coniedzielnego golenia się w naszym domu brzytwą ojca, podobnie zresztą jak kilku innych naszych sąsiadów.

Sprawność techniczna tego wybitnie męskiego i osobistego przyrządu do golenia nie była najwyższa, o czym raz w miesiącu mogłem się przekonać osobiście przy okazji golenia mi całej głowy przez ciotecznego brata, Franka Oraczewskiego. Głowę golono mi systematycznie, aż do ukończenia szóstej klasy szkoły powszechnej w 1939 roku i to wcale nie ze względów higienicznych lub estetycznych, a po prostu z przyzwyczajenia i tradycji. Moi koledzy strzyżeni byli w tym czasie maszynką „na zero” i to im w zupełności wystarczało; ja i pod tym względem musiałem się czymś wyróżniać, a świeżo wygolona „głaca” w grupie rówieśników wyróżniała mnie szczególnie. Ojciec był dumny z mojego wyglądu, a ja czułem się jak napiętnowany. Golenie głowy – wbrew głoszonym i dziś teoriom, że wpływa ono na wzmocnienie cebulek włosów – wcale nie zapobiegło mojej obecnej łysinie, a było dla mnie operacją z każdym rokiem bardziej bolesną, bo brzytwą, tak intensywnie eksploatowaną, stawała się coraz bardziej tępa, jako że żaden przedmiot nie może służyć

w nieskończoność. Nie pomagało jej nawet coraz dłuższe ostrzenie na wojskowym pasie ojca.

Co innego jednak golenie głowy, a co innego – brody. Ta część ciała jest mniej wrażliwa i zarost ma mniejszy. W każdym razie Akulenko nie narzekał ani na złą jakość brzytwy, ani na nieodpowiedni do tego celu gatunek mydła używanego mu do golenia. Do golenia służyło bowiem to samo mydło, które używane było do prania, ze względów oszczędnościowych – najtańsze. Regularnie, w każdą niedzielę w godzinach przedpołudniowych, Akulenko przychodził, a po nabyciu roweru – przyjeżdżał do naszego domu na golenie.

Usunięcie całotygodniowego zarostu na brodzie było celem głównym tych wizyt, ale niejedynym. Miały one również charakter towarzyski i dlatego trwały zwykle parę godzin. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, bo nasz dom – obok Barankowego – spełniał funkcję drugiego klubu i często był okupowany przez sąsiadów, szczególnie tych, którzy z różnych względów zamrozili swoje stosunki towarzyskie z Barankami.

Do licznych wizyt i do przedłużania się czasu ich trwania byliśmy więc przyzwyczajeni. Rytm życia domowego dostosowany był do wymogów gościnności. Wielogodzinna obecność gości, a szczególnie Akulenki, nie pozostawały jednak bez śladu. I to, niestety, w sensie dosłownym.

Przyzwyczajenie, przewlekły nieżyt gardła, czy też jakaś choroba płuc (ale nie suchoty, bo Akulenko dożył jednak pięknej osiemdziesiątki i zmarł wcale nie na płuca) wywoływały u tego człowieka niezwykle intensywne odpluwanie flegmy. Prawda, że częste przeziębienia, a przede wszystkim nadmierne palenie „swojaka” i u innych mężczyzn powodowało intensywne wydzielanie śliny, którą każdy starał się w miarę dyskretnie odpluć na klepisko izby, w pobliże miej-

sca na którym siedział, by następnie również w miarę dyskretnie ją dokładnie „zlikwidować” przez roztarcie butem.

Zupełnie inaczej postępował Akulenko. Ten nie zachowywał żadnych pozorów przestrzegania zasad higieny i przyjętych norm życia towarzyskiego, nie pluł pod siebie i nie starał się zatrzeć śladów, lecz bez żadnych ograniczeń celował w przeciwległy kąt izby, gdzie był piec kuchenny.

Upodobania Akulenki znaliśmy dobrze, nikt się na niego nie oburzał, a nawet nie zwracał uwagi na jego popisy strzeleckie. Przezornie tylko w niedzielę wiadro z wodą do picia i gotowania stawiano nie na stałym jego miejscu przy piecu, lecz przy drzwiach wejściowych.

Mnie zwyczajnie Akulenki również nie raziły, a od czasu, gdy zaczął na golenie przyjeżdżać na rowerze, on sam przestał mnie interesować, a całą moją uwagę skupiłem na jego pojeździe. Co robił, jak się zachowywał – interesowało mnie tyle co zeszłoroczny śnieg. Dla mnie teraz mógł nie zostawić nawet suchego klepiska w izbie, byle tylko siedział tam jak najdłużej i nie chciał sprawdzać, czy jego rower stoi spokojnie oparty o sionkę. On, jakby przewidywał moje myśli, rzeczywiście siedział zawsze długo i nie interesował się jego losem. Nauka jazdy pochłaniała teraz całą moją uwagę. Czekałem z utęsknieniem na każdy niedzielny poranek, krowy napasłem przezornie wcześniej i jak tylko Akulenko pojazd postawił pod sionką, a sam wszedł do izby – trenowałem zapamiętane. Przez długi czas rower nie chciał mi być posłuszny, stale wywracałem się, kalecząc i raniąc boleśnie różne części ciała, ale w końcu nadszedł taki dzień, kiedy samodzielnie przejechałem bez upadku kilkanaście metrów.

Szczęśliwie udało mi się nauczyć jeździć i nie zniszczyć roweru. Sprawność moja jednak w tym zakresie była niewielka, a mnie już zdawało się, iż mogę brać udział w zawodach kolarskich. Za ten mój optymizm w ocenie włas-

nych umiejętności zapłaciłem w niedalekiej przyszłości zniszczeniem innego roweru i utratą skóry na dłoniach i kolanach.

W 1936 roku przybył nam nowy sąsiad, Wilk, który w odległości około stu metrów na zachód od naszego domu wybudował murowany z cegły dom. Stodołę wystawił trzy lata wcześniej, kiedy dowiedział się, iż we Wroninie będzie komasacja gruntów, i poprzez tę swoją inwestycję chciał stworzyć fakt dokonany, by mieć pewność, że tu właśnie otrzyma swoje szesnaście morgów w jednym kawałku. Wiadomo, z niedostępnego Wronina wszyscy chcieli osiedlić się przy szosie, nawet za cenę zerwania dotychczasowych więzów sąsiedzko-towarzyskich.

Wybudowany przez Wilka dom na owe czasy był dość okazały. Cały z czerwonej cegły, pokryty dachówką, mieścił pod jednym dachem mieszkanie (pokój z kuchnią), sionkę, komorę oraz duży chlew dla gadziny. Ignac, bo tak było na imię naszemu nowemu sąsiadowi, był człowiekiem rozsądnym, nie silił się więc na zbyt daleko idące rozwiązania funkcjonalne w budowanym domu. Wiedział, iż w kuchni podłoga – na skutek systematycznego zalewania wodą – nie wytrzyma długo, pozostawił zatem klepisko, podłogę z desek dał natomiast w pokoju. Wiedział również, że gadzina musi mieć trochę miejsca do życia, chlew więc zajmował większą część domu, a dla dwunastoosobowej rodziny (sześcioro dzieci, ich dwoje, służąca, matka i dwóch dorosłych braci) uznał, iż pokój z kuchnią o łącznej powierzchni 28 m² będzie w sam raz. Nie przypuszczał biedak, że za parę lat, gdy przyjdzie wojna i okupacja, liczba mieszkańców jego domu podwoi się i że wówczas stanie się nieco ciasno. Rodzina naszych nowych sąsiadów była pod wieloma względami nietypowa w naszej okolicy. Ignac

był najstarszy spośród siedmiu synów i dwóch córek i dlatego on właśnie osiadł na ojcowiznie, co mogło być uważane za wyróżnienie, tym bardziej że większości rodzeństwa nie miał obowiązku spłacać. Tak można było sądzić w każdej rodzinie, ale nie u Wilków. Tu okazało się, że los generalnego spadkobiercy jest wątpliwym wyróżnieniem, zarówno bowiem jego bracia, jak i siostry, nawet jeśli nie „wyszli na ludzi”, to w każdym razie nie hańbili się pracą fizyczną. Z całej rodziny fizycznie pracował – i to ciężko – właśnie sam Ignac. Jeden brat zajął się handlem, drugi został inżynierem w Królewskiej Hucie, trzeci był urzędnikiem w warszawskiej dyrekcji kolei państwowych, czwarty – policjantem na Wołyniu. Jedna siostra została żoną zawodowego fotografa gdzieś w Suwalskiem, druga – żoną policjanta w Częstochowie. Wszystkim powodziło się nie tylko dobrze, ale nawet doskonale.

Corocznie w okresie letnich wakacji zjeżdżali w komplecie z rodzinami do brata, budząc zrozumiałe zainteresowanie sąsiadów i prezentując swoim wyglądem, językiem i manierami wielki świat. Ignac i jego rodzina mieli wtedy pełne ręce roboty związanej z zakwaterowaniem i wyżywieniem letników, a do pracy przy żniwach, bo te, jak na złość, zbiegały się zawsze z najazdem rodzeństwa, trzeba było angażować sąsiadów. Na szczęście ci ostatni zawsze mieli porachunki z Ignacem za jego „zoprawkę”, czyli za pracę jego koni w ich gospodarstwach, a ceny tych wzajemnych usług były stabilne: 7 zł za dzień pracy koni, 3,5 zł za dniówkę koszenia i 2 zł za odbieranie zboża za kosiarzem. Obie strony były zadowolone: Ignac, bo mógł spokojnie zająć się obsługą rodzeństwa, sąsiedzi – bo mogli odrobić zoprawkę bez potrzeby sięgania do i tak zawsze pustej kieszeni. Dodatkową zaletą pracy u Ignaca była możliwość porozmawiania z „miastowymi”, zapalenia porządnego

papierosa i w ogóle przyjrzenia się z bliska tak ciekawym ludziom.

Nie muszę wspominać, że i jedzenie w tym czasie u Wilka było doskonałe, przygotowywane z dużym nakładem sił i środków z myślą o letnikach, z czego korzystali i wyrobownicy, tyle że w drugiej kolejności, bo nakarmienie kilkadziesiątu osób w jednej turze nie było możliwe.

W domu, na stałym pobycie, pozostawało jeszcze dwóch braci gospodarza: Kazek, urodzony w 1909 roku i Pietrek – najmłodszy z rodzeństwa, urodzony w 1911 roku. Obaj żyli u brata na specjalnych prawach. Słusznie uważali, że mając tak nieprzeciętnie dobrze sytuowanych braci i siostry, nie wypada im zajmować się sprawami przyziemnymi, a już – broń Boże – pracą fizyczną. Podobnie myślał chyba Ignac i jego rodzina, bo nie protestowali przeciwko ich sposobowi myślenia i życia. Również sąsiedzi przyzwyczaili się do nieróbstwa młodzieńców i nawet za bardzo nie obmawiali ich. Bo też byli to kawalerowie układni, towarzyscy i elokwentni. Wbrew pozorom, nie wszystko w życiu im się tak dobrze układało. Kazkowi np. wystrzelił kiedyś na publicznej zabawie posiadany przez niego nielegalnie pistolet i zabił człowieka; Piotruś też miał jakieś przypadkowe nieporozumienia towarzyskie, które doprowadziły go przed oblicze sądu powiatowego. W sumie i jeden, i drugi musiał na pewien czas opuścić dom brata, ale na jego szczęście miało to miejsce w różnych okresach, Ignac więc nie pozostawał nigdy bez opieki przynajmniej jednego z braci.

Kazek był pedantem w zakresie modnego ubierania się, dobrego spania i jedzenia. Żaden z okolicznych kawalerów nie umiał tak się ubrać jak on, a jego buty oficerki zawsze błyszcząły. Podobnie idealnie czysty i sprawny był jego rower, którego nikomu nawet dotknąć nie było wolno.

Mniej o swój wygląd dbał Piotruś, choć i jemu nie brakowało dobrego gustu. W młodości przeżył nieszczęśliwy

wypadek, którego skutki pozostały mu na całe życie: chłopcem będąc, powoził drabiniastym wozem i wóz ten przewrócił się tak nieszczęśliwie, że woźnica doznał złamania kręgosłupa. Lekarzom udało się utrzymać przy życiu ofiarę wypadku, ale poważne upośledzenie sprawności fizycznej i duży garb na plecach pozostały Piotrusiowi na całe życie.

Obydwaj kawalerowie, żyjąc u brata, mieli zapewniony dobry wikt, spanie i opierunek. Rodzeństwo będące „na posadach” nie skąpiło grosza na ich ubranie, ale z pieniędzmi na osobiste wydatki bywało różnie. Zdarzały się miesiące tłuste, ale były również i okresy chude, kiedy na papierosy, nie mówiąc już o kieliszku, nie było skąd wziąć. Brat gospodarz nie palił i w zasadzie nie pił, nie wczuwał się więc w położenie młodzieńców na jego utrzymaniu i nawet nie zdawał sobie sprawy, do czego ich swoją obojętnością zmuszał.

Na swoje nieszczęście, a na szczęście braci, miał żonę cichą, potulną, niepiśmienną (nie tylko że nie rozpoznawała poszczególnych monet lub banknotów, ale i nie znała ich wartości) i wyjątkowo nierozgarniętą. Jej gapiostwo, łatwowność i brak pamięci szwagrowie wykorzystywali w maksymalnym stopniu. Pod nieobecność gospodarza i jego starszych dzieci, na oczach gospodyni ładowali w środku zimy zboże i wywozili do wybranego sąsiada jedną albo dwie fury w celu jego wymłócenia. Sąsiad za „przysługę” otrzymywał słomę i plewy – oni zatrzymywali dla siebie ziarno, za które mieli świeży grosz na osobiste potrzeby.

Ignac nigdy nie dowiedział się o udzielanej mu przez braci i sąsiada „pomocy” w dokonywaniu omłotów. Chłopcy byli sympatyczni, każdemu zależało na utrzymaniu z nimi dobrych stosunków towarzyskich, a Ignac – wiadomo było – nie zbiednieje po stracie jednej fury żyta czy pszenicy. Poza tym „organizowanie” dla siebie zboża przez różnych kawalerów i w innych domach było zjawiskiem nagminnym, bo ojcowie zawsze mieli węża w kieszeni, a dorosły chłopak

musiał się od czasu do czasu napić i zabawić. Potrzeba jest matką wynalazków, potrzeba zmusza do szukania rozwiązań skutecznych, choć może nie zawsze etycznych. Siódme przykazanie boskie – uważano – trzeba stosować elastycznie i uwzględniać wszystkie występujące tu okoliczności łagodzące. W danym przypadku przyjmowano, że „organizator” nie sięgał po dosłownie cudze mienie (to zawsze było święte i nietykalne), ale brał jedynie to, czego ojciec lub brat mu z pobudek egoistycznych odmawiał, a do czego on jakieś tam prawo miał. Oryginalność braci Ignaca polegała jedynie na tym, że oni brali zboże w snopkach i w biały dzień, a nie – jak inni – w workach i w nocy. Już sam ten fakt wskazuje, że byli to chłopcy nie tacy zwyczajni, zapracowani i lękliwi, a ludzie inteligentni, pomysłowi i z kawalerską fantazją.

Rok później od Wilka, w odległości również stu metrów, ale na wschód od naszego domu, postawił się szesnastomorgowy gospodarz z Łyszkowic, Paletko. Upłynęło dobrych parę lat, zanim ten nowy sąsiad wrósł w nasze środowisko, a my przyzwyczailiśmy się do niego. Nasze kontakty były luźne, a wzajemne odwiedziny należały do rzadkości. Był gospodarzem „silnym” i samodzielny. Od nikogo niczego nie potrzebował i nikomu nie miał ochoty pomagać. Jego dzieci były małe i nie stanowiły dla nas partnerów do zabawy.

Bliskie natomiast były nasze kontakty z jego bezpośrednim sąsiadem – również z Łyszkowic przesiedlonym – Pankiem. Z tym mieliśmy dużo wspólnego: pola miał także pięć morgów, podobnie – choć z drewna – wybudował mieszkanie i chlew pod jednym dachem, nie miał stodoły ani własnej studni. Dzieci było sześcioro, więc mu się nie przelewało.

W domu najważniejszą osobą była żona, kobieta pracowita, ale niezwykle wybuchowa. Wszystko i zawsze jej się nie podobało, a najbardziej własny mąż, własne dzieci i goście, którzy lekkomyślnie przyszli do niej z wizytą. Nigdy

nie było wiadomo, kiedy przestanie mówić, a chwyci za kij lub inne stosowne narzędzie i zacznie bić wszystkich, którzy jej się pod rękę nawinęli. Muszę jednak stwierdzić, iż była sprawiedliwie i nie wyróżniała nikogo: każdy dostał jednakową porcję, o ile nie udało mu się uciec na czas na bezpieczną odległość. Po zakończeniu „operacji” uspokajała się zupełnie i dalej rozmawiała, jakby nic nie zaszło. Wszyscy znali jej wybuchowość i dlatego na wszelki wypadek zachowywali bezpieczną odległość. Jedynie mąż, któremu nie wypadało przyznać się, iż boi się żony, lub dla zadokumentowania swojej niewrażliwości na otrzymywane razy, nie zachowywał żadnych środków bezpieczeństwa. I dlatego też on właśnie bity był najczęściej i najdotkliwiej. Można nawet stwierdzić, iż poprzez swoją determinację spełniał rolę domowego piorunochronu, na którym wyładowywał się nadmiar energii małżonki.

Panek nie zasługiwał w żadnym przypadku na tak surowe traktowanie: robił wszystko, co mu tylko żona kazała, nie wtrącał się nigdy do spraw domowych, wiedząc, że on ma tu najmniej do gadania. A może to właśnie najbardziej żonę denerwowało, iż starał się czynić wrażenie, że nigdy i nigdzie nie było mu tak dobrze, jak obecnie u niej pod pantoflem? Męska uległość nie zawsze jest miła kobietom, a dla Pankowej, kobiety energicznej i sfrustrowanej, była ona szczególnie drażniąca. W mężu chciała mieć równorzędnego partnera zarówno do wymiany myśli, jak i ciosów, a ten nie miał ochoty ani na jedno, ani na drugie.

Służąc kilka lat w rosyjskiej armii, przewędrował imperium carskie od Królestwa do Kamczatki, przeżył dwie rewolucje, napatrzył się na tyle nieszczęść ludzkich i na tak różne formy przemocy, że gdy w 1919 roku powrócił do rodzinnej wsi, płynąc z Władywostoku drogą okrężną przez Singapur, Kolombo i Suez, wydawało mu się, że znalazł się w raj. Pobyt w odległych krajach uzmysłowił mu, jak

miłe i swojskie jest życie prostego chłopca i praca na swoim, choćby nawet nie było co włożyć zarówno do garnka, jak i na siebie. Dlatego też pracy w swoim karłowatym gospodarstwie poświęcił całą swoją uwagę, pozostawiając żonie swobodę w zarządzaniu domem i wychowywaniu dzieci. Był to z jego strony poważny błąd, gdyż absolutny matriarchat w rodzinie nikomu dobrze nie służył, a jemu samemu najmniej.

Niedoceniany i lekceważony we własnym domu, był jednak lubiany w wiktoryjskim środowisku. Żaden z sąsiadów nie przeżył i nie widział tyle co on i nikt tak daleko nie był. A że umiał dość barwnie opowiadać o swoich przeżyciach, chętnie słuchano go w każdym towarzystwie.

Ja do Panków chodziłem często i to wcale nie po to, aby posłuchać opowiadań gospodarza, gdyż we własnym domu i w obecności żony on się raczej nie produkował. Magnesem przyciągającym mnie do tego niebezpiecznego domu, gdzie w każdej chwili można było oberwać, były gołębie, których hodowlą pasjonował się średni syn Panka – Tadek. Ten nie widział świata poza gołębiami. W chlewie każde wolne miejsce wykorzystał na rozmieszczenie gołębników i najchętniej byłby z niego wyprowadził ostatnią krowę i konia, byle tylko zyskać jeszcze trochę miejsca na parę dodatkowych gołębników.

Tadek był prawdziwym gołębiarzem amatorem. Znał się na wszystkich rasach, których liczbę ciągle zwiększał poprzez żmudne kojarzenie coraz to nowych gołębi par. Poza produkcją nowych odmian gołębi, pasjonowały go dwie sprawy ściśle z prowadzoną przezeń hodowlą tych ptaków związane: „sprzedaż” i „kupno”. Nie były to jednak zwyczajne, uczciwe transakcje. Przedmiotem sprzedaży były tylko takie wypróbowane gołębie, co do których Tadek miał pewność, że nigdy nie przyzwyczają się do nowego właściciela i niezależnie od odległości i czasu przetrzymywania ich w nie-

woli w nowym miejscu pobytu, zawsze powrócą do swojego miejsca urodzenia. Bez żadnych skrupułów inkasował od kupującego każdorazowo 15–30 groszy, choć wiedział, że gołąb i tak do niego powróci, a on pieniędzy zwracał nie będzie. Bardziej zależało mu jednak nie na tych kilkunastu czy kilkadziesiąt groszach zysku, co na sprawdzeniu wierności i przywiązania jego pupilków do siebie, które – trzeba przyznać – nie zawodziły go nigdy, a każdorazowy powrót sprzedanego „rysia” czy „pocztowca” traktował jako sukces sportowy, a nie zysk finansowy.

Specjalne metody wychowawcze stosował wobec wyselekcjonowanej grupy gołębi „zalotników”. Te trzymane były w zamkniętych klatkach, dobrze karmione, lecz pozbawione możliwości swobodnego poruszania się, nie mogły znaleźć sobie partnera na małżonka. Przerośnięci kawalerowie i stare panny gołębiego rodu, odkarmione i wypoczęte, tylko gruchały z tęsknoty nie tyle za osobistą wolnością, co z pragnienia jej utraty na rzecz jakiegokolwiek partnera do stanu małżeńskiego. Małżonkami ich nie mogli być jednak osobnicy żyjący pod jednym z nimi dachem.

Ich obowiązkiem i szansą życia w stanie małżeńskim było znalezienie sobie partnera wśród obcych gołębi, które z różnych powodów siadały na dachu Panków.

Na tych właśnie przybyszów czekał Tadek, w lot rozpoznawał, czy przyleciała samica, czy samiec i wypuszczał z klatki „wabia” płci przeciwnej, który niezwłocznie przystępował do zalotów. Jego zadaniem było takie zawrócenie w głowie przybyszowi, by ten zapomniał, skąd i po co przybył, i żeby zdecydował się na pozostanie na zawsze u Panków, czego wyrazem miało być dobrowolne wejście do „mieszkania” przyszłego małżonka. Najczęściej zabiegi „wabia” kończyły się powodzeniem.

Mnie, prawdę mówiąc, nie bardzo interesowały te matrymonialno-myśliwskie zabiegi Tadka. Pasjami natomiast lu-

biłem przysłuchiwać się jego rozmowom ze stale nachodzącymi go miłośnikami gołębi, którzy przychodzili z pretensjami albo o zwrot sprzedanego im gołębia, który od nich uciekł, albo też o zwrot ulubieńca podstępnie przez Tacka zwabionego. Pertraktacje i targi odbywały się zawsze przed domem, bo interesant znał zwyczaje u Panków i na wszelki wypadek wołał mieć zapewnioną możliwość ucieczki, gdyby do rozmowy włączyła się gospodyni.

Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek Tadek zwrócił gołębia, o którego w danym przypadku chodziło. Każdemu petentowi krótko, ale dosadnie tłumaczył, że jego pretensje są bezpodstawne, na dowód czego składał uroczystą przysięgę. I choć żaden z wnoszących pretensje w prawdomówność Tacka nie wierzył, to jednak zbytnio targów nie przedłużał, bo wiedział, że w każdej chwili do rozmowy mogła włączyć się Pankowa albo też jej suka, która nie uwiązana na łańcuchu, tylko czekała w budzie na sygnał do ataku, a miała brzydkie przyzwyczajenie kąsać obcych po najbardziej miękkich częściach ich ciała, o czym i ja też pewnego razu bardzo boleśnie się przekonałem.

Przypadek zaczął się bardzo niewinnie. Siedzieliśmy z Tackiem i jego starszym bratem Edkiem na wozie przegotowanym właśnie do wywozu gnoju w pole i z zaciekawieniem śledziliśmy proces siadania obcego gołębia na dachu. Wszelkie rozmowy rozpraszające uwagę zostały zawieszono i w milczeniu obserwowaliśmy przebieg akcji. I w tym właśnie czasie przyszedł z Łyszkowic jakiś kupiec i od razu rozpoczął krzyczeć na Tacka:

– Ty, bucku, oddaj mewkę, którą mi sprzedałeś w zeszłym miesiącu, bo wiem, że wczoraj do ciebie wróciła!

Na ten bezzasadny zarzut napadnięty grzecznie, ale stanowczo odpowiedział:

– Klarnecie, spieprzaj stąd, jak nie chcesz dostać w maza, bo – jak Boga kocham – mewki u mnie nie ma!

Lekkomyślny gość chciał jeszcze coś mówić, bo odpowiedź Tadka wcale go nie zadowoliła. Ten jednak w tej chwili miał ważniejszą sprawę na głowie, niż udowadnianie swojej niewinności, bo obcy gołąb wciąż nad dachem krążył, a głośna rozmowa wcale nie zachęcała go do siadania. Nie chcąc dopuścić do jej przedłużania, krzyknął:

– Suka, bierz go!

Suka w tym dniu była fizycznie i psychicznie niedysponowana. Właśnie przeżywała ten szczególny okres w swoim życiu, kiedy natura skierowała jej myśli na problem czy i przy czyjej pomocy zostać psią matką. Sprawa była nieprosta, bo na jej decyzję i wybór czekało co najmniej kilkunastu chętnych. Kandydaci ci czekali tu już bez spania i jedzenia kilka dni, nic więc dziwnego, że byli źli i zdenerwowani.

Krzyk Tadka „bierz go!” poderwał do działania cały psi ród. Suka pierwsza rzuciła się do ataku, ale jej wielbiciele ją wyprzedzili. Gość z Łyszkowic, chłopak rosty i śmigły, rzucił się do ucieczki i jemu udało się uniknąć bezpośredniego kontaktu z psią nawałą. Natomiast ja, bierny obserwator przeprowadzanych pertraktacji, stałem się jedynym obiektem ataku rozjuszonych pobratymców wilka. Zanim się opamiętałem, już kilka szczęk zanurzyło się w mięśniach moich ud i w bezpośrednio wyżej od nich umiejscowionych częściach ciała. Zaskoczony i przestraszony tym niespodziewanym atakiem, w pierwszej chwili nie czułem nawet bólu, choć boleć miało co. Zanim gospodarzom udało się odpędzić psy, moje jedyne spodnie zostały prawie zupełnie poszarpane, a ciało w miejscach zaatakowanych upodobniło się wyglądem do świeżo siekanego kotleta. Na moje nieszczęście, wrzawa wywołana psim atakiem włączyła do akcji Pankową, która tym razem szczególnie nie pożałowała kija i każdemu z nas odmierzyła należną porcję, choć mnie dostało się chyba najwięcej, bo jako ranny nie mogłem salwować się ucieczką.

Pogryzienie przez psa nie było traktowane wtedy jako wypadek nadzwyczajny. Nie zwracano nim głowy lekarzowi i nie robiono szczepień przeciw wściekliźnie, jeśli tylko było wiadome, że pies, który pogryzł, nie wykazywał żadnych oznak chorobowych. W moim przypadku okoliczność, która sprowadziła psy pod dom Panków, z całą pewnością wykluczała ich chorobę, bo pies chory nigdy nie ujawnia ochoty do zalotów. I dlatego też likwidację skutków pogryzienia mnie pozostawiono czasowi i zdolnościom regeneracyjnym mojego organizmu.

Gorzej było z portkami, których w żaden sposób nie można było przywrócić do stanu używalności, a drugich nie miałem. Nic więc dziwnego, że po powrocie do domu czekało mnie kolejne bicie, tym razem od ojca, właśnie za zniszczenie spodni. Ani pogryzienie mnie przez psy, ani podwójne lanie, które otrzymałem tego dnia, nie odstraszyły mnie od dalszego przesiadywania całymi godzinami u Tadzka, bo tam zawsze działo się coś ciekawego.

Zagranica

Od połowy lat trzydziestych rola naszej Wiktoryjki w okolicy znacznie wzrosła. Ci, którzy w ramach komasacji otrzymali tu przydział gruntu w jednym kawałku, czuli się wybrańcami losu i nikt nie narzekał na decyzje komisji komasacyjnej, choć w tym zakresie we wsiach różnego rodzaju pretensji i sporów nie brakowało. Zadowoleni byli zarówno ci, którzy dostali się bezpośrednio do szosy, jak i ci, którzy zbliżyli się do tego upragnionego traktu na odległość 100 lub 200 metrów, gdyż i taka lokalizacja przyjmowana była jako wyróżnienie.

Wynikająca z komasacji akcja przesiedleń w poważnym stopniu rozluźniła dotychczasowe więzi sąsiedzkie.

Migracja ludności, jaka wtedy nastąpiła, była tu wydarzeniem dotąd nie spotykanym. Zwarte dotychczas wsie Wronin, Łyszkowice czy Biórków zaczęły się przerzedzać, a w najbardziej nawet oddalonych koloniach i przysiółkach zaczęły wyrastać pojedyncze zabudowania, okazalsze i bardziej funkcjonalne od tych, które – wysłużone i wyeksploatowane do granic możliwości – burzono na starym miejscu w środku wsi.

Komasacja, obok niewątpliwych korzyści ekonomiczno-technicznych w zakresie uprawy roli, była również elementem poprawy warunków mieszkalnych ludzi oraz modernizacji pomieszczeń inwentarskich i gospodarczych. Ludzie opuszczali i burzyli swoje kilkudziesięcioletnie domy, niskie, zagrzybione i zawilgocone, z małymi okienkami i niziutkimi drzwiami. Rozstawali się z nimi z mieszanymi uczuciami: tu się rodzili i wychowywali, tu było dla nich wszystko bliskie i znane, choć niewygodne i niezdrowe. Szli na nowe, które trzeba było dopiero własnymi siłami i przy nakładzie środków przekraczających ich możliwości – zbudować. Na entuzjazm tworzenia nowego i swoje siły mogli liczyć, gorzej było ze środkami. Tych prawie każdemu brakowało. Komasacja jakby wszystkich zaskoczyła, tym bardziej że nastąpiła wkrótce po latach głębokiego kryzysu przełomu lat dwudziestych i trzydziestych.

Skutki tego zaskoczenia i braku przygotowania do przeprowadzki niebawem okazały się widoczne. Zaczęły wyrastać „domy na pustkowiu”, skromne, tymczasowe, bez perspektywy przetrwania ćwierćwiecza. Pierwszym obiektem była najczęściej stodoła, później chlew. Budowę domu mieszkalnego przesuwano najczęściej „na później”, a tymczasem dla ludzi przygotowywano prowizoryczną izbę w stodole lub w chlewie. Często w stodole mieściła się i tymczasowa izba, i tymczasowy chlew. Widok takiej zagrody nie był wcale imponujący, zwykle w jej sąsiedztwie

nie było żadnych drzew, a nieliczne sadzonki miały dopiero po latach stanowić jakąś osłonę przed wiatrami i dawać nieco cienia w letnie upały.

Ludzie, wyrwani z dotychczasowych środowisk, długo jeszcze na nowym miejscu czuli się obco, a z upływem lat dawne miejsce zamieszkania i stary zburzony dom stawały się dla nich coraz bliższe i coraz droższe we wspomnieniach.

– Nie było to jak we wsi – mawiał jeden z drugim świeżo upieczony kolonista i – niepomny niedawnych trudności wynikających z rozrzucenia swoich kilku morgów ziemi w różnych częściach własnej, a nierzadko i sąsiedniej wsi, oraz niepomny rozkoszy mieszkania w wałącym się ze starości domu – rozpoczął snuć wspomnienia o dawnych dobrych czasach, kiedy miał w pobliżu samych życzliwych sąsiadów. Słuchający potakiwali, choć każdy wiedział, jak to było w tej wsi: z sąsiadami były codzienne kłótnie z byle jakiego powodu albo i wcale bez powodu, bo wszyscy żyli na kupie i jeden drugiemu patrzył do garnków, a tego nikt przecież nie lubi.

Teraz oddalenie zlikwidowało źródło konfliktów i wzbudzało przyjaźń tak silną, że nieomal codziennie jeden z drugim chciał odwiedzać byłego sąsiada we wsi, a na nowego spoglądał nieufnie i do wielkiej zażyłości wcale się nie kwapił. Pewnie, że obecny sąsiad zza miedzy był zawsze pod ręką i w razie nagłej potrzeby mógł najszybciej pomóc, ale osobiste sympatie kształtowały się powoli i wcale nie na zasadzie fizycznej odległości.

Ci, którzy przenieśli się na Wiktoryjkę, najszybciej zrywali więzy z dotychczasowymi środowiskami, bo tu wcale nie czuli się na wygnaniu. Poza tym zarówno Wilk, jak Pałetko byli gospodarzami „ciepłymi” i mieli środki na budowę wcale nie prowizoryczną, a i Panek też wchodził do domu już wcześniej budowanego. Wszyscy trzej byli tu znani od lat, bo tu mieli swoje kawałki pola, zmiana więc

ich miejsca zamieszkania odbyła się w sposób mało zauważalny. Poza tym pozyskanie takich sąsiadów było korzystne i dla nas, bo przyczyniało się do wzrostu znaczenia Wiktoryjki w okolicy i do dalszego jej uniezależnienia się zarówno od Biórkowa, jak i Wronina.

W wyniku przeprowadzanej komasacji gruntów, mimo dokonanych przesiedleń, co nieraz wiązało się dla zainteresowanych ze zmianą gminy, granice wsi i gmin pozostały nienaruszone. W okresie międzywojennym były one na naszym terenie traktowane jako coś tak stabilnego, że nawet oczywiste utrudnienia, wynikające ze spuścizny porozbiorowej, nie stanowiły podstaw do dokonywania jakichkolwiek zmian. Wystarczy podać, iż do siedziby naszego powiatu, Miechowa, najwygodniej było dojechać pociągiem przez stolicę sąsiedniego województwa – Kraków. Nikt oczywiście tak nie jeździł, bo do powiatu chodziło się pieszo lub jeździło furmanką, ale wynikało to jedynie z przyczyn ekonomicznych, a nie z uprzedzeń do korzystania z usług kolei.

Komasacja przeprowadzona u nas w latach trzydziestych zlikwidowała zwartą dotychczas zabudowę wsi i spowodowała akcję przesiedleń wewnątrz- i międzywiejskich, ale nie naruszyła istniejącej jedynie w świadomości ludzi granicy byłych zaborów. Do wybuchu drugiej wojny światowej, a więc przez okres przeszło dwudziestu lat, dla każdego mieszkańca południowej części powiatu miechowskiego takie miejscowości jak Kocmyrzów lub Czulice były nadal „za granicą”, mimo że z chwilą odzyskania niepodległości w 1918 roku granice te zostały zniesione raz na zawsze. Tu, u nas, było Królestwo, tu mieszkali prawdziwi Polacy i prawdziwi katolicy. Za granicą też żyli Polacy i też katolicy, ale jacyś inni, mniej swojscy i mniej bliscy. To byli „centusie”, ludzie bardzo wyrachowani, podstępni i mający ciągle do nas jakieś uprzedzenia. Było więc rzeczą normalną,

że takich podejrzanych ludzi trzeba było traktować z nieufnością, a gdy na jarmarku, na odpuście, czy na zwykłej zabawie nadarzyła się okazja, trzeba było solidarnie sięgnąć po kłonicę, orczyk czy inne stosowne narzędzie i pokazać im, gdzie raki zimują. Centusie odpłacali nam pięknym za nadobne i też nie przepuścili żadnej okazji, by udowodnić, kto tu ma rację i kto tu jest lepszy. Dla nich „kopiniok” też był osobnikiem podejrzany, też był niepewnym Polakiem i wątpliwym katolikiem.

Zauważyłem, iż liczne uprzedzenia i krążące stereotypowe oceny centusiów w naszym środowisku dotyczyły w zasadzie ludzi zamieszkujących tylko w miejscowościach leżących tuż po drugiej stronie dawnej granicy zaborów. Dla Królewiaaka mieszkaniec Krakowa nie był już żadnym centusiem i nie wywoływał nieprzyjaznych skojarzeń. Był takim samym człowiekiem i Polakiem, choć był jednocześnie najczęściej „panem”: nauczycielem, urzędnikiem, sklepikarzem czy po prostu „panem mechanikiem” – każdy budził szacunek i był poważany. Ogólnie można powiedzieć, iż mieszkaniec Krakowa nie był traktowany jako „Galicjok”, co – mogę przypuszczać – wynikało z układu stosunków gospodarczych, jakie podczas zaborów panowały na naszym terenie.

Wiktoryjkę od Krakowa dzieliła odległość 22 km i granica dwóch wrogich mocarstw. Dla chętnych nie były to jednak przeszkody zbyt trudne do pokonania. Odległość 44 km tam i z powrotem można było pieszo pokonać w ciągu jednego dnia, a przekroczenie granicy państwowej, według przekazywanych nam, młodym, wspomnień ówczesnych dorosłych mieszkańców, nie nastęczało większych trudności. Te, jeśli występowały, to wynikały jedynie z nieprzestrzegania ówczesnych, podobno bardzo liberalnych, przepisów celnych zaborców.

Jak na każdym pograniczu, i tu bujnie rozwijała się kontrabanda. Jeszcze do dziś na tym terenie można usłyszeć niejedno opowiadanie, jak to dziadek lub ojciec lekceważył i nie bał się „akcyzów” i co chciał, to do Galicji zaniósł i sprzedał, a co tam kupił, to do domu bezpiecznie przyniósł.

Przemyt, jako względnie pewne i – poza pracą na roli – jedyne dostępne tu źródło dochodu, był podstawowym zajęciem dla tych wszystkich, którzy chcieli zarobić, a przy tym nie bali się pewnego ryzyka i umieli nie tyle chodzić przez granicę, co również i koło swojego interesu. Powodzenie w tym zawodzie miał nie ten, który umiał szybko biegać, lecz ów, który umiał nawiązać kontakt towarzysko-handlowy z carską strażą graniczną. Z nawiązaniem takiego kontaktu nie było większych trudności, bo strażnicy na co dzień mieszkali po sąsiedzku w Biórkowie, Wroninie, czy na Zielonej. Każdy, kto chciał, bez trudu mógł się z nimi porozumieć, najskuteczniej przy kieliszku. Nie wszyscy ci obrońcy interesów cara skłonni byli do takich podejrzanych kontaktów, ale wśród nich było tylu chętnych, iż przemytnicy mieli wystarczające rozpoznanie kto, kiedy i na którym odcinku granicy będzie pełnił służbę. Poinformowani z góry o harmonogramie, trasie i składach osobowych patroli granicznych, handlarze szli „na pewnego”. Zarówno pilnowani, jak i pilnujący dążyli raczej do tego, żeby w tych delikatnych sytuacjach ze sobą się nie spotykać. I w zasadzie to się udawało. Wpadki następowały tylko wtedy, gdy jeden z uzgodnionych czynników uległ niezapowiedzianej zmianie i na przykład na trasie pojawił się inny skład patrolu. Wtedy przemytnik musiał brać nogi za pas, a towar porzucić.

Przemyt był więc zajęciem ludzi młodych, silnych i przedsiębiorczych, którzy o swoich przygodach i sukcesach umieli później barwnie opowiadać, szczególnie gdy po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku uprzednie

uprawianie tego zawodu w pewnym sensie nobilitowało jego bohaterów, jako walczących z zaborcami. Nic więc dziwnego, iż z czasem wokół tego tematu narosło wiele opowiadań nieprawdziwych i przesadnych, tworząc swoistą legendę.

Tu można postawić mi zarzut: po co ja piszę o tym, co działo się 20 czy 15 lat przed moim urodzeniem, czego na własne oczy nie widziałem i czego osobiście nie przeżywałem? Zarzut ten, przyznaję, może wydawać się w pełni uzasadniony, bo istotnie wybuch pierwszej wojny światowej zlikwidował gwałtownie i ostatecznie uprawianie przemytu na naszym terenie wraz ze zniesieniem granic zaborów.

Likwidacja granicy i zaprzestanie uprawiania kontrabandy to jedna sprawa, a mówienie na ten temat – to rzecz zupełnie inna. Każdy, kto zajmował się przemytem, w czasie gdy uprawiał ten proceder, ze zrozumiałych względów wiele o tym nie mówił, bo chwalenie się swoimi sukcesami mogło być niebezpieczne. Gdy jednak zajęcie to przeszło do historii, jego bohaterom trudno było o nim zapomnieć i w ich wspomnieniach pojawiła się nuta żalu za „dawnyymi, dobrymi czasami”. Nie była to wcale tęsknota za czasami zaborów (choć tych byli przemycnicy wcale w tak złym świetle nie przedstawiali), lecz w pełni rozumiały żal za utraconymi możliwościami w miarę dobrego zarobku.

Dziś, po upływie kilkadziesiąt lat od wydarzeń tu opisywanych, w Biórkowie, Wroninie, Łyszkowicach czy na Wiktoryjce domy, z których przynajmniej jeden członek rodziny nie dojeżdża do pracy w Nowej Hucie czy Krakowie, należą do nielicznych wyjątków. Codzienny dojazd do pracy jest zjawiskiem tak powszechnym, że trudno sobie nawet wyobrazić, iż przed wojną z tej okolicy do pracy w Krakowie dosłownie nikt nie dojeżdżał. Nie dojeżdżał, bo po pierwsze: pracy nie starczało w tym mieście dla samych jego mieszkańców; po drugie: codzienny dojazd był prawie niemożli-

wy, gdyż normalny pociąg kursował dopiero z Kocmyrzowa, dokąd trzeba było dotrzeć kolejką wąskotorową i taki dojazd z przesiadką trwał blisko trzy godziny w jedną stronę. Można było również wybrać się autobusem PKS, kursującym po wyboistej szosie z Krakowa do Proszowic, ale te jeździły tylko trzy razy na dobę. Największą jednak przeszkodą były wysokie ceny przejazdów (do Krakowa i z powrotem blisko 4 zł pociągiem i 6 zł autobusem), znacznie przekraczające możliwości zarobkowe.

Kraków był blisko, a jednocześnie daleko. Dla tych, którzy pamiętali granicę w Kocmyrzowie, wydawał się bardziej oddalony, niż za czasów zaborów, bo teraz nie bardzo było tam za co i po co jechać. Na przejeżdżający szosą autobus PKS-u patrzyliśmy jak na pojazd z innego świata, wytworny, wygodny, ale nie dla nas przeznaczony.

Przez długie lata, aż do wybuchu drugiej wojny światowej, opowiadania o przeżyciach związanych z uprawianiem przemytu przez byłą granicę stanowiły główny temat sąsiedzkich rozmów. W długie jesienne czy zimowe wieczory, kiedy we własnym domu nie było co robić, a bezproduktywne wypalanie drogiej kamfiny było co najmniej marnotrawstwem, sąsiedzi zbierali się u nas lub u Baranka i albo pilnie słuchali, albo też sami opowiadali, jak to było z tym handlem z Galicją.

Te same wydarzenia i przeżycia powtarzane były niezliczoną ilość razy i z coraz większą fantazją. Nikt temu się nie dziwił i nikt nic nie prostował. Z upływem czasu nawet my, dzieci, znaleźmy na pamięć tak dużo szczegółów z tego okresu, że traktowaliśmy je jako przeżycia własne, które w przyszłości miały na stałe utkwąć w naszej pamięci.

Sąsiedzkie opowiadania o „carskich” czasach, przemytnikach i „akcyzach”, wywierały na moją wyobraźnię wpływ szczególny. Siedząc na łóżku lub stojąc w kącie zadymionej naszej lub Barankowej izby, chłonałem każde słowo.

Zapominałem o głodzie i o pchłach, traciłem poczucie czasu. Pragnąłem, aby opowiadania te trwały jak najdłużej. Nie dostrzegałem granicy między rzeczywistymi przeżyciami bohaterów, a historiami zmyślonymi. Dla mnie wszystko było prawdą, wszystko było autentyczne.

Czasem było mi żal, że te ciekawe czasy minęły, a otaczająca mnie rzeczywistość wydawała mi się szara, zwyczajna, nie dająca szans na wyróżnienie się czymkolwiek. Zazdrościłem dorosłym, że im dane było żyć w tak ciekawym okresie, zazdrościłem im ich przeżyć, podziwiałem ich umiejętność opowiadania o tym, co minęło.

Jutro w Proszowicach jarmark

Opowieści przemytnicze otwierały przede mną świat odległy, który choć przeminął, wydawał mi się obecny. Takie miejscowości, jak Czulice, Karniów, Kocmyrzów, mimo że nigdy w nich nie byłem do tego czasu, wydawały mi się znane i swojskie. Bardziej nawet swojskie, niż najbliższe miasteczko, Proszowice, które poznałem dość wcześnie, gdyż ojciec zabierał mnie czasem na środowy „jarmak” (tak mówiliśmy) lub gdy miał do załatwienia coś w sądzie. Natomiast do Krakowa, choć bardzo pragnąłem, ojciec nie chciał mnie zabierać, bo „nie miał głowy pilnować konia, wozu i jeszcze mnie”. Ostatecznie do 1939 roku w Krakowie byłem z ojcem tylko raz furmanką i raz pociągiem, gdy pojechałem zdawać egzamin do gimnazjum. Było to i tak dużo, bo większość moich rówieśników do tego czasu nie była w Krakowie, nie jechała pociągiem, nie widziała tramwaju.

Co innego Proszowice, odległe tylko o siedem kilometrów. Na przejazd tam i z powrotem oraz na załatwienie sprawy wystarczyło 2–3 godziny. Środowe jarmarki, w każdym tygodniu organizowane, były wydarzeniami

interesującymi wszystkich mieszkańców bliższej i dalszej okolicy, a nawet Galicjoków zza Kocmyrzowa, kłódcarzy ze Świątnik i górali zza Myślenic, którzy przyjeżdżali na ten dzień z długim drewnem budowlanym. Świątniczanie (kłodki własnego wyrobu) i górale wybierali się na jarmark do Proszowic z towarem, którego w poprzedni dzień nie zdołali sprzedać na targu w Krakowie, a noc z wtorku na środek spędzali u wybranych gospodarzy przy szosie z Krakowa do Proszowic.

Jednym z takich stałych „hotelu” dla świątnickich kłódcarzy był nasz dom, tani, gościnny i w miarę niekrepujący. „Ociepka” słomy rozłożona do spania i zimowe palto ojca do przykrycia zamiast kołdry, żur z ziemniakami na kolację, a mleko z chlebem na śniadanie, były stałymi świadczeniami oferowanymi przez nas gościom w zamian za tanią kłodkę, za komplet wiadomości bieżących ze świata i za streszczenie książki lub opowiadzenie treści filmu fabularnego, z tym iż ten oryginalny „magazyn kulturalny” ceniliśmy sobie nieporównanie wyżej od informacji bieżących.

Każdy wtorkowy wieczór, z uwagi na obecność gości, był inny od wieczorów pozostałych dni tygodnia. Był przez nas oczekiwany i odpowiednio przygotowywany. W dniu tym nie mogło braknąć nafty, a lampa świeciła do samej północy, mimo że w domu nic się nie robiło. Dla gadziny kolację przygotowywano wcześniej, żeby nie tracić czasu wtedy, gdy goście zaczną już opowiadać. Jedynie krowy nie można było wcześniej wydoić, bo ta nie chciała pospieszyć się z produkcją mleka, a tego potrzeba było w tym dniu znacznie więcej, niż w pozostałych dniach tygodnia. Sąsiedzi we wtorki raczej omijali nasz dom, to każdy wiedział, iż dwóch–trzech obcych ludzi w jednej izbie dodatkowo oraz rozłożona słoma do spania (zmęczeni goście kładli się wcześniej i leżąc wygodnie, opowiadali) zajmowały całą powierzchnię, nawet więc postać nie było gdzie. Jedynie

Ignac Wilk nie krępował się i przychodził, bo będąc prawie niepiśmienny, pasjami lubił literaturę piękną, a szczególnie chciał poznać całą treść Trylogii Sienkiewicza. Dla niego Skrzetuski, Kmicic czy Wołodyjowski byli postaciami historycznymi, a ich przeżycia na tyle autentyczne, że każda próba wytłumaczenia mu, iż zarówno same te postacie, jak i opisana ich działalność jest wytworem wyobraźni autora, wyprowadzała go z równowagi jako kalanie świętości.

W tym czasie zresztą wszyscy traktowaliśmy podobnie streszczenia przeczytanych przez naszych świątnickich gości książek, a losy bohaterów Sienkiewiczowskich lub hrabiego Monte Christo uznawaliśmy za autentyczne i jako takie wywoływały wypieki na naszych policzkach. Słuchając długo w noc tych opowieści, nawet o spaniu nie myśleliśmy i gotowi byliśmy czuwać do samego rana. Jedynie ojciec nie zapominał o obowiązkach gospodarza i zwykle koło północy przerywał w najbardziej interesującym momencie:

– Panowie, doś na dzisiaj! Jutro trza wceśnie wstać, na jarmak wybiero sie kupa ludzi, musicie być piersi. Dokończycie opowiadać na drugi tydzień.

Następnego dnia pobudka była rzeczywiście wczesna. Jeśli to była jesień lub zima, to na dworze było jeszcze ciemno i trzeba było zapalać lampę.

Nasza izba wyglądała jak pobojuwisko. Słomę, rozłożoną wieczorem między piecem chlebowym a łóżkiem, goście skopali na środek izby, tak że jeden lub drugi leżał już prawie na gołej ziemi. Wygodne to nie było, ale chłodu specjalnie nie odczuwali, bo przezornie do spania nie zdejmowali ubrania, a jedynie buty. Pierwszą czynnością, jaką trzeba było wykonać, aby w ogóle móc się poruszać po izbie, było zebranie i wyniesienie słomy do chlewa. Po jej usunięciu zaraz robiło się luźniej, goście mogli przystąpić do robienia toalety (mycie rąk i twarzy metodą polewania

na ręce), można też było rozpalać pod blachą, by im zagotować mleko na śniadanie.

Po upływie niecałej godziny od pobudki kłódcarze wypoczęci, umyjni i nakarmieni dziękowali za gościnę i ze słowami: „No to zostajcie z Bogiem”, objuczeni niewielkimi, ale bardzo ciężkimi plecakami, opuszczali nasz dom. Ojciec wyprowadzał ich za próg i serdecznie zapraszał do ponownych odwiedzin za tydzień.

Teraz można było przystąpić do normalnych codziennych czynności i do własnego przygotowania się do wyjścia lub wyjazdu na jarmark. Gdy w domu był koń, to nie honor było iść do Proszowic na piechotę, tym bardziej że chętnych do zabrania się nigdy nie brakowało. Gdy konia nie było, trzeba było liczyć tylko na własne nogi, bo sąsiedzi jakoś nie kwapili się z oferowaniem transportu. Chyba że już po drodze, bo wtedy nie wypadało im wyprzedzić sąsiada lub znajomego.

– Prrr, siadajcie Macieju, szkoda waszych nóg, a mój gniady wystany, niech trocha pociągnie – mówił wtedy życzliwy sąsiad i robił ojcu miejsce do siadania na wiązce słomy obok siebie lub wskazywał inne, mniej wygodne miejsce na wozie.

Przygotowania do wyjścia na jarmark nie trwały długo. Pieniądzy – wiadomo – nie było nigdy. Żeby można było coś w Proszowicach kupić, trzeba było złapać jedną lub dwie kury lub wziąć kilkanaście uzbieranych w tygodniu jaj, osełkę masła podprawionego sokiem z marchwi (żeby bardziej apetycznie wyglądało) albo gomułkę sera. Z „grubszym” towarem, takim jak cielę, świnia lub worek zboża, jechało się rzadko, bo krowa cielęła się raz na rok, świnie u nas były raczej długowieczne i przed upływem roku żaden „cycok” nie chciał przemienić się w opasłego stukilogramowego wieprzka, a zboże było tylko po żniwach.

Wyprowadzanie na jarmark krowy było u nas wydarzeniem wyjątkowym, bo ta, jeśli dawała mleko i corocznie się cielęła, to korzystała ze statusu członka rodziny i miała zapewnione długie lata życia w naszym domu. Jeśli zaś „jąłowiła”, to na jesieni lepiej się ją żywiło, a gdy „nabrała na siebie mięsa”, kupcy sami przychodzili po nią do domu i sprzedawana była na rzeź. Na jarmark do Proszowic nie było sensu jej prowadzić, bo tam handlowano raczej bydlęciem przeznaczonym na chów.

Ojciec nigdy nie miał zaufania do targowiska w Proszowicach, bo miejscowe „kulony” i Żydzi zmonopolizowali tam skup i dyktowali ceny, a podaż, jeśli chciało się kupić dobrą krowę, była ograniczona. A na krowach to ojciec znał się jak rzadko kto. Uchodził w okolicy za rzeczoznawcę od tych zwierząt i często był przez bliższych i dalszych sąsiadów zapraszany w takim charakterze do Skalbmierza, bo na tamtejszym czwartkowym targu można było kupić stosunkowo tanio krowę, która dawała dużo mleka, regularnie się zacielała, była „nie pysno”, czyli jadła wszystko, co w zasięgu jej pyska było, i miała szereg innych zalet. Żadne wysiłki zamaskowania wad kupowanej krowy nie potrafiły zmylić ojca, w tym nawet niedojenie krowy przez dłuższy czas, praktykowane w celu powiększenia rozmiarów krowiego wymienia, co miało świadczyć o jej mleczości. Zawsze wybrał taką sztukę, z której kupujący był zadowolony i przynajmniej dobrym słowem starał się podziękować doradcy, bo na inną formę wdzięczności ojciec nie liczył. Przyjemność sprawiał mu sam proces dobijania targu, a targować się umiał i jeśli przybił cenę, to taką, którą sam uważał za korzystną.

Specjalizowanie się ojca w pośredniczeniu przy zakupie krów przez sąsiadów za „Bóg zapłać” było u nas zjawiskiem raczej wyjątkowym, bo na samą podróż do Skalbmierza trzeba było poświęcić więcej niż jedną dobę, a każdy swój

czas przecież cenił i za darmo mało kto coś robił. Każdy szanujący się gospodarz sprzedawał lub kupował krowę lub konia na swój własny rachunek, bo wierzył, że zawsze na tej transakcji coś zyska. Szczególnie dobry zarobek był na koniach, u których wady można było ukryć stosunkowo najłatwiej, a rzeczywiste i rzekome walory można było kupującemu wmówić w postaci zwielokrotnionej. Ale tu, jeszcze bardziej niż przy krowach, trzeba było być specjalistą i umieć przygotować konia do sprzedaży, co wymagało trochę zachodu.

Wartość konia, obok takich cech, jak rasa i kondycja, zależna jest w głównej mierze od jego wieku i – nazwijmy to – pracowitości. Zarówno jedna, jak i druga cecha są pozornie łatwo sprawdzalne, w rzeczywistości jednak trudne do ustalenia w krótkim czasie.

Jeśli chodzi o wiek, to jego określenie na podstawie dowodu tożsamości konia było często mylące, bo Łysy czy Gniada dostawały przy każdym występie na targu nowy dowód, gdyż poprzedni najczęściej ginął, a wypisanie zastępczego (zawierającego dane korzystne dla sprzedającego) nie stanowiło żadnego problemu. Kupujący wiedział o tym i dlatego też nie bardzo zaglądał do tak mało wiarygodnego dokumentu, a wiek konia starał się ustalić raczej na podstawie jego zębów, bo te, w miarę przybywania zwierzęciu lat, winny być coraz dłuższe. „Winny być” nie oznaczało wcale, że były. Sprzedający wiedział, że ewentualny nabywca będzie jego koniowi zaglądał w zęby i dlatego też w przeddzień wyjazdu na targ zębom swojego siwka poświęcił szczególną uwagę. Tak długo ostrą raszplą piłował je i skracał, by w końcu ich wymiary zgadzały się z datą jego urodzenia, zawartą w sporządzonym na świeżo dowodzie.

Nietrudno sobie wyobrazić, jak bolesny był taki zabieg dla operowanego, nic więc dziwnego, że koń zachowywał się przy tym bardzo niespokojnie, rzucał się i kopał, podczas gdy

przy podkuwaniu np. stał spokojnie jak trusia. Właściciel konia na pewno wiedział, jakie będą konsekwencje piłowania końskich zębów dla jego kondycji i zdrowia w przyszłości, ale to go już nie obchodziło, bo zdecydowany był go sprzedać. Niektórzy częstą zmianę koni traktowali jako swego rodzaju hobby, dla innych była to jednak konieczność, bo ich Łysek był wyjątkowym leniem, którego nawet najbardziej mocne bicie batem, albo i czymś twardszym, nie potrafiło skłonić do ciągnięcia wozu, mimo że widoczne było, iż wcale nie przekraczało to jego możliwości.

– To wyjątkowy psuj – mówiło się o takim koniu, którego charakter spaczony został w jego młodości nieprawidłowymi metodami wychowawczymi. Wyjątkowe złośliwce mogły się dać zabić, ale nawet pustego wozu po prostej drodze nie pociągnęły. Bywały i takie, które pierwsze uderzenie bata, mające je skłonić do przyspieszenia kroku, traktowały jako sygnał do zatrzymania się i dalej nie postąpiły już ani o metr.

Lenistwo i krnąbrność były wielką wadą koni, ale i na to było lekarstwo. Fachowcy, choć z ciężkim sercem, kupowali ćwiartkę wódki i w odpowiednim czasie siłą wlewali psujowi do gardła ten drogocenny lek, mimo że sami łakomie połykali przy tym ślinę. Koń, do alkoholu raczej nie przyzwyczajony, teraz jakby zmienił zupełnie swą naturę: stanie w miejscu było dla niego największą karą, pęd do przodu – nawet z najbardziej obciążonym wozem, którego koła blokowało kilkunastu silnych chłopów – był dla niego nieodpartą potrzebą chwili. Pękały orczyki i postronki, a on wciąż dążył przed siebie. Teraz dla sprzedającego istniał problem zatrzymania konia, a nie zachęcania go do pracy.

Po takim przygotowaniu do występu, transakcja najczęściej dochodziła do skutku. Leciwa szkapina, której wnuczka mogła już być matką, szła za klacz w kwiecie wieku, a największy psuj – za pracusia.

U nas takim hobbystą w cotygodniowej wymianie konia był stary Jabłoński ze Stoków. Z każdego jarmarku wracał z nowym siwkiem lub gniadą i każda taka wymiana kosztowała go kilka lub kilkanaście złotych, bo jakoś nie miał szczęśliwej ręki do koni i zawsze taniej sprzedawał niż kupował. Mógł sobie jednak na to pozwolić, bo za własną stodołą miał kopalnię względnie dobrego piasku, którego wydobyciem zajmował się w pozostałe powszednie dni tygodnia. Pracował w warunkach urągających wszelkim zasadom bhp (w końcu doszło do tragedii, gdy niczym nie zabezpieczony szyb wydobywczy zawałił się, grzebiąc właściciela „kopalni”), ale złoże było na tyle wydajne, iż dzienne wydobycie mogło osiągnąć nawet i cztery fury wartości czterech złotych. Podaż piasku przewyższała jednak aktualny popyt (sąsiad Jabłońskiego, Łach, też wydobywał piasek, a dojazd do niego był łatwiejszy) i dlatego kopalnia eksploatowana była w ograniczonym zakresie, na tyle, aby starczyło na cotygodniową dopłatę do nowego konia i na opicie nabytku.

Takich jak Jabłoński, którzy z gotowym groszem szli lub jechali na jarmark, było niewielu. Większość wiozła, niosła lub prowadziła do Proszowic to, co trzeba było dopiero sprzedać, by móc kupić następnie coś, co w domu było najpotrzebniejsze, lub zapłacić podatek albo zaległą ratę pożyczki w Kasie Stefczyka. Dziur było dużo i pieniędzy potrzeba było duckę, a tu w Proszowicach kupcy jakby się zmówili, co jeden to mniej oferował za towar. Czasem nawet żyd płacił lepiej od katolika, a to już było bolesne, że swój swojego starał się wykorzystać.

Ale o tym, jak dziś płacą za jajka, zboże lub świnie, każdy dowiadywał się dopiero na miejscu i dlatego warto było znaleźć się tam jak najwcześniej. W każdą środę więc od wczesnego rana szosą ciągnęli ludzie niczym na odpust, furmankami i pieszo, czasem ktoś pedałowal na rowerze,

rzadko, ale pojawiały się od czasu do czasu i samochody ciężarowe, wznecające tumany kurzu i wzbudzające popłoch wśród pieszych i furmanów, jako że większość koni wychowana z dala od szosy, rzadko widywała podobne maszyny i dlatego co bardziej strachliwe panicznie uskakiwały w bok. Furmani przewidywali ich reakcje przy takich spotkaniach i dlatego przezornie zatrzymywali wóz, koniom zasłaniaли oczy i mocno trzymali je za uzdy przy pyskach. Najczęściej udawało im się opanować zwierzęta, ale czasem, gdy były one zbyt strachliwe lub gdy kierowca niebezpiecznie blisko wyprzedzał wóz, wystarczył moment nieuwagi furmana, konie rzucały się gwałtownie w bok i spod wywróconego do rowu wozu już gramolili się poturbowani i przestraszeni pasażerowie, ratując nie mniej przerażone ptaki i zwierzęta i zbierając resztę nie pogniecionych jaj.

Pasjami lubiłem patrzeć na ten środowy ruch na szosie i zafascynowany widokiem zapominałem chwilami nawet o swoim największym problemie tego dnia: zabierze tatuś mnie na jarmark, czy też każe mi normalnie iść do szkoły? W szkole dziś tylko trzy godziny, nic ważnego i nic nowego, a w Proszowicach można zobaczyć tyle ciekawych rzeczy i na pewno tatuś kupi mi albo małą kajzerkę za cztery grosze, albo ćwiartkę „kupnego” chleba, pachnącego, świeżego i tak smacznego, że smarowanie go masłem byłoby zbędnym luksusem.

Moje marzenia o jeździe na jarmark spełniało się rzadko i tylko wtedy, gdy ojciec jechał wozem. Zabierany byłem nie po to, by konsumować wyroby proszowickich piekarzy, ale po to, by pilnować wozu i konia, gdy ojciec pójdzie załatwiać sprawy. Kajzerka lub kupny chleb były nagrodą za dobre pilnowanie i wcale nie tak pewną, bo zależną od tego, czy ojcu zbywało coś grosza, czy też nie. Ale nawet gdy kajzerki nie dostałem, to i tak byłem szczęśliwy, bo to, co zobaczyłem, było tak ciekawe i inne od codziennych

przeżyć, że długo po powrocie miałem jeszcze co opowiadać i w domu, i swoim rówieśnikom, którym nie dane było jarmarku oglądać.

Moje przeżycia rozpoczynały się już przy wjeździe do miasta. Przejęty treścią prowadzonych na wozie rozmów, wiedziałem, że gospodarze oczekują, iż urzędnik miejski nie wszystko na wozie dostrzeże i nie za wszystko pobierze opłatę przy przekraczaniu rogatki. Zwykle jednak zobaczył i pobrał stosowną opłatę, za co solidarnie życzone jemu i jego rodzinie wszystkiego najgorszego.

– Nic tylko człowieku za wszystko płąć a płąć – mówili dorośli. – A co by mu się stało, gdyby tak udał, że na wozie nic się nie wiezie? Przecież to i tak nie idzie do jego kieszeni, a dla biednego człowieka każdy grosz się liczy.

Poborca wiedział jednak, co ma robić, za co i ile ma pobrać opłaty i dlatego nie zrażał się epitetami kierowanymi pod jego adresem. Magistrat płacił mu za rzetelną pracę i do jego obowiązków należało skrupulatne egzekwowanie przewidzianych kwot. Opłaty z tytułu rogatkowego za wjazd wozem lub wwóz na targ zwierząt przeznaczonych do sprzedaży stanowiły poważne źródło dochodu władz miejskich. Rozmiary ich wpływów byłyby na pewno większe, gdyby pojemność targowiska, ulic i placów miejskich była większa i gdyby część chłopów nie pozostawiała swoich wozów przed wjazdem do miasta. Kto nie chciał bowiem płacić rogatkowego lub kto obawiał się tłoku, przed miastem zjeżdżał na pobocze, wypręgał i dawał obrok koniowi, a opiekę nad całością pojazdu powierzał swojemu dziecku, którego w tym dniu specjalnie nie posyłał do szkoły, lecz zabierał do Proszowic. Nic więc dziwnego, że w dni targowe absencja w okolicznych szkołach była wyjątkowo duża. Kilkugodzinne pilnowanie wozu przed miastem było zajęciem ciekawszym, niż udział w szkolnych zajęciach, ale mniej atrakcyjnym, niż spełnianie

tej samej funkcji w mieście, gdzie był ruch, gwar i zawsze działo się coś ciekawego.

Jarmark trwał w zasadzie do godzin południowych. Jeśli ktoś do tego czasu nie zdołał sprzedać tego, z czym do Proszowic przyjechał, to dalsze czekanie na kupca było niecelowe. Targowisko, ulice i place miejskie pustoszały. Każdy spieszył do domu, bo w polu czekała robota, a gądzina w chlewie ryczała i kwiczała głodna.

W Proszowicach zostawał ten, kto spotkał znajomego lub krewniaka dawno nie widzianego, z którym wypadało się napić. A tych, co mieli szczęście spotkać przyjaciela, dzięki czemu nadarzała się okazja wypicia – nigdy nie brakowało. Nie brakowało również powodów do samego picia: ceny na dzisiejszym jarmarku były wyjątkowo niskie, za dużo było sprzedających, a za mało kupujących, zimno lub upał, łamanie w kościach na deszcz i dziesiątki innych powodów, których nie należało pominąć, żeby się napić.

O tych spragnionych i żądnych wrażeń klientach pamiętali miejscowi restauratorzy. Nie zdarzyło się, by w dzień targowy któryś z nich zamknął lokal. Przeciwnie – na ten dzień były one zawsze w pełni sprawne do działania, tak aby żaden klient nie odszedł głodny i spragniony.

Generalnie obowiązywała zasada „kredytu nie udziela się”, co każdy, nawet najbardziej przepity, ale na oczy jeszcze patrzący, mógł przeczytać na stosownej wywieszce. Druga wywieszka o treści: „pluj tylko do spluwaczki” była chyba szatańskim wymysłem ówczesnych władz sanitarnych, bo nakaz ten – co jest oczywiste – mógł być przestrzegany tylko w początkowej fazie konsumpcji alkoholu; pod koniec biesiady żadne, nawet najwznioślejsze hasła, największa i najbliższej stołu usytuowana spluwaczka, nie zabezpieczały nakrycia stołowego i lokalu przed „zwrotami nadspożycia”.

Restauratorzy chyba przewidywali, że ten skądinąd słuszny przepis nie będzie przez ich klientów przestrzegany i dlatego też nie wyposażali swoich lokali ani w lepsze nakrycia, ani też w okazalsze meble. Brudne stoły, ławy lub sfatygowane stolki oraz najtańsze noże, łyżki i widelce sprawiały na pewno nie najlepsze wrażenie, ale też nie o estetykę chodziło głównie biesiadnikom. Grunt, żeby było wesoło i swojsko. I żeby – jeśli zabawa się przeciągała, a forsy brakowało – restaurator jednak dał coś „na burg”. Bo jeśli już zaczęto pić, to trzeba było pić do końca.

Mieszkając przy szosie, nawet jeśli nie byłem na jarmarku, miałem co srode możliwości oglądać powroty do domów tych, co lubili pić do końca. Jedni spali jak kłody na wozach, inni przeciwnie – niesamowicie spieszyli teraz do domu i swoje konie, spocone i zziajane, bez przerwy okładali batem.

Szkoła

W lutym 1933 roku ukończyłem sześć lat. Jeśli do tego czasu coś się wyróżniłem, to jedynie niskim wzrostem i przekornym sposobem bycia w życiu rodzinnym, mimo że poza domem byłem raczej grzeczny i posłuszny. Mój wzrost był niezależny ani od mojej, ani od rodziców woli i – jak dotychczas – nie przysparzał mi żadnych kłopotów, przeciwnie – z tego powodu korzystałem nawet z pewnych przywilejów, bo rodzice i starsza siostra starali się na swój sposób skompensować mi ten widoczny defekt fizyczny. Rodzice byli dla mnie na ogół czuli i troskliwi, a siostra nie odpłacała mi pięknym za nadobne, choć moje zachowanie się w stosunku do niej było często naganne. Tej taryfy ulgowej bliskich w stosunku do mojej osoby i tolerancji wtedy nie potrafiłem ani docenić, ani ocenić. Podświadomie zdawałem sobie jednak sprawę z tego, iż zachowuję się niewłaściwie, ale nie mogłem powstrzymać się przed robieniem „kawałów” zarówno domownikom, jak i różnym istotom żyjącym, które miały nieszczęście popaść w moje ręce. Wynikało to z mojego niespokojnego charakteru, pozostawienia mi przez rodziców zbyt dużej swobody i nieprzydzielania konkretnych zadań, jak również z braku najprostszych nawet zabawek, które mogłyby skierować moje zainteresowania ku sprawom związanym np. z techniką lub mechaniką.

Nie mając narzuconego programu zajęć, nie mogłem jednak nic nie robić i sam wynajdywałem sobie różnego rodzaju rozrywki, najczęściej nieobojętne dla otoczenia: raz dokonywałem zabiegów chirurgicznych na muchach, których celem było przystosowanie tych owadów bądź wyłącznie do chodzenia, bądź też tylko do latania; kiedy indziej robiłem doświadczenia na naszym psie. Łysy był psem starym, ośleplym, którego tylko zmysł powonienia nigdy nie zawodził. Przez cały dzień przywiązany był na wyjątkowo krótkim łańcuchu, a karmiony rano i wieczorem niewielką ilością gotowanych ziemniaków zalewanych wodą. Uczucie głodu i pragnienia nie było mu więc nigdy obce. Moje doświadczenie polegało na zbadaniu, jak zachowa się Łysek, gdy do zjedzenia podam mu jakiś przysmak nafaszerowany podstępnie czymś, czego w innym przypadku on nawet wąchać nie chciał.

Zje czy nie zje – oto było pytanie, które jedynie mnie interesowało. Na myśl nawet nie przychodziło mi wtedy, że zrobiłbym o wiele lepiej, gdybym temu głodnemu psu dał po prostu coś do jedzenia i nalał do miski wody do picia, bez żadnych podstępów i bez robienia tak złośliwych doświadczeń. Ale skąd miałem wówczas o tym wiedzieć, jeśli na co dzień nikt mi o tym nie mówił?

Długo ten rodzaj mojej działalności rozrywkowo-doświadczałnej uchodził uwadze rodziców i pozostawał bezkarny. W końcu jednak zostałem „nakryty” i za prowadzenie tak oryginalnych eksperymentów odpowiednio ukarany. Przetrzepany pasem, szybko zrozumiałem swój błąd, a wtedy zrobiło mi się głupio i żałowałem tego, co dotychczas robiłem, ale tak od ręki nie mogłem zmienić swego postępowania, bo gotów był ktoś pomyśleć, że to użycie pasa wpłynęło tak radykalnie na moje postępowanie. W żadnym zaś przypadku nie chciałem uchodzić za takiego, co to pasa się boi. I dlatego jeszcze przez jakiś czas, nawet pokonując we-

wewnętrzne opory, dla utrzymania opinii, iż „biciem mnie nic się nie wskóra”, kontynuowałem podobne doświadczenia już nie tyle z ciekawości, co z przekory. Ofiarą mojego uporu padło jeszcze niejedno dwu- i wielonożne stworzenie.

Wkrótce jednak zaniechałem zupełnie dotychczasowych doświadczeń, bo – w moim przekonaniu – miałem naturę wrażliwą i z czasem z kata i oprawcy stałem się konsekwentnym obrońcą wszelkich zwierząt. Znacznie trudniej było mi dostosować swoje zachowanie w domu do ogólnie przyjętych norm i oczekiwań rodziców. Trudność ta wynikała nie tyle z mojej złej woli, co po prostu z mojego niespokojnego charakteru i chęci wyróżniania się w każdym środowisku. Pragnąc zwrócić na siebie uwagę, gotów byłem zrobić nawet coś najgorszego i karygodnego, byle tylko osiągnąć swój cel. Okazji ku temu, na moje nieszczęście, nigdy nie brakowało.

Dom nasz – o czym już w innym miejscu wspomniałem – obok domu Baranka był miejscem częstych sąsiedzkich spotkań. Uwielbiałem te „nasiadówki”, bo można było wtedy usłyszeć dużo ciekawych wiadomości. Jednak nawet najciekawsze wieczory miały okresy przerw, kiedy to jeden temat został wyczerpany, a następnego zebrani jeszcze nie rozpoczęli omawiać. Dla zabierających głos był to moment wytchnienia i przygotowania się do dalszego ciągu dyskusji. Dla mnie taka przerwa stanowiła okazję do załatwienia spraw osobistych i fizjologicznych.

Te drugie nie stanowiły większego problemu, bo – wiadomo – do chlewa było blisko. Gorzej było ze sprawami osobistymi, bo tu chodziło najczęściej o to, by dostać do zjedzenia jakąś kromkę chleba, jako że od obiadu upłynęło już wiele godzin i kiszki marsza grały. Poza tym uważałem, iż przerwa w dyskusji jest jedyną okazją zwrócenia na siebie uwagi zebranych, gdyż w czasie rozmowy dziećmi nikt się nie zajmował. Obie te okoliczności sumowały się

i ja – zamiast siedzieć cicho w kącie – stawałem się niebezpiecznie ruchliwy i aktywny. Goście, ci bardziej spostrzegawczy, domyślni i dowcipni, dostrzegali ten mój niepokój i starali mi się podsuwać różne propozycje odprężenia się. Wszyscy mnie znali i wiedzieli, że z ich rad chętnie i często korzystałem.

Pewnego lutowego dnia, tak gdzieś o zachodzie słońca, nastąpiła opisana wyżej przerwa w sąsiedzkiej dyskusji. W izbie było już prawie ciemno, ale lampy jeszcze nie zapalono, bo nikt nic nie robił i szkoda było nafty. Nadszedł zatem taki moment, którego raczej nie lubiłem. W dodatku obiad w tym dniu był wyjątkowo słaby, odczuwałem więc nie tylko nudę, ale i dokuczliwy głód. Obojętne miny rodziców i brak jakichkolwiek przygotowań do warzenia kolacji nie wróżyły, bym w najbliższych godzinach – przed wyjściem ostatniego gościa – miał możliwość pozbycia się nieprzyjemnego ssania w żołądku.

Uznałem więc ten moment za odpowiedni do szukania jakiegoś kompromisowego rozwiązania. Cicho i dyskretnie „na ucho” zacząłem prosić ojca o coś do jedzenia. Był to – przyznaję – z mojej strony krok nierozważny i z góry skazany na niepowodzenie; krojąc dla mnie kromkę chleba, wypadało i innym dzieciom też dać po kromce, a to byłoby rozrzutnością, bo chleba nigdy nie było za dużo, trzeba więc było dzielić go oszczędnie między swoich, a nie dawać obcym dzieciom. Dlatego też zarówno w naszym domu, jak i u sąsiadów nie było zwyczaju częstowania gości jedzeniem lub pić, chyba że byli proszeni na jakąś domową uroczystość. Prawdę mówiąc, nie było ani czym, ani w czym, ani na czym częstować. Domownicy w obecności gości wstrzymywali się od jakiegokolwiek jedzenia i picia; „dobrze wychowane” dziecko o tym wiedzieć powinno i nie domagać się jedzenia, gdy ktoś obcy był w do-

mu. Ja o tym wiedziałem, ale coś zawsze mnie kusiło, by łamać panujące zwyczaje.

Ojciec, jak tylko mógł najciszej, radził mi, bym z tak nie-dorzeczną prośbą wstrzymał się do czasu, gdy pójdą goście. Wzmagające się uczucie głodu, jak również i mój przekorny charakter, nie pozwoliły mi w tym momencie w pełni docenić jedynie słusznej rady ojca i zamiast uspokoić się, zacząłem prośbę ponawiać coraz to głośniejsze, a w końcu nawet wyraźnie demonstracyjnie. Ojciec ze stoickim spokojem tolerował moje wyzywające zachowanie i robiąc dobrą minę, starał się nie okazywać swojego zdenerwowania. Ten jego spokój zachęcał mnie najbardziej do eskalowania żądania.

Zebrani z rosnącym zainteresowaniem obserwowali moje zachowanie, gdyż wiedzieli, że doprowadzi ono do ciekawego dla nich zakończenia. Aby dolać oliwy do ognia, przyspieszyć, i uatrakcyjnić zakończenie tego rodzinnego konfliktu, Jadam Wilk z łyżkowickich Buciorów, mój daleki krewny po kądzieli, poradził mi życzliwie:

– Edziu, a weźże kopnij łojca, to ci zaraz do jeś!

Takiej zachęty było mi właśnie potrzeba. Nie zastanawiając się ani przez moment, podbiegłem do siedzącego na łóżku ojca i – jak tylko mogłem najsilniej – kopnąłem go w goleń. Efekt mojego postępuku był piorunujący: zebrani aż zawyli z uciechy, a ojciec z bólu i wściekłości, ja zaś w okamgnieniu przestałem czuć się aktorem, a poczułem się przestępcą. Żałowałem swego czynu, żal mi było ojca, a przede wszystkim ogarnął mnie strach przed odpowiedzialnością. Ojca znałem doskonale i wiedziałem, że mi tego nie podaruje, choć sprawiedliwość poczeka na wyjście ostatniego gościa. Zbyt często dopuszczałem się różnych wykroczeń (choć tym razem czułem, że przekroczyłem wszelką miarę) i miałem przebogate doświadczenia w zakresie sposobów rozliczania mnie za nie. Zawsze otrzymywałem zapłatę z nawiązką, abym pamiętał i więcej tego nie

robił. Czułem, że tym razem kara będzie szczególnie surowa, odpowiednia do wagi wykroczenia, i że obok funkcji wychowawczej zawierać będzie również elementy zemsty. Moje przecucia co do jakości i surowości kary nigdy mnie nie myliły.

Pozorny spokój ojca i nienaturalnie zaróżowione jego policzki nie wróżyły dla mnie nic dobrego. Wiedziałem, że z największym wysiłkiem maskuje ból i gniew. A ból musiał odczuwać olbrzymi, bo choć byłem niespełna sześciolatnim brzdącem, to nogi miałem bardzo sprawne i do tego obute w ciężkie buty z cholewami, codziennie kilkakrotnie na przemian moczone i gwałtownie „na kość”, a czasem aż do przypalenia, suszone przy żeliwnym piecyku. Uderzenie takim butem, a poza tym okoliczności, w jakich dopuściłem się tego czynu, nie mogły mi ujsć bezkarnie.

Jedynym moim pragnieniem teraz było tylko to, aby egzekucja odbyła się jak najszybciej. Ojciec jednak tylko w przypadkach moich drobnych wykroczeń rozliczał mnie odręcznie przy gościach (co wcale nie przeszkadzało mu w razie ponownego wykroczenia w danym dniu, nawet innego rodzaju i w innych okolicznościach, zastosować łączny wymiar kary, w którym uwzględniał i czyn już osądzony, a karę wykonaną). Wszelkie poważniejsze wykroczenia rozpatrywał i karał już po wyjściu ostatniego gościa. A ponieważ dni, w których nie przeszkrobałem czegoś poważnego przy gościach, były raczej wyjątkowe, codzienne otrzymywanie zasłużonej kary stało się poniekąd integralną częścią tych tak przeze mnie lubianych sąsiedzkich zebrań.

Tryb rozpatrywania, wyrokowania i wymierzania kary we wszystkich przypadkach moich wykroczeń był stały i najczęściej wszystkie te elementy występowały równocześnie. Odbywało się to w ten sposób, iż rozpinając pas, ojciec przedstawiał moje wykroczenia i szczegółowo charakteryzował moją osobę („ty draniu”, „ty cholerniku” były

określeniami najłagodniejszymi, wstępnymi, po których następowały bardziej dosadne), po czym dokonywał egzekucji wyznaczonej kary. Koniec następował zwykle wtedy, gdy mój sędzia i egzekutor w jednej osobie poczuł się zmęczony, przez co jej wymiar zależny był nie tyle od wagi mojego wykroczenia, co raczej od aktualnej fizycznej kondycji ojca. Uniknięcie kary było niemożliwe, gdyż ojciec nie znał pojęcia przedawnienia. Każda próba ucieczki z domu w celu uniknięcia odpowiedzialności była nieopłacalna i niecelowa, bo co prawda oddalała lanie w czasie, ale za to powiększała jego rozmiary.

Tym razem rozprawa odbyła się w godzinach późnowieczornych i miała przebieg typowy, choć – na moje nieszczęście – ojciec był w doskonałej kondycji psychofizycznej. Po wyroku i jego wykonaniu odechciało mi się zupełnie jeść, zrezygnowałem więc dobrowolnie z kolacji, a nazajutrz rano życie znów biegło swym normalnym torem. Jedynie przez następne kilka dni miałem trudności z siedzeniem, do czego się jednak nie przyznawałem, bo nie chciałem podważać ogólnego przeświadczenia, że co jak co, ale skórę na tej części ciała mam tak zahartowaną, iż żadne bicie nie może wpłynąć na zwiększenie ilości oleju w mojej głowie.

Czyż można się dziwić, iż rodzice, mając takiego „piekurota” w domu, zaczęli zastanawiać się, co by tu zrobić, żeby choć na parę godzin dziennie mieć ode mnie spokój? Nie można było w nieskończoność eskalować bicia, bo to było przecież własne dziecko, nie w pełni świadome tego, co robi, a poza tym widzieli, że te metody wychowawcze dawały skutki przeciwne do zamierzonych. Prawdę mówiąc, poza chwilami, kiedy diabeł we mnie wstępował, byłem chłopakiem w miarę mądrym i rozważnym oraz dającym się lubić. Mając sześć lat, umiałem już niezłe liczyć do dwudziestu, umiałem powiedzieć ładny wierszyk, którego siostra mnie nauczyła, i znałem prawie wszystkie litery,

choć tej ostatniej sztuki nikt mnie właściwie nie uczył. Te przebłytki moich zdolności intelektualnych podsunęły rodzicom myśl, by zapisać mnie przedterminowo do szkoły.

– Niech chłopok nie zbijo bąków, niech się ucy, może będzie lepszy i może wceśni do czegoś w życiu dojdzie – powiedział ojciec i w jednym z ostatnich dni sierpnia 1933 roku wybraliśmy się obaj do kierownika szkoły powszechnej w Biórkowie Wielkim, celem dopełnienia formalności związanych z zapisem. W przeddzień matka zajęła się doprowadzeniem mojego wyglądu do takiego stanu, aby bez wstydu można było mnie pokazać tak poważnej urzędowej osobie. Przed wyjściem zaś ojciec złapał najokazalszą kurę, którą w formie załącznika postanowił wręczyć kierownikowi.

Dzień był upalny i zanim doszliśmy do szkoły, obydwaj byliśmy dość spoceni. A może to wcale nie upał był sprawcą naszego przegrzania, bo przecież w takim samym stroju chodziło się do kościoła podczas jeszcze większych upałów i pot wtedy nigdy nas tak nie oblewał?

Ojciec bardzo nie lubił załatwiać spraw urzędowych, a w tym przypadku chodziło przecież nie o byle jaką sprawę, a o przyszły los jego jedynaka, i to widocznie bardzo przeżywał, choć starał się ukryć swoje wzruszenie i zdenerwowanie. Przez całą drogę pouczał mnie, jak mam się wobec kierownika zachować, co mam mówić i – co według niego było najważniejsze – żebym nie zapomniał przy powitaniu pocałować go w rękę.

Widoczne zdenerwowanie ojca udzieliło się i mnie. Jego pouczenia, zamiast uspokoić mnie i przygotować do tak ważnego spotkania, osiągnęły skutek przeciwny. Gdy stanęliśmy przed obliczem pana kierownika, zapomniałem nie tylko pocałować go w rękę, ale nie umiałem nawet głosu z siebie wydobyć. Na wszystkie jego pytania z największym trudem odpowiadałem tak szczegółowo i wyczerpująco, jak tylko umiałem: „a ino”, „ychy”, „niee”.

Niestety, już na początku rozmowy ojca z kierownikiem wyczułem, że nawet przyniesiona kura i moje elokwentne odpowiedzi nic tu nie pomogą i z rozpoczęciem mojej edukacji trzeba będzie poczekać do następnego roku. Nie spełniałem wymogów ówczesnych przepisów szkolnych, gdyż urodziłem się za późno o 37 dni: w roku szkolnym 1933/34 naukę rozpoczynały te dzieci, które rodziły się w 1926 roku. Ja byłem za młody i mimo najlepszej woli kierownika, do szkoły nie mogłem być przyjęty. Czułem się bardzo zawiedziony, bo prawdę mówiąc, od paru dni czułem się już pierwszoklasistą.

Kierownik szkoły, pan Leon Kępiński, mężczyzna gdzieś trzydziestoletni, wysoki i przystojny, pachnący i gustownie ubrany, miał jednak dobre serce. Wyczułem, iż chętnie widziałby mnie w gronie swoich uczniów, gdyby to tylko od niego zależało. Choć kury nie przyjął, czym wprowadził ojca w tak wielkie zakłopotanie, że ten machinalnie włożył na głowę trzymany dotychczas w ręce kapelusz, mimo że znajdowaliśmy się przecież w kancelarii szkoły, gdzie na ścianie wisiały portrety marszałka, prezydenta oraz godło państwowe i krzyż, to jednak z kwitkiem nas nie odesłał. Od ręki napisał w imieniu ojca podanie do powiatowego inspektora szkolnego w Miechowie z prośbą o zezwolenie na przyjęcie mnie do szkoły przed terminem. Jednocześnie pocieszył nas, że o ile zna swego przełożonego, to najdalej za trzy tygodnie nadejdzie pozytywna odpowiedź i – choć nieco spóźniony – będę mógł rozpocząć naukę w tym roku.

Po takim pocieszeniu nas z ochotą zrobiłem to, co wcześniej nakazał mi ojciec: soczyście pocałowałem kierownika w rękę, czym widocznie został on zaskoczony, gdyż wyraźnie żachnął się, wyrwał mi swą dłoń i zaraz tyle dyskretnie, co starannie przetał ją nieskazitelnie czystą chusteczką. Również i ojcu niezręcznie było wracać do domu z kurą pod pachą i nie mógł zrozumieć, dlaczego kierownik od-

mówił przyjęcia żywego dowodu wdzięczności za tak życzliwe potraktowanie.

Na odpowiedź z Miechowa czekaliśmy niecałe dwa tygodnie. Powiatowa władza szkolna przychyliła się do prośby ojca i wyraziła zgodę na mój przedwczesny zapis do szkoły. Dziś trudno mi określić, kogo to bardziej ucieszyło, ojca czy mnie. Perspektywę mojego pójścia do szkoły każdy z nas przeżywał inaczej; ja widziałem w tym szansę wyróżnienia się i wejścia w inny świat, w którym nie wzrost i siła fizyczna, a nawet nie pozycja społeczna miały decydować o wartości człowieka. Oczywiście, wychowany w skromności realnie oceniałem swoje szanse i na większe sukcesy w nauce wcale nie liczyłem, ale przeczuwałem, iż ostatnim uczniem nie będę. A ojciec?

Dla ojca posłanie syna do szkoły miało złożone znaczenie. Po pierwsze, rozwiązywało problem mojego wychowania przynajmniej na kilka godzin dziennie. Po drugie, zaspokajało jego ojcowskie ambicje: inni mieli problemy z namówieniem swoich nawet ośmioletnich pociech do chodzenia do szkoły, a tu – patrzcie – taki sześciolatek brzdąc sam rwie się do nauki. Po trzecie – i to było chyba najważniejsze, mimo że ojciec nigdy tego nie wyraził wprost – posłanie własnego syna do szkoły, do normalnej polskiej szkoły, było tym wydarzeniem, które w jakimś stopniu realizowało jego niespełnione marzenia o dojściu w życiu do czegoś nie przez majątek, nie przez ciężką fizyczną pracę i nie przez „dobre urodzenie”, a poprzez naukę i szkołę, na początek chociaż powszechną.

Ojciec, jak o tym często opowiadał, chodził jedynie – jak zresztą wszyscy jego rówieśnicy – przez niecałe trzy zimy do szkoły w Koniuszy, gdzie nauczył się czytać i pisać zarówno po polsku, jak i po rosyjsku. W jaki zakresie posiadał on te umiejętności, nietrudno sobie wyobrazić. W każdym razie modlił się z książeczki do nabożeństwa, każde urzędo-

we pismo czytał samodzielnie, a czasem nawet brał do ręki pożyczony od Dziuby egzemplarz „Rolnika Polskiego”. Książek nie czytał, bo to i czasu nigdy nie zbywało na taką lekturę, o książki było trudno, a przede wszystkim nie interesowały go rzeczy abstrakcyjne, opisywane przez nieznanymi ludźmi. Jeśli chodzi o jego znajomość rosyjskiego, to twierdził, iż podczas wojny na froncie bolszewickim był tłumaczem, ale nie wydaje mi się, żeby to była prawda, bo choć znał niektóre litery, to jego znajomość tego języka wywodziła się raczej z obcowania z ludźmi posługującymi się określonymi zwrotami i słowami rosyjskimi, a nie ze szkoły. Dla udokumentowania swoich umiejętności w tym zakresie ojciec często używał rosyjskich przekleństw, które mniej raziły w towarzystwie i były uważane za bardziej kulturalne od polskich.

Pierwszy dzień w szkole

Z powodu oczekiwania na zgodę inspektora szkolnego, naukę w pierwszej klasie rozpocząłem z blisko dwutygodniowym opóźnieniem. Żałowałem tego bardzo, bo pierwsze ze szkołą zetknięcie było dla mnie niezbyt przyjemne. Moi koledzy, którzy rozpoczęli naukę normalnie, zdążyli przez te kilka dni poznać się i żyć z sobą, a gdy ja pojawiłem się w klasie, byłem dla wszystkich obcy. Tak się złożyło, że z Wiktoryjki nikt ze mną nie rozpoczynał w tym samym roku nauki, bo dzieci urodzonych w 1926 roku nie było. Dopiero w następnych latach „doganiałem” i wyprzedzałem tych, którzy rodzeni byli w latach 1925, 1924, a nawet i takich, którzy rodzili się w roku 1923. Ale to było później, a w tym pierwszym dniu mojego pobytu w szkole nie miałem żadnej bratniej i znanej mi duszy. Żadnego z siedzących w klasie dwudziestu czterech uczniów nie

znałem, nikt nie spojrzał na mnie życzliwie. Dla wszystkich byłem „nowy” i dlatego koledzy, zamiast uważać na lekcji, gapili się na mnie, jakbym miał rogi na czole. Ich przenikliwe spojrzenia wprost paliły mnie, chętnie bym się schował pod ławkę, gdyby to było możliwe.

W tym pierwszym dniu mocno żałowałem, iż zachciało mi się iść do szkoły o rok wcześniej. W końcu jednak jakoś ten dzień przeżyłem, a pod koniec ostatniej lekcji przestałem już być obiektem powszechnego zainteresowania.

Przez kolejne sześć lat nauki w biórkowskiej szkole do klas, których aktualnie byłem uczniem, przyszło z zewnątrz łącznie około dziesięciu uczniów (były to przede wszystkim dzieci fernali, którzy na świętego Michała zwalniali się u dotychczasowego dziedzica i podejmowali pracę u pana Woźniakowskiego, który przydzielał im izbę w swoich walcących się czworakach, blisko szkoły położonych, ale do których dojście utrudnione było przez okrągły rok, bo droga do nich nigdy nie wysychała) i każdy z nich musiał przeżyć te swoiste „otrząsiny” w nowej szkole.

Nowy w klasie to była sensacja, to było wydarzenie: trzeba było mu się przyjrzeć, a podczas przerwy wypytać go o wszystko. Zwykle pytał jeden, ale słuchali wszyscy:

– Jak się nazywas? Kto ci wybił zęba? Co robi twój łóciec? – to były te wstępne, najmniej drażliwe pytania. Po wyczerpaniu tych rozsądnych, zarzucano nowego pytaniami prowokującymi, złośliwymi i coraz bardziej niecenzuralnymi. Nowemu trzeba było dać odczuć, że jest nikim, że ma nie podskakiwać, lecz podporządkować się uznanym w klasie autorytetom i zwyczajom, bo trafił w doborowe towarzystwo. Ciekawym zjawiskiem było to, iż brak życzliwości dla nowego w starszych klasach był bardziej zauważalny, a gama szykan bardziej urozmaicona niż w klasach najmłodszych. Zachowanie dzieci, zarówno szóstej, jak i pierwszej klasy, podobne było nieco do zachowania zwie-

rząt, które żyjąc w stadzie, przyzwyczajały się do siebie i bez uzasadnionej przyczyny nie zwracały na siebie większej uwagi. Z chwilą gdy do takiego stada dostał się nowy osobnik, trzeba go było dokładnie obejrzeć i obwąchać, by przyzwyczaić się do jego wyglądu i zapachu i by w końcu go zaakceptować jako swojego.

Nieżyczliwość i nadmierna ciekawość kolegów sprawiła, że w pierwszym dniu pobytu w szkole niewiele się nauczyłem i mało zauważyłem szczegółów z zakresu wyposażenia i wyglądu izby szkolnej, w której odbywały się lekcje. „Mało” jest tu jednak pojęciem względnym, bo tych dwóch godzin pobytu w szkole wcale nie zmarnowałem i to, co zobaczyłem i dostrzegłem, wielokroć przekraczało sumę wrażeń niejednego tygodnia w dotychczasowym moim życiu.

Ogólne wrażenie nie mogło być jednak przyjemne, tym bardziej że zajęcia prowadzone były w dawnej „ochronce”, tuż przy kościelnym płocie, w budynku starym, zagrzybionym i zawilgoconym, w którym była tylko jedna duża sala o dwu maleńkich oknach. Uczyły się tu cztery klasy w systemie zmianowym, przy łączeniu dwu oddziałów jednocześnie. Nie wiem, z czego to wynikało, ale w dniu mojego pierwszego pobytu w szkole klasa pierwsza uczyła się samodzielnie, zatem wiele ławek w izbie było wolnych.

Ławki te, podobnie jak i pozostały sprzęt, służyły jeszcze pokoleniu naszych rodziców, gdy ci byli w naszym wieku, o czym łatwo można się było przekonać, czytając różne napisy wygrawerowane scyzorykami na całej ich powierzchni i bogato ilustrowane.

Byłby jednak w błędzie ten, kto by sądził, iż wszystkie te ślady twórczości artystyczno-literackiej naszych poprzedników były oderwane od życia i nie służyły celom naukowo-dydaktycznym. Ich autorzy wychodzili jednak poza problemy zawarte w ówczesnych programach szkolnych i starali się przekazać swoim następcom przede wszystkim mak-

simum wiedzy z zakresu nauki o budowie tych części ludzkiego ciała, które wstydliwie przykrywa na co dzień nasze ubranie, oraz tematy z zakresu seksuologii. Lansowane tu metody i zakres tematyki całkowicie eliminowały wszelkie teoretyczne i psychiczne aspekty prezentowanych zagadnień, koncentrując się na ich stronie praktyczno-technicznej. Pierwszoklasista jednak, mimo że z prezentowanymi tu tematami musiał się już w życiu stykać, o co zadbali jego starsi koledzy w okresie jego lat przedszkolnych, nie mógł jeszcze ocenić i docenić bogactwa spuścizny swoich poprzedników z ławy szkolnej, bo był na to po prostu za młody i za głupi. W miarę upływu lat rozumu przybywało mu, tajemnic było coraz mniej i – mimo surowego tępienia tej działalności przez wszystkich wychowawców, a szczególnie przez księdza proboszcza – sam brał do ręki ołówek, pióro lub scyzoryk i utrwał własne myśli i doświadczenia na temat tych przeoczonych przez władze oświatowe dyscyplin naukowych.

Obok dominującej tematyki seksuologicznej, prezentowana tu twórczość amatorska obejmowała pogłębioną charakterystykę ciała pedagogicznego. Treść tych opinii była oczywiście tendencyjna i nieprawdziwa, a forma niecenzuralna.

Wszelkie wysiłki administracji szkoły, zmierzające drogą okresowych renowacji do usuwania śladów bogatej twórczości uczniów, dawały tylko połowiczny sukces; rzeźbienie było tak głębokie, iż całkowite jego usunięcie poprzez zheblowanie groziło osłabieniem konstrukcji ławek, a nowa ich powierzchnia już po kilku dniach pokrywała się rysunkami i napisami wcale nie mniej bulwersującymi od tych usuniętych.

Z uwagi na mój niski wzrost posadzony zostałem w pierwszej ławce. Było mi to nawet na rękę, bo podczas lekcji nie mogłem widzieć, jak pilnie byłem przez kolegów obserwo-

wany. Nie mogłem również i ja ich obserwować, ale wiedziałem, że i tak będę miał jeszcze dużo okazji ich poznać i dobrze im się przyglądać. Mogłem natomiast dowolnie patrzeć na to, co było i co działo się przede mną. Uwagę swą skierowałem więc na obserwowanie pani, tablicy i czołowej ściany klasy.

Zacząłem od studiowania tej ostatniej. Zauważyłem, że w porównaniu np. z bogactwem dekoracji głównego ołtarza w kościele, prezentowała się o wiele skromniej, a nawet – mogę powiedzieć – ubogo. Moją uwagę zwróciły wiszące tu dwie mapy Polski, fizyczna i administracyjna, dwa portrety dostojników państwowych, orzeł i krzyż.

Najpierw zainteresował mnie portret bardzo ponurego i groźnego pana w skromnym – bo bez szczególnych ozdób – mundurze wojskowym. Postać ta nie była mi zupełnie obca, bo jej podobiznę widziałem już zarówno na monetach, jak i na znaczkach pocztowych oraz na różnych obrazkach. Gdyby mnie w tym dniu ktoś zapytał, kto to jest, to na pewno odpowiedziałbym poprawnie: „pan marszałek Piłsudski”, bo tyle to ja już wtedy wiedziałem.

Marszałek patrzył na mnie, a zdawało mi się, że tylko na mnie, surowo i przenikliwie. Tak dużego portretu i tak blisko mnie zawieszzonego, dotychczas nigdy jeszcze nie oglądałem. Po raz pierwszy miałem więc okazję przyjrzeć się tej postaci bliżej. Wynik mojego studiowania portretu nie był dla pierwszego marszałka Polski korzystny: nie podobały mi się ani jego krzaczaste brwi, ani wąsy, ani sposób patrzenia. Szczególnie nie podobał mi się układ jego rąk; przez dłuższy czas byłem przeświadczony, że pan marszałek tak niedbale złożył ręce do modlitwy i ta jego niedbałość drażniła mnie, bo co jak co, ale prawidłowe składanie rąk przy tej okazji opanowałem bezbłędnie. W końcu jednak zrozumiałem i dostrzegłem swój błąd: marszałek wcale nie miał zamiaru modlić się, on po prostu opierał

swoje ręce na rękojeści szabli, której uprzednio wcale nie dostrzegłem.

Przyglądając się portretowi marszałka Piłsudskiego w tym pierwszym dniu mojego pobytu w szkole, nie przeczuwałem jeszcze, że na okres najbliższych sześciu lat postać ta stanie się dla mnie tak bliska, iż jej przyszłoroczną śmierć opłakiwał będę rzewniej niż śmierć rodzonej matki, a każdy 19 marca i 12 maja będą dla mnie nieomal osobistymi dniami świątecznymi.

W porównaniu z „Dziadkiem”, postać patrząca na mnie z drugiego portretu wydała mi się o wiele bardziej sympatyczna. Jej wzrok był mniej przejmujący, a twarz, ozdobiona modnym wąsikiem, wyrażała wewnętrzny spokój i zadowolenie. Wiedziałem, że to ja i moje grzeczne zachowanie w klasie jestem powodem tego zadowolenia. Wiedziałem również i to, że tą sympatyczną osobą jest pan prezydent Mościcki, choć nie wiedziałem jeszcze, co oznacza słowo „prezydent”. Jego znaczenie poznałem dopiero w następnych latach, gdy nauczyciele nie szczędzili trudu, by w nasze ograniczone umysły wtłoczyć maksimum wiadomości o życiu, roli i zasługach trzech najważniejszych postaci II Rzeczypospolitej: o marszałkach Piłsudskim i Rydzu-Śmigłym oraz prezydencie Mościckim. Temu ostatniemu poświęcano może nieco mniej uwagi w porównaniu z poprzednimi dwiema osobami wojskowymi, ale i tak wystarczająco dużo, bym wiedział, że ma olbrzymie zasługi dla rozwoju polskiego przemysłu chemicznego, jak i to, że bardzo kocha cały nasz naród, a szczególnie chłopów polskich, których delegację raz w roku, z okazji dożynek, z takim poświęceniem i tak serdecznie przyjmował w swojej letniej rezydencji w Spale.

Pozostałe dwa elementy, a to wizerunek białego orła z koroną na głowie i najwyżej usytuowany na czołowej ścianie krzyż, nie wzbudzały mojego większego zaintere-

sowania ani głębszych refleksji. Znaczenia godła państwowego nie znałem, a różne krzyże znajdowały się zarówno w naszej izbie, jak i w kościele.

Nie rozumiałem również znaczenia barw i napisów znajdujących się na rozwieszonych mapach. Dostrzegałem jedynie różnice w sposobie rozmieszczenia na nich różnych kolorów: na jednej dominowała zieleń, choć nie brakowało również koloru niebieskiego, żółtego, a nawet brązowego, ale barwy rozmieszczono niestarannie i pomieszano bez ładu i składu. Druga mapa była o wiele ładniejsza, kolory były od siebie starannie oddzielone, ale i tu zauważyłem pewną niedokładność, bo brak było symetrii i prostego, pod linijkę przeprowadzonego podziału kolorów. Nie zastanawiałem się jednak nad tym głębiej, bo – prawdę mówiąc – ani mnie to ziębiło, ani parzyło.

Z przedmiotów martwych, symboli, przeniósłem swój wzrok na osobę żywą – na panią nauczycielkę. Pani spodobała mi się od pierwszej chwili. Była inna od wszystkich spotykanych dotychczas przeze mnie kobiet. Miała niezwykle białą cerę, piękne, wypiełgnowane ręce i ubrana była jak jakaś prawdziwa dziewczka. Szczególną moją uwagę zwrócił jednak jej zapach, który był tak intensywny i piękny, iż chwilami przymykałem nawet oczy i starałem się tylko głęboko oddychać, by jak najwięcej tej niezwyklej woni przeniknęło do moich płuc. Tą ładną i przyjemną osobą była pani Maria Sakiewiczówna, popularnie zwana Litwinką z uwagi na to, że pochodziła z Lidy w województwie nowogródzkim. Zanim przyszedłem do szkoły, znałem ją już z widzenia, gdyż często widziałem ją w kościele, a rodzice nie omieszkali mnie przy tej okazji poinformować, iż „to jest pani nauczycielka, która cie będzie uczyć”. Pani, jako kobieta, stała w kościele zawsze w innym niż ja sektorze i dlatego mogłem ją obserwować tylko z daleka.

Teraz jednak pani była blisko mnie. Mogłem słyszeć jej głos, oglądać ją i wachać. Szczególnie gdy spacerując po klasie podczas lekcji, podchodziła do mojej ławki. Z początku jej bliskość onieśmiała mnie, bo mogła przecież w każdej chwili zwrócić na mnie szczególną uwagę, a nawet zapytać o coś. Wiedziałem, że na żadne pytanie nie tylko nie umiałbym poprawnie odpowiedzieć, ale nawet głosu z gardła wydusić.

W pewnej chwili stało się jednak coś, czego spodziewałem się najmniej: pani podeszła do mojej ławki, spokojnym głosem kazała mi przesunąć się nieco w lewo i usiadła na pulpicie ławki, opierając nogi tuż obok mnie. Moje zaskoczenie tak niespodziewanym sąsiedztwem trwało jednak krótko, bo pani zajęła się rozmową z klasą, a na moją osobę wcale nie zwracała uwagi. W następnych dniach nauki przekonałem się, iż zajęcie przez nią takiej pozycji w pierwszym dniu pobytu mojego w szkole nie było przypadkowe, gdyż często lubiła tak siadać i później traktowałem to jako rzecz naturalną.

Ta jej teraz prawie dotykalna obecność była dla mnie dodatkowym przeżyciem i – prawdę mówiąc – na tyle mnie onieśmiała, że nawet nie mogłem odważyć się na zlustrowanie całej postaci pani. Żeby zobaczyć jej twarz, musiałbym patrzeć wprost do góry i z tak bliska, że mogło to sprovokować ją do zwrócenia uwagi na mnie, a tego pragnąłem teraz najmniej.

Mogłem natomiast dokładnie przyjrzeć się jej rękom i nogom, bo jedne i drugie znajdowały się tuż przy mojej twarzy. Dłonie miała rzeczywiście piękne: pulchne, czyściutkie, za paznokciami ani śladu brudu, na serdecznych palcach obu rąk – żółte pierścionki. Równie zadbane ręce widziałem jedynie u księdza proboszcza, ale to były jednak ręce męskie, nie ozdobione takimi pierścionkami. Mimo że w tym czasie nie dostrzegałem istotnej różnicy pomiędzy

mężczyzną a kobietą, to jednak widok rąk mojej pani przyciągał mój wzrok jakoś inaczej niż postać proboszcza.

Jeszcze większe moje zainteresowanie wzbudziły nogi pani i to wcale nie z uwagi na ich kształt, choć dziś mogę stwierdzić, że natura postarała się o to, aby kusiły męski wzrok. Ponieważ nie byłem jeszcze mężczyzną, fascynowały mnie pani pończochy; jedwabne, delikatne i choć wcale nie przezroczyście, wiernie ukazywały kształt nóg. Takich pończoch w dotychczasowym swym życiu jeszcze nie widziałem. Kobiety, panny i dziewczyny w różnym wieku nosiły pończochy grube, bawełniane i do ich widoku byłem przyzwyczajony. Jedwabne zobaczyłem po raz pierwszy i dlatego gapiłem się na nie jak sroka w kość, czego na moje szczęście Litwinka nie spostrzegą.

Pani miała na sobie granatową, dopasowaną do swojej figury i ozdobioną nieskazitelnie białym kołnierzem sukienkę, a do tego czarne półbuciki. Całość była niezwykle efektowna i bardzo mi się podobała. Na dodatek teraz, z tej odległości, uderzył mnie jeszcze intensywniej zapach perfum, a może tylko wody kolońskiej, co mnie już zupełnie odurzyło.

Przyjemny był mój pierwszy kontakt z panią Sakiewiczówną, choć powodem tego nie były wcale jej zdolności pedagogiczne. W przyszłości nie tylko nie bałem się jej siadania na mojej ławce, ale nawet na to czekałem.

Po pierwszych zajęciach w szkole leciałem do domu jak na skrzydłach. Wrażen miałem tak dużo, że musiałem się nimi jak najszybciej podzielić z rodzicami.

W nowej szkole

Rok szkolny 1933/34 był dla szkoły powszechnej w Biórkowie Wielkim rokiem przełomowym. Po wieloletnim gniecieniu się w jednoizbowej ochronce i doraźnie wynajmowanych pojedynczych izbach u niektórych biórkowskich gospodarzy, właśnie w tym roku szkoła miała otrzymać własny, nowy budynek o czterech izbach lekcyjnych z pomieszczeniem na kancelarię oraz mieszkaniem dla dwóch rodzin nauczycielskich na piętrze. Wznoszony budynek był, jak na ówczesne warunki, bardzo okazały i miał stać się dumą naszej wsi. Nawet Wierzbno, siedziba gminy, takiego budynku nie miało. Usytuowany na wzniesieniu, widoczny był w promieniu kilku kilometrów. Wykonany był solidnie i służył potem wielu pokoleniom uczniów. Jak się później przekonałem, do walorów technicznych nowej szkoły dostosował się i poziom nauczania, co było już zasługą nauczycieli w niej zatrudnionych, a przede wszystkim jej kierownika, pana Leona Kępińskiego.

Z przejściem do nowego budynku wiązało się również przekształcenie dotychczasowej czteroklasowej szkoły na sześcioklasową, w której przerobienie przez kolejne dwa lata klasy szóstej, dawało uczniowi świadectwo ukończenia szkoły powszechnej. W związku z takim ustaleniem organizacyjnym, biórkowska szkoła miała stać się swego rodzaju szkołą zbiorczą dla uczniów, którzy czwartą klasę kończyli np. we Wroninie. Było to rozwiązanie optymalne i dla uczniów korzystne, bo dotychczas tylko nieliczni uzyskiwali świadectwo ukończenia szkoły powszechnej, gdyż aby zdobyć takie wykształcenie, musieli uczęszczać do szkoły w Koniuszy, co dla niektórych wiązało się z koniecznością codziennego pokonywania pięciokilometrowej drogi do tej miejscowości. Nadanie naszej szkole statusu

szkoły sześcioklasowej dokonane zostało w sposób uprzednio nie planowany i niezupełnie chyba formalny, czego dowodem może być fakt, że np. na wydawanych uczniom po zakończeniu każdej klasy świadectwach nie występowała nigdy nazwa „Sześcioklasowa szkoła powszechna w Biórkowie Wielkim”, lecz najpierw „Cztero-”, a później „Pięcioklasowa...”, choć szkołą pięcioklasową nie była ona nigdy. Ale to już były szczegóły, których wówczas nie starałem się wyjaśnić i zrozumieć.

Ustalony na sierpień 1933 roku termin oddania do użytku nowego budynku szkoły nie został dotrzymany i dlatego przez blisko dwa miesiące nauka musiała odbywać się w dotychczasowych pomieszczeniach.

O ile warunki nauczania w starych lokalach określić można jako bardzo trudne, to dojście do nich było jeszcze trudniejsze, szczególnie podczas jesiennych roztopów. Biórków Wielki położony jest w kotlinie, do której od strony Małego Biórkowa prowadziła tylko jedna, położona w głębokich wąwozach, typowa polska droga. Każdorazowe sforsowanie jej w czasie roztopów było przedsięwzięciem ryzykownym nie tylko dla dzieci, ale i dla dorosłych, bo groziło utopieniem własnych butów w ilastym błocie.

Nic więc dziwnego, że w tych warunkach każdy, czy to dorośli udający się do kościoła, czy dzieci idące do szkoły, starał się omijać tę nieszczęsną drogę i dotrzeć do Wielkiego Biórkowa poprzez dworskie łąki, a następnie przez sam dwór. Wiązało się to jednak z ryzykiem zawrócenia, a właściwie zwyczajnego przepędzenia bezczelnego intruza, który odważył się deptać pańską ziemię. Czyniła to z całą bezwzględnością służba dworska, która nie uznawała tu żadnych tłumaczeń i nie przyznawała się do żadnych znajomości. Sam pan Woźniakowski nigdy nie hańbił się egzekwowaniem swojego zakazu wzbraniającego okolicznej ludności przechodzenia przez swój teren, bo miał na tyle

wierną i oddaną sobie służbę, iż ta z pełnym powodzeniem zapobiegała nanoszeniu błota na drogę obok pałacu.

Jeśli czasem udało się „przeskoczyć” przez dwór, to i tak dojście od dworu do ochronki czy kościoła, położonych w najniższej części wsi, gdzie droga nie wysychała praktycznie przez cały rok, było bardzo trudne. Nic więc dziwnego, że zarówno uczniowie, jak i nauczyciele liczyli dni, kiedy można będzie przenieść ławki do nowego budynku szkoły i w nim rozpocząć naukę.

Pod koniec października nastąpił dawno oczekiwany dzień, kiedy zasiedliśmy w ławkach w przestronnej, czystej i pachnącej świeżą farbą izbie szkolnej. Jej wygląd trochę nas onieśmielał, ale z przeprowadzki cieszyliśmy się wszyscy. Duże „weneckie” okna, szeroki korytarz, piece kafłowe, podłogi wykonane z heblowanych desek – to wszystko musiało nam się bardzo podobać. Naszego entuzjazmu nie pomniejszał nawet fakt, że ustęp – nowy, ale wykonany na wzór publicznego szaletu – usytuowany został w odległości 70 metrów od budynku szkolnego, bo we własnych domach za swoją potrzebą też byliśmy przyzwyczajeni do chodzenia „za stodołę” i to uważaliśmy za rzecz zupełnie naturalną. Już jednak następnego dnia przekonaliśmy się, iż za wszelki postęp trzeba płacić, i że nic nie ma za darmo. Ostudzenie naszego entuzjazmu spowodowały nowe wymogi, jakie kierownik szkoły wprowadził w trosce o zachowanie porządku.

W dotychczasowym życiu każde z nas przyzwyczajone było do tego, iż czyszczenie butów, nawet z największego błota, dokonywane było przed wyjściem z domu, np. do kościoła. Natomiast nigdy od nas nie wymagano, aby przed wejściem do domu błoto usuwać z butów. Pewnie, że każdy starał się, wchodząc do domu lub kościoła, „ogarnąć” z grubsza swoje buty, żeby za dużo tego błota nie wnosić, ale nie było przy tym żadnej przesady ani przymusu. Każdy



Wzniesiony w roku 1933 budynek szkoły podstawowej w Biórkowie Wielkim. Stan z roku 2007, kiedy nie był już użytkowany.



Drugi obiekt szkolny, zbudowany w roku 1938. Mieścił salę lekcyjną i pomieszczenia gospodarcze. Stan z roku 2007, kiedy był już opuszczony.

robił tak, jak uważał za stosowne. A tu nagle już następnego dnia nauki w nowej szkole kierownik wyznaczył spośród uczniów najstarszej klasy dyżurnych, którzy stanęli na ganku, i każdy z nas przed wejściem do budynku musiał tak długo czyścić swoje buty, aż ich wygląd przestał budzić zastrzeżenia tych społecznych rzeczoznawców.

Z upływem czasu przyzwyczailiśmy się do tego wymogu, choć był on dość trudny i kłopotliwy do realizacji, a dyżurni często nadużywali swoich uprawnień. Nieraz po przyjsciu pod szkołę byliśmy tak zabrudzeni, że nie tylko buty z cholewami były zupełnie zaklejone błotem, ale również i nasze ubrania nadawały się tylko do prania. Doprowadzenie się do takiego takiego wyglądu nie było w istniejących warunkach sprawą łatwą, bo nie było ani wody bieżącej, ani najprostszych przyborów do czyszczenia butów czy ubrania. Każdy pozbywał się kleistego błota, jak mógł i jak umiał, głównie przy pomocy wiechetków zerwanej gdzieś w pobliżu trawy. Efekty tych zabiegów nie były zadowalające, a jak potem wyglądały nasze ręce, które miały być myte dopiero po powrocie do domu, a nie przed wyjęciem do czytania i pisania naszych książek i zeszytów na lekcji w szkole – lepiej nie wspominać. Niewiele pomagało tu wycieranie brudnych rąk o własne spodnie, choć każdy z nas robił to z największą starannością, by podczas lekcji nie tłumaczyć się z kolei z powodu zaplamionych podręczników. Ale brudne ręce, brudne portki, brudne zeszyty (zresztą, co u nas było czyście?) to było zmartwienie „na zaś”. Na razie istniał problem, jak dostać się w ogóle do szkoły.

Na ganku stał dyżurny, my pięć schodów niżej i podnosząc jak tylko mogliśmy najwyżej kolejno nogi, błagalnym tonem pytaliśmy:

– Cyste?

Przy pierwszym pokazaniu czyste nie były nigdy. Należało czyścić jeszcze i jeszcze. Wkrótce przekonałem się jednak,

że zezwolenie „władzy” na przekroczenie progu szkoły zależne było nie tyle od stanu butów, co od sympatii lub antypatii dyżurnego, jaką ten żywił do swego kolegi. Dyżurny był przy orzekaniu osobą niezależną, a jego władza poparta była nie tylko autorytetem przypisanym spełnianej funkcji, ale i osobistą siłą fizyczną, jako że na dyżurnych wyznaczano największych osiłków z najstarszych klas. Wnoszenie jakichkolwiek skarg na samowolę dyżurnych do nauczycieli w szkole lub do własnych rodziców po powrocie do domu, z góry skazane było na niepowodzenie. Nauczyciele zawsze potrafili udowodnić nam, iż dyżurny był za łagodny, bo z tak brudnymi butami w ogóle nie powinniśmy znaleźć się w klasie, a każdy ojciec zamiast rzeczowo wyjaśnić nam, jak mamy postępować w przyszłości, zaczynał dzielić się własnymi doświadczeniami, jak to on oszukał w wojsku kaprała, w którego oczach ojca karabin był zawsze brudny tak długo, jak długo on ten karabin czyścił. Potem, gdy przestał się on przejmować czystością własnej broni, również i kaprał przestał dostrzegać brud na karabinie. Po usłyszeniu takiej opowieści skarżący się uczeń już naprawdę nie wiedział, czy ma staranniej czyścić buty, czy też postępować tak, jak czynił to jego ojciec z przydzielonym mu karabinem.

Na nasze szczęście problem doprowadzenia obuwia do jako takiego wyglądu istniał tylko od jesieni do wiosny. Gdzieś na przełomie kwietnia i maja przestawał być aktualny, bo większość dzieci przychodziła do szkoły boso. W butach chodzili nadal tylko uczniowie z lepszych domów: syn lokaja ze dworu, córka leśniczego, córka pana prezesa Pankowskiego i kilkoro jeszcze innych dzieci. Pozbycie się butów ułatwiało nie tylko przekroczenie progu szkoły, ale i znacznie skracało czas potrzebny na dotarcie do niej, szczególnie gdy pojawiały się poranne przymrozki i czy człowiek chciał, czy nie, musiał nogami szybko prze-

bierać, by stopa nie dotykała zbyt długo zmarzniętej ziemi. Miało to dobroczynny wpływ na nasz rozwój fizyczny.

Kończąc omawianie trudności związanych z czyszczeniem butów przed wejściem do nowej szkoły, mogę stwierdzić, iż z problemem tym ja uporałem się chyba najszybciej, bo z uwagi na mój wzrost i zgodne ze wszystkimi współzycie, większość dyżurnych stosowała względem mnie taryfę ulgową, co wśród moich rówieśników robiło „złą krew”, a co mnie dawało pewną satysfakcję. Po raz pierwszy w życiu byłem jeśli nie lepszy, to w żadnym wypadku nie gorszy od innych.

Tak jak musieliśmy nauczyć się przychodzić do klasy w czystych butach, tak też trzeba było nauczyć się załatwiać podczas pobytu w szkole nasze potrzeby fizjologiczne. Po to m.in. istnieją przerwy między lekcjami. Ale nawet osobom dorosłym zdarzają się potrzeby nagłe, zwłoki nie cierpiące. Dzieciom takie sytuacje zdarzają się oczywiście częściej. Nauczyciele wiedzą o tym i dlatego już w pierwszych dniach nauki Litwinka pouczyła nas, jak w tych przypadkach winniśmy postępować, aby z jednej strony nie dopuścić do nieszczęścia, a z drugiej – by zachować dyscyplinę i porządek w czasie lekcji. Wystarczyło podnieść rękę do góry z palcami złożonymi jak do salutowania i zameldować: „proszę na dwór!”. Tak jak i dzisiaj, zdarzały się często przypadki nadużyć i wykorzystywania przymusowej łatwowierności nauczycieli w tym zakresie, bo zasadności takiej prośby ucznia nie sposób przecież weryfikować.

Ustęp – jak już wspominałem – znajdował się około 70 metrów od budynku szkoły. Była to budowla nowa, na ówczesne warunki okazała, podzielona na część dla chłopców i część dla dziewcząt, każda czterooszkowa. Dla nas, pierwszoklasistów, wychowanych w znacznie prymitywniejszych warunkach, budynek ten był symbolem nowoczesności. Zarówno konstrukcja nośna, jak i obicie ścian deskami wy-

konano z nowego drewna pachnącego żywicą. Szczególnie solidna była ścianka oddzielająca część chłopięcą od części dziewcząt. Po kilku tygodniach eksploatacji okazało się jednak, iż jakaś tajemna siła usunęła wszystkie sęki z tej ścianki i powstało kilka otworów, które trzeba było zatkać papierem, by uniemożliwić bezpośredni wgląd użytkowników jednej części do przedziału płci przeciwnej. Wszelkie wysiłki kierownictwa szkoły, zmierzające do likwidacji powstałych dziur, polegające nawet na zabijaniu nieszczęsnych otworów kawałkami desek, okazywały się nieskuteczne, bo niewidzialne ręce dbały o to, aby każdy, kto tylko miał na to ochotę, mógł w dowolnej chwili zerknąć, co dzieje się u sąsiadek (bo wyłączną inicjatywę w tym zakresie przejawiali chłopcy oczywiście).

Mnie te sprawy wcale nie interesowały, bo zachowanie dziewcząt w podobnych sytuacjach już dobrze znałem, jako że wychowywałem się przecież przy starszej siostrze i nie miałem najmniejszej ochoty korzystać z tych posękowych wzierników. Ale, jak to zwykle w życiu bywa, człowiek czasem odpowiada nie za to, co zrobił, lecz za to, na co wskazują poszlaki.

Pewnego dnia znalazłem się sam w ustępie, co zdarzyło mi się po raz pierwszy, jako że zwykle pomieszczenie to cieszyło się dużą frekwencją. Stoję więc sobie, cieniutką sprawę załatwiam i widzę, że na działowej ścianie przybita gwoździem deseczka otwór zasłaniająca trzyma się ino ino. Ledwo dotknąłem jej ręką w celu dociśnięcia i takiego przekręcenia, aby zasłonić ten nieszczęsny otwór, gdy w drzwiach staje pan kierownik i z nie tajoną złością mówi:

– No, nareszcie złapałem cię, ty świntuchu! Czy ci nie wstyd niszczyć mienie państwowe, by podglądać dziewczyny? Jak ciebie w domu wychowali i co z ciebie wyrosnie?

Chwycił mnie za ucho, jako przestępcę zaprowadził do klasy i tam dopiero słownie dał upust swojej złości. Mówił

z dziesięć minut, a ja stałem frontem do klasy, czerwony i błądy na przemian i chwilami zdawało mi się, iż za moment zapadnę się pod podłogę i polecę wprost do piekła, gdzie nie będę już słyszał karcącego mnie głosu kierownika ani dostrzegał drwiących spojrzeń koleżanek i kolegów.

Nawet nie próbowałem jednego słowa wypowiedzieć na swoją obronę, a z moich oczu nie popłynęła ani jedna łza. Po prostu stałem jak sparalizowany przez cały czas, gdy grzmiał kierownik, a jego wyrok skazujący mnie na karę kłęczenia pod tablicą do końca lekcji, przyjąłem jak akt łaski i tę pierwszą, otrzymaną w szkole karę odbyłem z całą starannością. Nawet na moment nie próbowałem jej złagodzić i do końca lekcji kłęczałem tak sumiennie, jak w kościele, choć drobiny piasku boleśnie wpijały mi się w kolana.

Po tym jakże niezasłużonym napiętnowaniu i stosunkowo łagodnym ukaraniu mnie, nabrałem do kierownika jeszcze większego niż dotychczas respektu i szacunku, ale do szkolnego ustępu więcej już starałem się nie zaglądać. Z własnymi potrzebami, jeśli już koniecznie musiałem je złatwiać podczas pobytu w szkole, wołałem pobiec w jakieś inne ustronne miejsce, co też nie było rzeczą właściwą, ale o demoralizującą ciekawość, czy o niszczenie mienia państwowego, nikt nie mógł mnie już posądzić.

Mój przypadek przyłapania przez kierownika na „gorącym uczynku”, mimo że dla mnie był tak dużym przeżyciem, w istocie stanowił tylko drobny epizod w całokształcie wysiłków szkoły, zmierzających do przystosowania nas do życia w zbiorowości, a w szczególności do wpojenia nam elementarnych zasad przestrzegania higieny, bo w tym zakresie nasze braki były największe.

Dużo wody upłynęło w Wiśle, zanim zrozumieliśmy na przykład konieczność otwierania okien w klasach podczas przerw. W naszych domach okien nie otwierało się nigdy, czasem tylko drzwi, gdy piec solidnie dymił i istniało nie-

bezpieczeństwo zaczadzenia się. W szkole, nawet podczas zimy, dyżurny musiał na każdej przerwie szeroko otwierać okna, co dawało wprawdzie dopływ świeżego powietrza do klasy, ale jednocześnie znacznie obniżało temperaturę. Nauczyciele wiedzieli jednak, co robią. Niejednokrotnie i w trakcie lekcji pojawiała się pilna konieczność otwarcia na kilka minut okna. Zajęcia przerywano, do klasy wdierała się porcja zimnego powietrza, ale sprawcy zamieszania nikt nie potępiał, bo kto mógł być pewny, czy i jemu za moment nie przydarzy się coś podobnego...

Każdy dzień nauki dostarczał nam nowych przeżyć i obok przyswojenia sobie przewidzianej w programie szkolnym dawki wiadomości ogólnych, nowych doświadczeń praktycznych, umożliwiających nam dostosowanie się do życia w środowisku szkolnym. Proces integrowania klasy następował szybko i uczniowie, którzy przed rozpoczęciem nauki wcale się nie znali, w krótkim czasie już wszystko o sobie wiedzieli, zaczęli się ze sobą kolegować, rozdziły się sympatie i antypatie.

Dla mnie najbliższym kolegą od samego początku stał się mój rówieśnik Gienek Szreniawski. Był to chłopak rośli, ładny, wypiełgnowany. Jako syn lokaja dziedzica Woźniakowskiego imponował całej klasie swoją ogładą towarzyską, strojem i zawodem swojego ojca, który to zawód w opinii naszego środowiska oceniany był bardzo wysoko. Stanowisko dworskiego lokaja uznawane było za bardziej zaszczytne od np. organisty kościelnego, a przecież z tym ostatnim nie mógł się równać żaden gospodarz, nawet taki piętnastomorgowy. Lokaj był zawsze starannie ubrany, pachnący; podobno nawet golił się codziennie. Co konkretnie robił we dworze, tego nikt dokładnie nie wiedział, ale wiadomo było, że miał nieograniczone prawo wstępu „na pokoje” i że „obracał się w wysokim towarzystwie”. Słowem – był panem.

Gienek wiedział, że jego ojciec jest nie byle kim, ale za bardzo nie dawał nam odczuć swojej wyższości. Moją sympatię zyskał nie tyle swoim pochodzeniem, wyglądem czy koleżeńskim stosunkiem do mnie, co łakociami, które codziennie przynosił do szkoły. Jego kanapki, pachnące i świeżutkie zawsze bułki z masłem i szynką, były tak starannie opakowane i tak apetyczne, że człowiekowi aż ślina ciekła, gdy on je bez większego apetytu zjadał. Poza kanapkami, jego tornister wypchany był zawsze ciastem, pączkami, cukierkami oraz jabłkami. Było tych przysmaków tak dużo, że jego książki i zeszyty z trudem tam się mieściły. Choć apetyt miał nie najgorszy, to jednak skonsumowanie tego wszystkiego, co ze sobą do szkoły przynosił, przekraczało jego możliwości. Porównując jego drugośniadaniowe menu ze swoją kromką suchego chleba, do zawinięcia której nie było w moim domu nawet kawałka gazety lub torby po soli, jakżeż boleśnie odczuwałem dzielącą nas różnicę zamożności. Łakomie spoglądałem na pochłaniane przez niego smakołyki i po cichu liczyłem na to, iż nie zdoła zjeść wszystkiego, a wtedy resztkami podzieli się ze mną. I czasem się nie zawodziłem. Gienek – udając, że nie dostrzeżę mojego wzroku – jadł, jadł, jadł. Gdy już więcej jeść nie mógł, nie pytając mnie wcale o to, czy chcę, dawał mi jakieś ciastko, czasem cukierka, a najczęściej kawałek jabłka. Za takie wyróżnienie byłem mu bardzo wdzięczny, bo nie tylko ja zazdrośnie obserwowałem jego walkę z przyniesionymi zapasami, lecz było zawsze kilku podobnych głodomorów, którzy też pragnęli coś polizać z Gienkowego tornistra.

Później, w wyższych klasach, moje stosunki z Gienkiem oparte zostały na mniej jednostronnych świadczeniach. Gdy zadania domowe przybrały bardziej złożony charakter i wymagały może nie tyle wiedzy, co więcej wysiłku, do moich obowiązków należało odrabianie ich i za siebie, i za

Gienka. Zadania te wcale nie przekraczały jego możliwości, bo chłopak był niegłupi, ale słusznie uważał, iż szkoda jego cennego czasu na ich samodzielne odrabianie. Dzięki takiemu racjonalizatorskiemu podejściu do szkolnych obowiązków, on miał więcej czasu na zabawę, a ja stałem się monopolistą w zakresie odbioru resztek jego drugich śniadań. I choć były to ilości raczej degustacyjne, bo mimo wszystko apetyt Gienek miał dobry, dumny byłem z tego, że na szkolnych pauzach jadam to, co i pan dziedzic.

Drugim kolegą, z którym zaprzyjaźniłem się, był Edek Gorczyca z Polekarcic. Tu partnerstwo było zupełne. Materialnych świadczeń między nami nie było prawie żadnych, bo nie mieliśmy sobie nic do zaoferowania, poza wymianą królików do hodowli. Mnie ojciec ograniczył liczbę tych zwierząt, której nie wolno było mi przekraczać, bo „te dranie kopią tylko dziury i jeszcze sprowadzą do domu szczury”, natomiast Edek miał ich zawsze kilkaset i to przeróżnych odmian i gatunków. Z tego też powodu często wybierałem się do Polekarcic, by tam całymi godzinami przesiadywać z Edkiem w jego chlewie i obserwować jego ulubieńców, dyskutować o wszystkim, a najmniej o szkole.

Z innymi kolegami moje stosunki były luźniejsze, ale raczej poprawne. Nie mając aspiracji do przewodzenia w klasie lub w grupie, nie miałem też i wrogów. Jeśli chodzi o dziewczyny, to podobnie jak inni chłopcy, trzymałem się od nich z daleka aż do czwartej klasy, bo wiedziałem, że zadawanie się z nimi o chłopaku dobrze nie świadczy. One zresztą odpłacały się nam pięknym za nadobne i też do kolegowania się z nami nie dążyły.

O tym, jak niemodne były wzajemne kontakty na linii chłopcy–dziewczęta niech świadczy fakt, iż spośród różnych kar, jakie w ramach systemu wychowawczego w naszej szkole stosowano, przesadzenie któregoś chłopca w tych pierwszych latach nauki do ławki dziewcząt było

karą najbardziej hańbiącą. Tak przynajmniej oceniała ją większość.

Ja muszę przyznać, iż na mnie wszystkie kary, jakie w naszej biórkowskiej szkole były stosowane, robiły bardzo nieprzyjemne wrażenie. I to wcale nie dlatego, że bałem się bicia, bo do tego byłem przyzwyczajony, lecz głównie z tego powodu, że szkołę traktowałem jako instytucję dostojną i doskonałą, jak np. kościół, której nie uchodzi stosowanie brutalnych metod wychowawczych.

Maria Sakiewiczówna, o której już wspomniałem, była moją wychowawczynią w pierwszej i drugiej klasie. Miała opinię dobrej i wyrozumiałej pani, lubiącej dzieci i przez dzieci lubianej. Wychowawczynią klas trzeciej i czwartej była pani Maria Stachurówna, rówieśnica Sakiewiczówny, również panna. Jej figura, długie i ciemne włosy oraz równie ciemna karnacja skóry podobała się i nam, dzieciom, i chyba wszystkim dorosłym mężczyznom. Rachunków i śpiewu w większości klas uczył i wychowawcą klasy piątej był pan Stefan Żuchowicz, kawaler po trzydziestce, który – podobnie jak i kierownik szkoły pan Kępiński – był podporucznikiem rezerwy, co nam, ich wychowankom, bardzo imponowało. Byliśmy dumni, gdy 3 maja, 11 listopada oraz w dniach imienin marszałków Piłsudskiego i Rydza-Śmigłego oni obydwaj przywdziewali swe nieco zmięte i sfatygowane mundury wojskowe i prowadzili nas albo na nabożeństwo do kościoła, albo na akademię do miejscowego Domu Ludowego, którego budowa, prawdę mówiąc, nigdy nie została zakończona. Wychowawcą klasy szóstej był sam pan kierownik Kępiński. Tu muszę jedynie dodać, iż on też uległ epidemii bezżeństwa i jako jedyny z czwórki wychowawców mieszkał w szkole wraz z matką i siostrą.

Utarta opinia, że pani Sakiewiczówna lubi dzieci i że dzieci ją lubią, wytworzona została raczej przez naszych rodziców, niż przez nas samych. Już po kilku dniach poby-



Dom Ludowy po upływie siedemdziesięciu lat od rozpoczęcia budowy nadal czeka na jej zakończenie. Stan z roku 2007.

tu w szkole przekonałem się, że niektórych moich kolegów wychowywać trzeba nie tylko dobrym i mądrym słowem, ale i twardą ręką, i to ręką uzbrojoną w drewnianą linijkę. Praktyka wykazała, iż najszybszy i największy przyrost uczniowskiego rozumu następował wtedy, gdy tą linijką wychowawczyni przemawiała delikwentowi do ręki i to kantem do jej zewnętrznej strony.

Litwinka korzystała z praktykowanego w szkole wachlarza kar cielesnych raczej rzadko. Dało się zauważyć, iż kary te stosowała tylko w ostateczności i bez osobistej wiary w skuteczność ich działania. Pod tym względem zajmowała zdecydowanie trzecie miejsce wśród ciała pedagogicznego szkoły. Na drugim miejscu w tej specyficznej tabeli plasowała się pani Stachurówna, a zdecydowanym liderem był pan Żuchowicz. Wydaje mi się jednak, iż częstotliwość i surowość wymierzanych kar cielesnych zależna była nie tyle od osobistych cech wychowawców, co raczej od wieku uczniów; pierwszoklasistę wystarczyło postraszyć użyciem linijki, a już piątoklasista udawał, że nie przejmuje się nawet jej użyciem.

To udawanie niewrażliwości na wszelkie kary, a na bicie w szczególności, było modne w naszej szkole. Przez kilkanaście minut po takim zabiegu ukarany nie mógł utrzymać w ręce ołówka lub kredy. Chłopcy, bo ci byli przede wszystkim karani, udawali jednak, że ich to nic a nic nie boli. Jeśli któremu przy tym popłynęły z oczu łzy, to były one tylko przejawem jego gniewu i złości, a nigdy bólu. Cierpiący nie oczekiwał od kolegów współczucia, liczył raczej na podziw i niekomentowanie tego, co zaszło. Jeśli czegoś w tym momencie pragnął, to jedynie tego, żeby o jego ukaraniu nie dowiedział się ojciec.

Przez sześćioletni okres mojego uczęszczania do biórkowskiej szkoły nie zdarzył się ani jeden przypadek, żeby jakiś rodzic przyszedł do szkoły z pretensjami, że jego syna

uderzył nauczyciel. Przeciwnie, często można było usłyszeć taką opinię: „Niech no ja się tylko dowiem, że mój Jasiek dostał od nauczyciela, to już ja mu odpowiednio dołożę. Pójdę do szkoły i poproszę, żeby na niego w przyszłości kija nie żalowali”. A podobnych gróźb rodzice na wiatr nie rzucaли, o czym z wynurzeń niejednego z kolegów mogłem się dowiedzieć.

Nietrudno wyobrazić sobie, jak dziś zareagowałyby większość rodziców na wiadomość o tym, iż ich pociecha w szkole dostała lanie. Może dlatego w naszej klasie podczas lekcji słychać było, jak mucha lata, podczas gdy w niektórych klasach dziś panuje taki harmider, że głos nauczyciela z trudem dociera do pierwszej ławki. Zmieniły się czasy, zmieniły się metody wychowawcze...

W naszej szkole nawet podczas przerwy nie wolno było krzyczeć i hałasować, chyba że na szkolnym podwórku. Pod tym względem szkoła była świątynią ciszy i powagi.

Metoda „linijki”, potocznie zwana „łapą”, w szkolnym systemie kar zajmowała pozycję czołową. Obok niej istniała pokładanka, zabieg niewygodny zarówno dla karzącego, jak i dla karanego i dlatego stosowany rzadko. Dla jego przeprowadzenia konieczne było albo dobrowolne położenie się delikwenta na ławie lub stołku, albo zmuszenie go do tego siłą egzekutora lub też przy zdradzieckiej pomocy jego własnych kolegów. Dobrowolne położenie się na „stole operacyjnym” odczytywane było dwojako: albo jako wyraz słabości i uległości karanego, albo też jako wyraz jego niewrażliwości na bicie oraz lekceważenie zarówno nauczyciela, jak i jego metod wychowawczych. Odważnych (albo uległych) było jednak niewielu i częściej zachodziła potrzeba użycia siły. Na własną mógł liczyć jedynie pan Żuchowicz; obie panie Marie musiały korzystać z pomocy silniejszych kolegów karanego. Użycie własnej siły przez pana Żuchowicza było

przyjmowane przez społeczność klasową jako zjawisko normalne i nie rodziło żadnych zastrzeżeń.

Pomoc klasowych osiłków przy zabiegu, a szczególnie pomoc „na ochotnika”, oceniana była zawsze jako zdrada i czyn niegodny dobrego kolegi. Często taka zdradziecka pomoc udzielana „pani” w wymierzaniu koledze kary była początkiem, a nie zakończeniem „rozróby”; pobity łatwo nie zapominał tej przysługi i przy najbliższej okazji starał się oddać to, co sam otrzymał. Najczęściej odbywało się to bezpośrednio po lekcjach, już poza terenem szkoły, a efektem porachunków były guzy, sińce, a nawet rany na ciałach stron walczących. Walki toczone były honorowo – jeden na jednego – lub też tworzone były różne związki i sojusze, w których dochodziło do konfrontacji całych grup, najczęściej opartych na więzi terytorialnej.

Najgroźniejszą w skutkach walkę stoczyli między sobą – a było to już w klasie piątej – Heniek Słaboński ze Skrzyszowic z moim sąsiadem Edkiem Pankiem. Zakończyła się przecięciem kozikiem tętnicy w rękę Edka. Krwi połało się dużo i niewiele brakowało, a pomoc lekarska okazałaby się spóźniona. Był to wypadek poważny, ale nie tak tragiczny, jak ten, który wydarzył się w następnym roku, kiedy przerosły uczeń klasy szóstej, Stachurka z Rawałowic, wdał się w bójkę na weselu w swojej rodzinnej wsi i przypłacił to życiem, gdyż przeciwnik nożem zadał mu śmiertelny cios w szyję.

Pokładanka, szczególnie ta z udziałem ochotników, nie sprzyjała integracji klasy, a poza tym robiła zbyt dużo szumu i zamieszania podczas lekcji. Była więc karą niewygodną i na pewno niepedagogiczną. Stosowana więc była rzadko, jedynie przy szczególnie niebezpiecznych dla porządku szkolnego wykroczeniach.

Bardzo „czystą” i wygodną natomiast karą, stosowaną przede wszystkim przez księdza proboszcza Głuszyka

w czasie lekcji religii, było pociąganie za ucho lub za włosy. Jej skuteczność polegała przede wszystkim na nieuchronności i całkowitym zaskoczeniu. Księdzu, jako osobie duchownej, nie wypadało zniżać się do bicia uczniów, a porządek i cisza w klasie podczas lekcji religii być musiały. Pociąganie za ucho lub też silne pstryknięcie środkowym palcem w to czułe miejsce były równie bolesne, co i uderzenie linijką po łapie. Mimo że żaden przedmiot nauczania nie był tak poważnie traktowany przez nas jak religia, a autorytet proboszcza był nieporównanie wyższy nawet od autorytetu pana kierownika, pod koniec każdej lekcji z dobrodziejem klasa nabierała koloru różowego, a to na skutek przekrwienia małżowin usznych tych uczniów, których dotknął palec sługi bożego.

Ksiądz proboszcz stosował jeszcze inną karę, polegającą na pociąganiu za włosy niesfornych uczniów. Ta kara nie dawała żadnych zewnętrznych objawów. Nie można jednak wykluczyć, iż nasze dzisiejsze dostojne łysiny są skutkiem stosowanych w szkole przez księdza proboszcza praktyk podciągania nas wwyż, i to nazbyt dosłownie.

Łapa, pokładanka, masaż małżowin usznych oraz podciąganie za włosy były zaliczane do kar cielesnych bezpośrednich i prostych. Obok nich stosowana była również kara fizyczna pośrednia, polegająca na karnym klęczeniu w rogu klasy, najczęściej obok tablicy, by cierpienia ukaranego mogła obserwować cała klasa, co dla niego było dodatkową karą moralną, a dla obserwujących miało spełniać funkcję odstrasżającą.

Kara klęczenia mogła być dwustopniowa: klęczenie zwykłe i klęczenie z podniesionymi do góry rękami. Czasem, dla szczególnie niepoprawnych uczniów, warunki kary ulegały zaostrzeniu: w podniesionych rękach trzeba było trzymać jakiś cięższy przedmiot, a samo miejsce do klęczenia posypywane było piaskiem, bo rzekomo na płaskiej podło-

dze klęczenie było zbyt wygodne. Nic więc dziwnego, że w tych warunkach już po kilkunastu minutach delikwent był zmęczony i dążył do przejścia z klęczenia do siadania na własnych nogach. Wymierzający karę baczył jednak pilnie, by do tego nie dopuścić, i w odpowiednim czasie przypominał cierpiącemu, iż został ukarany klęczeniem, a nie siedzeniem. Również trzymanie podniesionych rąk do góry, nawet bez obciążenia, było karą bardzo dokuczliwą, bo ręce omdlewały i przestępca, jak tylko mógł, usiłował łagodzić warunki odbywanej kary: wyciągnięte do góry ręce próbował choć na moment opuścić ku dołowi lub oprzeć o własną głowę, a wszelkie drobiny piasku na których klęczał, starał się kolaniem przesunąć poza miejsce, na którym spoczywał ciężar jego ciała. Wychowawca znał jednak i te sposoby i nie dopuszczał, aby ukarany cierpiał mniej, niż przy danym wymiarze kary miał cierpieć.

Środki represji nie ograniczały się tylko do kar cielesnych. Stosowane były również kary moralne, często bardziej dokuczliwe od fizycznych. O jednej, tj. o karnym przesadzaniu do ławek dziewcząt, już wspomniałem. Inną była tzw. koza, polegająca na pozostawieniu ucznia w szkole po lekcjach. Była to kara dotkliwa, gdyż jej wymierzenia nie można było ukryć przed rodzicami, szczególnie gdy przekraczała wymiar godziny.

Każdy ojciec lub matka, mimo iż papieru i ołówka nie używali, ściśle planowali rozkład dziennych zajęć dla swego syna lub córki. Ich pobyt w szkole, choć uwzględniany w tych planach, traktowany był jako czas stracony, bo żadnych bezpośrednich efektów nie przynosił. Jako taki był więc ściśle limitowany, a każde jego wydłużenie wzbudzało uzasadnione niezadowolenie rodziców i chęć wyjaśnienia, co było tego powodem. Żadne kłamstwo tu nie pomogło, bo „Stach, Felek i Edek już dawno do domu wrócili, a ty co?”. Lekcje dla wszystkich kończyły się o jednym czasie,

powrotna droga ze szkoły też dla wszystkich była jednakowo długa. Krowy już od godziny powinny być w polu, a tu pasterz dopiero ze szkoły wraca. Trzeba więc było przyznać się do kozy, ale to zamiast usprawiedliwić spóźnienie, było powodem znacznie surowszej – od wszystkich łap, pokładanek i pstryknięć w ucho – kary wymierzanej pasem przez zniecierpliwionego ojca.

Z tego też powodu uczeń ukarany kozą, jak tylko mógł, starał się z tego aresztu uwolnić, co wcale nie było rzeczą trudną, jako że kozę odbywało się w klasie, a wszystkie klasy mieściły się na parterze. Wystarczyła tylko chwila nieuwagi nauczyciela, by po przeskoczeniu okna znaleźć się na wolności. Co będzie jutro – nikt w tym czasie o tym nie myślał. Prawdopodobnie kozę nauczyciel zamieni na łapy lub każe poprosić do szkoły ojca. Ostatnia możliwość była najgorsza, ale i tu można było pocyganić, że ojciec chory, wyjechał lub po prostu, że nie ma czasu. Co prawda kłamstwo zawsze zostało ujawnione, choćby w czasie najbliższej wywiadówki, ale ta była tak daleko, że nie warto się było martwić na zapas.

Dla niejednego „koziarza” szczęściem było to, że normą wyjściową oceny ze sprawowania był stopień „bardzo dobrze” i ich ocena w najgorszym przypadku była „dostateczna”, i jako taka jedyna pozytywna w strukturze ich ocen. Niżej już nie można było ich sprawowania ocenić, gdyż nawet za rażące wykroczenia w szkole stopień obniżany był do oceny „dobrze”, a już w przypadkach ostatecznych do „dostatecznie”. Podobnie oceniał postępy uczniów z religii i ksiądz proboszcz, który nie tyle za wiedzę, co za manifestowanie wiary dawał również „bardzo dobrze” lub „dobrze”, a tylko wyjątkowo krnąbrnym uczniom – „dostatecznie”.

Oceny „niedostatecznie” nie dawano nikomu ani ze sprawowania, ani z religii, gdyż za dwójkę ze sprawowania na-

leżałoby chyba ucznia skierować do jakiegoś zakładu wychowawczego, a za dwóję z religii zabronić mu wstępu do kościoła. Jedno i drugie było raczej niemożliwe, bo żaden zakład karny nie był surowszy od warunków życia i wychowania w niejednej rodzinie, a chodzenie do kościoła było obowiązkiem, a nie przywilejem. Te i tylko te względy decydowały o niestosowaniu dwój ze sprawowania i religii, a nie chęć poprawy struktury ocen i wykazania przez wychowawców lepszej sprawności nauczania w szkole. Prawdopodobnie w tym czasie ocenę działalności szkoły i ocenę kształcenia przez nauczycieli prowadzono w oparciu o inne niż dziś kryteria, bo wychowawcy wcale nie przejawiali chęci podciągania ocen i nie czuli się współwinni za dwóję ucznia.

Wbrew temu, co na temat stosowania kar w naszej szkole napisałem, muszę stwierdzić, iż nie wydaje mi się, aby nam, uczniom poszczególnych klas biórkowskiej szkoły, można zarzucić, iż byliśmy grupą dzieci wyjątkowo niesfornych i do nauki nie przykładających się. Wprost przeciwnie, dziś wydaje mi się, iż byliśmy dziećmi średnio zdolnymi, grzecznymi na tyle, na ile wychowało nas nasze środowisko. Przede wszystkim jednak byliśmy dziećmi biednymi, zaniedbanymi i od najmłodszych lat przygotowywanymi do prymitywnych warunków życia i ciężkiej pracy fizycznej na roli, a nie do pracy za biurkiem. Trudno dziś rozczulać się nad naszym ówczesnym losem, bo takie warunki życia i nauki były udziałem prawie wszystkich naszych rówieśników na polskiej wsi w latach trzydziestych, tym bardziej że zaraz miały nadejść lata jeszcze gorsze i cięższe. Nieco drwiąca forma, jakiej tu używam do przedstawienia realiów mojego pobytu w szkole powszechnej, służy mi jedynie do ukrycia sentymentu, jaki zawsze żywiłem i żywię do tej swojej pierwszej szkoły, w żadnym zaś przypadku nie może

to być odczytane jako wyraz mojego lekceważenia szkoły, nauczycieli i kolegów.

Metody wychowawcze, jakie w skrócie przedstawiłem, były w tym czasie bardzo powszechne, szczególnie na wsi i nasza biórkowska *alma mater* do wyjątków tu wcale nie należała. Zresztą metody te były dość skutecznie zwalczane osobistym przykładem przez samego pana kierownika Kępińskiego, który jako wychowawca klasy szóstej nigdy nie sięgał ani po linijkę, ani uczniów nie zostawiał w kozie.

Jego autorytet był tak duży, że sama rozmowa z nim była dla ucznia większym przeżyciem od każdej kary cielesnej wymierzonej przez innego wychowawcę. Na prowadzonych przez niego zajęciach było cicho jak makiem zasiał, a jego obecność na korytarzu w czasie pauzy stwarzała taką atmosferę, iż przygodny obserwator mógł pomyśleć, że to nie szkolny korytarz w czasie przerwy, lecz że dzieci wychodzą z kościoła po uroczystym nabożeństwie.

Szkołę, mój czwarty świat (po domu, kościele i sklepie Niewęgłowskiego), polubiłem, jeśli nie od pierwszego dnia, to w pierwszym miesiącu nauki. Mimo rzucającego się w oczy zróżnicowania uczniów, wynikającego z ich rozwoju fizycznego i ze stanu zamożności ich rodziców, głównym kryterium oceny ucznia były jego postępy w nauce. Tak przynajmniej twierdzili wszyscy nauczyciele i tak w rzeczywistości starali się postępować.

Niestety, w stosunkach między uczniami – szczególnie klas młodszych – czynnikiem decydującym o autorytecie była siła fizyczna i stopień zamożności rodziców. Ja, jako w klasie najmłodszy i zdecydowanie najmniejszy oraz zaliczany do grupy poniżej średnio zamożnej – nie miałem,

przy respektowaniu liczących się kryteriów oceny, żadnych szans na zajęcie znaczącej pozycji w klasie. Trzeba było mi się pogodzić z tym i żyć tak, aby najmniej podpadać klasowym potentatom, a nawet musiałem zadbać o ich sympatię i opiekę.

Świadomość własnej małości, w przenośni i dosłownie, pozwoliła mi dość szybko zniknąć w szkolnym tłumie. Nikomu nie zagrażałem, nikomu nie przeszkadzałem. Wszyscy również wiedzieli, że na „kurdupła” Krawca nie ma co liczyć przy zawieraniu sojuszów do walki z przeciwnikami, bo bić się ani nie umie, ani nie lubi. Najwyżej może być biernym obserwatorem i ewentualnie – w razie potrzeby – świadkiem. Ta rola niekombatanta bardzo mi odpowiadała.

Już w pierwszym dniu obecności w szkole otrzymałem przewisko. Zgodnie z tradycją. Zwracanie się bowiem ucznia do ucznia po nazwisku lub po imieniu nie było praktykowane. Każdy miał przewisko i to nie jedno, a kilka lub nawet kilkanaście. Rozpoczynano od prostych, obojętnych, najczęściej od nazwiska pochodzących, by przechodzić następnie do bardziej wymyślnych, dosadnych. Ostatecznie pozostawało to, które wywoływało największe oburzenie i protesty zainteresowanego. A o to przecież chodziło, by „chrzczonego” przezwać, a nie nazwać.

Tak było i ze mną. Najpierw zostałem przezwany „Kra..., kra...” – od pierwszej sylaby nazwiska. W następnym dniu „wrona”, no bo ta kra...kracze, później „gawron”. Ten ornitologiczny kierunek słowotwórczy okazał się jednak dla moich kolegów mało inspirujący, na gawronie się więc skończył. Wrócili do mojego nazwiska i szukali możliwości kojarzeń bardziej etymologicznych: jeśli Krawiec to „igielka”, a jeśli Krawiec – to dlaczego nie „szewc”, a jeśli szewc, to dlaczego nie „kopyto” itd. Na wszystkie te terminy nie było jednak spodziewanej przez nich reakcji z mojej

strony i to zniechęcało kolegów do dalszych poszukiwań. Ostatecznie pozostałem „kurduplem”, bo to określenie jędrne (z głosek „r”) i adekwatne do mojej osoby. Kurduplem zostałem na całe sześć lat nauki w szkole.

Z innymi kolegami było podobnie. Każdy dostał przezwisko, które wiązało się najczęściej z jego zewnętrznym wyglądem: „tygrys”, „kuternoga”, „śpik”, „ślimok” należały do tych, które nadają się do odnotowania. Inne były bardziej dosadne i obraźliwe. Najlichniesze były przezwiska charakteryzujące patologiczne wprost funkcjonowanie uczniowskich nosów. Te bowiem, na skutek permanentnych przeziębień oraz różnych infekcji u wielu kolegów, szczególnie klas niższych, przeważnie były niedrożne i wypełnione nadmiarem wydzielin, o czym świadczyły potężnych rozmiarów „świece”, poruszające się w takt oddechu na dół i do góry. Walka ze świecami dawała tylko chwilowe i do tego połowiczne efekty. Na polecenie pani lub pana: „wytrzymaj sobie nos”, następowało machnięcie lewym lub prawym mankietem po tej części twarzy, na której w przyszłości miały wyrosnąć wąsy. Pewnie, że o wiele bardziej skuteczna w tej operacji byłaby zwykła chusteczka do nosa, ale żaden uczeń nie miał takiego wyposażenia.

Chusteczki mieli nauczyciele, choć – prawdę mówiąc – im one były najmniej potrzebne. Kierownik i pan Żuchowicz nosili je starannie złożone w lewych wewnętrznych kieszeniach marynarek; w tym samym miejscu, w wewnętrznej kieszeni sutanny, nosił je ksiądz proboszcz. Panie przechowywały chusteczki albo w podręcznych torebkach, albo kokieteryjnie wetknięte za mankiet rękawa. Zawsze z zainteresowaniem oglądaliśmy ceremoniał użycia tego oryginalnego przedmiotu przez pana lub panią. Staranne wyjmowanie, rozwijanie i potężne dmuchnięcie w to śnieżnobiałe płótno trochę nas śmieszyło; cała ta operacja związana z użyciem chusteczki czyniona była bardziej z nawyku,

niż z potrzeby. Nosy naszych wychowawców były zawsze czyste, drożne, więc po co potrzebna tu była chusteczka, i do tego tak czysta, wyprasowana? Zarówno moi rodzice, jak i rodzice moich kolegów też byli dorośli, a przecież te intymne zabiegi higieniczne wykonywali zupełnie inaczej, o wiele prościej i skuteczniej. Chusteczek nie używali, a przecież nikt nie mógł im zarzucić, iż mieli nosy nieczyste. Drobiazg, chusteczka do nosa, niewielki kawałek białego płótna, a dla nas był to symbol różnicy, jaka istniała pomiędzy naszymi rodzicami a nauczycielami.

Chusteczki do nosa nie były jednak dla nas sprawą najważniejszą. Nauczyciele, zdając sobie sprawę z niemożności zaszczepienia nam nawyku noszenia i używania ich, nawet nie czynili w tym kierunku żadnych wysiłków. Uważali, że o wiele ważniejsze jest wdrożenie nas do życia w nowych dla nas szkolnych warunkach. Rozpocząć musieli od wpajania nam zasad zachowania podstawowych wymogów higieny, co nawet w nowej szkole, ale nie posiadającej ani bieżącej wody, ani innych elementarnych urządzeń służących zachowaniu higieny i porządku, nie było wcale rzeczą łatwą.

W rogu każdej izby klasowej stała spluwaczka, a nad nią napis „Pluj tylko do spluwaczki”. Sam jej wygląd dawał ten skutek, iż nikt nie odważyłby się spluć ani do niej, ani na podłogę; spluwaczka była za czysta i za ładna, szkoda więc byłoby ją zanieczyścić, a na podłogę – wiadomo – nie było wolno. I dlatego spluwaczki służyły tylko nauczycielom, a my, uczniowie, załatwialiśmy te sprawy na przerwach, na szkolnym podwórku.

Jeśli dziś miałbym wskazać najbardziej charakterystyczną cechę biórkowskiej szkoły, to niewątpliwie powiedziałbym, iż w niej nie tylko uczono, ale również – a może przede wszystkim – wychowywano.

Nauczyciele doskonale zdawali sobie sprawę z naszych zaniedbań w zakresie kultury osobistej i dlatego zaczynali od spraw najprostszych: czystych butów, rąk, szyj, uszu, uczyli zachowania się w klasie, na szkolnym podwórku, w ustępie.

Z czasem przeszli do wpajania nam zasad poprawnego zachowania się i poza szkołą, w towarzystwie, przy stole itd. Szczególne zamięłowanie w tej dziedzinie przejawiał nasz kierownik szkoły. Przy każdej okazji starał się przekazać nam maksimum wiedzy z zakresu *savoir-vivre* 'u.

Często były to wysiłki syzyfowe, bo mówienie o pewnych rzeczach w naszych ówczesnych warunkach wydawało się nam czystą teorią, jeśli nie abstrakcją. Weźmy dla przykładu pogadanki na temat zachowania się przy stole. Kierownik tłumaczył nam, iż kotlety je się w ten sposób, że widelec trzyma się w lewej ręce, a nóż w prawej, i to w ściśle określony sposób. Myśmy to traktowali trochę jako żart, a trochę jako chęć pochwalenia się kierownika tym, iż on jada takie kotlety, bo dla nas ta wiedza wydawała się zupełnie w życiu nieprzydatna; mięso – jeśli już jadaliśmy – to jedynie w formie gotowanej lub pieczone razem z chlebem w piecu chlebowym, bo kto by tam bawił się w formowanie go w kotlety. Nóż był znanym elementem wyposażenia kuchni, ale żeby nim posługiwać się przy jedzeniu mięsa? To nie był jeszcze ten etap kultury, bo w licznych domach do jedzenia służyły jedynie łyżki, często drewniane, a potrawy jadało się albo z jednej na całą rodzinę miski, albo też z jednego garnka na kilka osób.

Ja sam pierwszy w życiu widelec zobaczyłem w kilka lat po ukończeniu szkoły, bo w tym czasie ani u nas w domu, ani u sąsiadów takiego narzędzia do jedzenia nie było.

Podobnie traktowaliśmy też objaśnienia, że po osłodzeniu herbaty łyżeczkę należy ze szklanki wyjąć i odłożyć na spodek; po pierwsze – nie pijało się herbaty, a jedynie goto-

waną wodę barwioną cykorią. Po drugie – jeśli już w domu była łyżeczka do herbaty, to jedna i ta służyła wszystkim domownikom. Pewnie, że korzystający z niej jako ostatni zatrzymywał ją sobie w szklance (częściej w garnuszku, bo te były w szerszym użyciu), ale nikt nie uznawał tego za dowód braku wychowania. Potępienie przez pana kierownika tego zwyczaju uważaliśmy wtedy za wyraz pedanterii.

Wysiłki naszych wychowawców, a szczególnie kierownika szkoły, zmierzające do wdrożenia nas do życia w szkolnej społeczności, a w przyszłości do życia w społeczeństwie, dawały – czego nawet wówczas nie dostrzegaliśmy – nadspodziewanie dobre wyniki. I choć szkoła nie mogła zmienić gruntownie naszych przyzwyczajeń, bo jej wpływ na nas ograniczał się do tych kilku godzin lekcyjnych dziennie, a warunki naszego życia nie były sprzyjające, to jednak z upływem miesięcy i lat efekty jej wysiłków wychowawczych stawały się coraz bardziej zauważalne.

Szczególnie widoczny był wpływ szkoły na nasz sposób myślenia oraz na kształtowanie naszych poglądów i przekonań. Jej zasługi były tu oczywiste, tym bardziej że w procesie wychowywania nas nie miała pomocników; nie było telewizji, nie było kina, nikt nie słuchał radia. To ostatnie pojawiło się w naszej szkole gdzieś w 1938 roku i było tak niedoskonałe, że w szumie i trzaskach emitowanych audycji jedynie kierownik szkoły, stojący najbliżej radioaparatu, mógł zrozumieć, o czym w nich była mowa.

Jedynym i rzeczywistym sojusznikiem szkoły w zakresie kształtowania naszego światopoglądu był Kościół, który mnie kojarzył się zawsze z postacią księdza proboszcza Głuszyka.

Pieękło

Nauka i wiara były dla nas, uczniów zarówno klas pierwszych, jak i szóstych, jeśli nie synonimami to pojęciami bardzo bliskimi. Nikt z nas nawet nie dopuszczał myśli, iż między tymi dwoma hasłami mogą istnieć jakiegokolwiek rozbieżności. Wszystko tu było proste i jednoznaczne.

Każdy dzień nauki w szkole rozpoczynał się od modlitwy. „Prosimy Cię, Panie, oświeć serca i umysły nasze...” powtarzał każdy z nas głośno i wyraźnie, a nie tak bezmyślnie, jak te „ojczenasze” w czasie porannych i wieczornych modlitw w domu. Świadome odmawianie codziennej modlitwy porannej w szkole było wynikiem nauczania nas nie tylko jej słów, ale i rozumienia jej poszczególnych całych zdań. Każde rozpoczęcie kolejnego roku szkolnego i jego zakończenie było dla nas świętem nie tylko szkolnym, ale i kościelnym. Cała szkoła w zwanym szyku maszerowała wtedy na uroczyste nabożeństwo, ksiądz wygłaszał stosowne kazanie, a my modliliśmy się o powodzenie w nauce.

Moja klasa była w pełni katolicka, nie było w niej ani żydów, ani też wyznawców innej wiary, nikt więc nie zakłócał tu jedności. W dwóch innych klasach było po jednym uczniu żydowskim, ale ci dla świętego spokoju odmawiali wspólnie modlitwy, choć formalnie mieli prawo wychodzić w tym czasie z klasy. Formalnie, bo w rzeczywistości nie wyobrażałem sobie możliwości skorzystania przez nich z tego prawa, jako że tolerancja wobec innych przekonań religijnych była u nas pojęciem nieznanym. Wpojone nam w rodzinnych domach nawyki i przekonania, podbudowane teoretycznymi tezami głoszonymi z ambony przez księdza proboszcza, a szczególnie w kazaniach różnych misjonarzy przy okazji organizowanych często kampanii katechizowania wiernych naszej parafii,



Pochodzący z XVII wieku kościół w Biórkowie Wielkim.

uczyniły z nas, dzieci, nieprzejednanych wrogów każdego, kto odważyłby się nie tylko myśleć i postępować inaczej od nas, ale nawet i tych, których gorliwość w modlitwach była według naszej oceny za mała.

Jak z powyższego wynika, istniały wszelkie warunki ku temu, aby podczas nauki w szkole nasz światopogląd katolicki systematycznie się pogłębiał. Nawet pod względem organizacyjnym ten kierunek był dominujący. Mimo że w międzywojennej Polsce w szkołach działały różne organizacje społeczne, jak choćby organizacja harcerska, w naszej szkole jedynie ksiądz Głuszyk zadbał o to, aby najaktywniejszych uczniów włączyć do sodalicyj mariańskiej. Jej członkiem i ja zostałem, i to już w trzeciej klasie, a do tego od początku wyznaczono mnie na zelatora naszej klasowej komórki. Byłem z tego powodu dość długo dumny (choć bardziej dumny był mój ojciec), mimo że poza obowiązkiem codziennego odmawiania dodatkowej porcji „zdrowasiek” i częstego przystępowania do spowiedzi i komunii, nie dawało mi to żadnych uprawnień.

Duma z przynależności do sodalicyj i piastowania „kierowniczego” stanowiska z upływem czasu zaczęła przekształcać się w obojętność, by w końcu członkostwo to i wynikające z niego dodatkowe obowiązki stały się czynnikiem zmieniającym mój światopogląd z nieomal dewota w człowieka najpierw wątpiącego, a z upływem czasu – w ateistę. Proces ten trwał jednak wiele lat, bowiem wpajane mi tak intensywnie przekonania od okresu nieomal niemowlęcego, najpierw w domu rodzinnym, następnie w domu i w kościele, a w końcu w domu, w kościele i w szkole – głęboko wryły się w moją świadomość. Wszystkie te instytucje działały w jednym kierunku, a każda z nich była dla mnie autorytetem najwyższym i każda głosiła te same tezy: będziesz posłuszny, nie będziesz nigdy wątpił i nie będziesz nigdy za dużo chciał wiedzieć – pójdiesz do nie-

ba. Jeśli zaś będziesz próbował którąkolwiek z głoszonych prawd weryfikować, jeśli będziesz chciał najpierw zrozumieć, a dopiero później uwierzyć, jeśli będziesz... itd., itp. – pójdziesz do piekła. A piekła bałem się strasznie...

Do dziś nie mogę zrozumieć, skąd zarówno u ludzi prostych, jak i w umysłach inteligentów rodził się tak zgodny co do szczegółów obraz tej karnej instytucji pozaziemskiej? Każdy system wychowawczy, w tym system wychowawczy każdej religii, opiera się na zasadzie wynagradzania za dobre postępowanie, a karania za złe. Jest to zasada logiczna i skuteczna. Nagrody i kary są elementami kształtującymi postępowanie ludzi, mobilizującymi ich i zespalającymi. Bez nich wszelkie przymusowe systemy wychowawcze nie mogłyby osiągać zamierzonych celów, a byt organizacji stosujących je byłby poważnie zagrożony. To wydaje się logiczne i nie miejsce tu na szczegółowe rozważania tego problemu.

Myślami wstecz sięgając do czasów mego dzieciństwa, dostrzegam jednak coś przerażającego i niehumanicznego w przedstawianiu mi wizji piekła, które nieuchronnie czekało na mnie za każdy zabroniony czyn, a nawet za każdą myśl odbiegającą od przyjętego schematu.

Dzień po dniu w rozmowach rodzinnych, w czasie sąsiedzkich długowiecznych dyskusji, podczas kazań w kościele, a w końcu na każdej lekcji religii w szkole w mój dziecięcy umysł wtłaczano obraz piekła, miejsca potwornego i dla każdego grzesznika nieuchronnego. Zanim zacząłem samodzielnie myśleć, już wiedziałem, iż na świecie nie ma innych spraw i problemów, jak tylko alternatywa: piekło lub niebo. Na każdym kroku, w każdym czasie i w każdym miejscu pełnomocnicy Lucyfera – diabły czekają tylko na moją chwilę słabości, na najmniejszy przejaw moich wątpliwości, na samą chęć skorzystania z pokus świata tego: jedzenia czegoś dobrego do syta (obżarstwo),

wyspania się (próżniactwo), dowiedzenia się czegoś ciekawego (wolnomyślicielstwo), itp.

Agenci piekła byli wszechobecni, podstępni, niezwykle aktywni oraz cierpliwi. Nie czekali biernie na moje chwile słabości, lecz sami stwarzali warunki do zapędzenia mnie w swoje sidła. Wiedzieli, że choć są przepotężni, to jednak słabsi od sił niebieskich i w bezpośredniej konfrontacji muszą ustąpić. Ich słabość wynikała z braku odporności na słowo Boże, modlitwę, święconą wodę. I dlatego ich taktyka polegała na aktywnym działaniu, podczas gdy siły niebieskie czekały biernie na moją prośbę o pomoc, i ta okoliczność była dla mnie szczególnie niekorzystna. Niebezpieczeństwo groziło mi tu dlatego, że „antykrysty” maskowały się i jawiły jako postacie wcale sympatyczne i pozornie przyjazne, przez co mogłem nie dostrzec na czas grożącego mi niebezpieczeństwa i nie wezwać w porę sił niebieskich.

Niebezpieczeństwo było rzeczywiście olbrzymie. Mój nieukształtowany jeszcze umysł był łatwowierny, chłonny, nie rozumiejący wszystkich pojęć. Przykładem mojej ograniczonej niech będzie tu przykład z grożącym mi nieustannie grzechem nieczystości. To słowo prześladowało mnie od najwcześniejszej młodości. O tym, że nieczystość jest grzechem, dowiedziałem się dość wcześnie. I dlatego też starałem się zawsze robić wszystko, aby się jej jak najszybciej pozbywać, choć możliwości dokonywania zabiegów profilaktycznych (chroniczny brak wody) miałem ograniczone. W domu – mimo że o tej „zarazie” mówiono mi najwcześniej i najwięcej – nie obserwowałem żadnej zorganizowanej działalności w tym zakresie. Nikt nie przejawiał większej gorliwości w myciu się. Przeciwnie – wydawało mi się, iż samą czynność mycia się traktowano jako zło konieczne. Nikt również nie kontrolował (poza stanem nóg przed spaniem) czystości mojego ciała. Z własnej więc

poniekąd inicjatywy, tak na wszelki wypadek, zacząłem jednak zwracać uwagę na swoje ręce i jeśli nawet nie myłem ich częściej ani dokładniej, to starałem się przynajmniej od czasu do czasu pocierać je o spodnie, aby ten większy brud z nich zetrzeć. Po każdym takim potarciu zdawało mi się, iż niebezpieczeństwo grzechu nieco się ode mnie oddaliło...

Później dopiero, gdy zaczynałem rozumieć coraz więcej, zorientowałem się, iż ta „nieczystość”, której tak bardzo się bałem, nie ma nic wspólnego ani z brudnymi rękami, ani w ogóle z procesem mycia się. Gdy to zrozumiałem, poczułem się nieco wystrychnięty na dudka, żałowałem tych nielicznych i ograniczonych na szczęście zabiegów higienicznych, które dotychczas niepotrzebnie podejmowałem. Miałem o to żal i do ojca, i do księdza proboszcza, że mi wcześniej i jaśniej nie wytłumaczyli tego pojęcia.

Prawdę mówiąc, gdy już zrozumiałem, o co tu chodzi, mój stosunek do spraw „nieczystości” uległ tak daleko idącej zmianie, że każda próba przestrzegania mnie przed tym grzechem mogła spowodować tylko przeciwny skutek: problem zaczął mnie interesować z zupełnie innego powodu, a samo to hasło straciło bezpowrotnie znaczenie pejoratywne...

Innym przykładem mojej podatności na wpajane mi prawdy może być znane z Ewangelii sformułowanie, iż „łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu dostać się do nieba”. I tu znów rozumowałem zbyt dosłownie.

O tym, że należę do grupy ludzi biednych, wiedziałem od małości. Dzięki m.in. powiedzeniu o uchu igielnym i wielbłądzie nie czułem się z tego powodu kimś gorszym.

Nie jestem – na szczęście – bogaty, więc do nieba łatwiej będzie mi się dostać – myślałem sobie nieraz w duchu i z optymizmem patrzyłem w moją ziemską i pozaziemską przyszłość. Z taką myślą łatwiej mi było żyć.

Szkoła nasza była tak usytuowana, że więcej niż połowa parafii znajdowała się na południe od niej. Mieszkańcy

Małego Biórkowa, Wronina czy Wronca, aby dostać się do swojego kościoła, musieli przechodzić koło naszej szkoły. Tędy też wiodła ostatnia droga wszystkich nieboszczyków z tych wsi. Co kilka dni mieliśmy więc okazję obserwować przeciągające obok szkoły kondukt pogrzebowe, które w okresach wiosennych i jesiennych roztopów z wielkim trudem pokonywały biegnącą w wąwozach drogę z Małego do Wielkiego Biórkowa. Para koni z trudem ciągnęła wóz z trumną, a podążający za nim ludzie pilnie baczyli, by w błocie nie pozostawić własnych butów. Liczebność orszaku pogrzebowego zależna była od pory roku (czy był czas wolny, czy też pilne prace polowe), od stanu stosunków rodzinno-sąsiedzkich zmarłego i od jego zamożności. Były więc pogrzeby skromne, gdzie za trumną podążała tylko najbliższa rodzina, były też i kondukt pogrzebowe wielusetosobowe, okazałe, z kompletem parafialnych chorągwi kościelnych i z krocącym na czele księdzem. Były i takie pogrzeby, w których nie jeden, a kilku księży prowadziło kondukt i to od samego domu zmarłego, aż na cmentarz. Były to przypadki rzadkie, bo pogrzeb z jednym księdzem dużo kosztował i byle kto nie mógł sobie na to pozwolić, a cóż dopiero wtedy, gdy opłatą za ostatnią posługę ksiądz Głuszyk musiał podzielić się z kolegami z sąsiednich parafii.

Pogrzeb pogrzebowi był więc nierówny. Niejednolite były nie tylko kondukt, ale i ceremonie pogrzebowe. Nie mówiąc już o pochówkach samobójców, którzy przez sam fakt podjęcia i zrealizowania zamiaru samowolnego rozstania się z tym światem, wybrali sobie zarówno pogrzeb bez udziału księdza, jak i miejsce wiecznego spoczynku poza obrębem cmentarza; były pogrzeby, które tylko na krótką chwilę zatrzymywały się z trumną przed kościołem, by ksiądz zdążył ją pokropić święconą wodą, w innych zaś przypadkach ten pokropek odbywał się w kościele, ale bez

specjalnego nabożeństwa. Najczęstsze były jednak takie pogrzeby, w których ksiądz witał nieboszczyka w bramie przykościelnego cmentarza, odprawiał nabożeństwo i wyprowadzał trumnę z kościoła, ale już dalej na cmentarz nie szedł. Wszystko było skalkulowane, za wszystko się płaciło. Pewnie, że każda rodzina chciałaby, żeby ksiądz prowadził zmarłego z domu, by po drodze pośpiewał, odprawił piękne nabożeństwo w kościele przy zapalonych wszystkich świecach, odprowadził na cmentarz i wygłosił tam wzruszające przemówienie pożegnalne – ale tylko niewielu było na to stać. O tym wiedzieli wszyscy, tylko ja dość długo z tego nie zdawałem sobie sprawy.

Obserwując udział księdza i jego mniejszą lub większą aktywność w niektórych pogrzebach, myślałem długo z sympatią i życzliwością o jego poświęceniu i wyczuciu potrzeby dozowania ilości modłów i doborze form ceremoniału. Mając stale na uwadze sentencję o wielbłądzie i uchu igielnym, wiedziałem, iż ksiądz proboszcz stara się równać w ten sposób szanse na niebo i biednych, i bogatych. Biedni, już przez samą swoją przynależność do grupy wybranych, mieli niejako z urzędu zagwarantowane miejsce w niebie; bogaci mieli nieszczęście być zaliczeni do grupy z mniejszymi szansami i dlatego trzeba było im w dostaniu się do nieba pomagać nieporównanie więcej.

Treść wygłaszanych nad trumną przemówień pożegnalnych księdza mogła nie tylko mnie wprowadzić w błąd, bo im nieboszczyk był zamożniejszy, tym jako lepszy człowiek i lepszy katolik był żegnany. Peany te mogły zmylić niewtajemniczonego – ale nie mnie. Wiedziałem, że ksiądz wybiela nieboszczyka świadomie, by w ten sposób pomniejszyć jego najcięższy grzech – to, że był bogaty. Nieboszczykowi pochwał nie zazdrościłem, dobroć i przebiegłość księdza – pochwalałem.

Czas pokazał jednak, iż myśląc tak, byłem w błędzie. Szczerze rozmowy dorosłych na temat finansowania pogrzebów, a szczególnie niejasno wyrażany przez ojca żal do księdza proboszcza za to, że w tak ciężkich chwilach za pogrzeb matki musiał zapłacić „ostatnie siedem złotych” i to tylko za cichą mszę i pokropek, z upływem czasu zachwiały moją wiarą w bezinteresowność naszego duszpastorza. Zależność rodzaju ceremonii pogrzebowych nie od obiektywnych potrzeb zmarłych, lecz od możliwości finansowych ich rodzin, stawała się dla mnie prawdą obalającą mój sposób myślenia. Dotychczasowa duma z przynależności do grupy ludzi biednych, a więc pod względem realnych szans na dostanie się do nieba uprzywilejowanych, i wynikający z tego przeświadczenia wewnętrzny spokój o los mojej duszy po śmierci, zaczęły stopniowo zanikać.

To, co teraz przeżywałem, było jednak stokroć gorsze od mojej dotychczasowej nieświadomości. Ze swymi wątpliwościami nie miałem się z kim podzielić. Ojciec, choć do proboszcza żywił ukryty żal, z zasady nie dopuszczał do dyskusji na tematy wiążące się z religią. Nie do pomyslenia też były jakiegokolwiek pytania na lekcjach religii, tym bardziej że jako zelator zobowiązany byłem do raczej demonstracyjnego manifestowania wiary, pokory i chęci do modlitwy, a nie do zadawania tak drażliwych pytań. Na mnie ksiądz liczył, mnie reklamował jako wzorowego ucznia i katolika, dla mnie przewidywał zawód księdza – nie mogłem więc zawieść jego zaufania.

Problem „wiara i pieniądze” nie stanowił jedyne źródła moich wątpliwości. Podobnym była rozbieżność, jaką obserwowałem od najmłodszych lat między głoszoną równością wszystkich ludzi w kościele i w życiu codziennym, a obserwowaną praktyką. Muszę lojalnie przyznać, iż na lekcjach religii otrzymałem teoretyczne podstawy wyjaśniające ten stan. To sam Pan Bóg stworzył ludzi nierów-

nymi sobie, biednych i bogatych, i wszelka dyskusja na ten temat była nie tylko bezprzedmiotowa, ale mogła być grzechem, i to ciężkim. Jeśli jednak człowiek zacznie myśleć i dochodzi do zaskakujących go wniosków w jednym przypadku, to nawet nie zdając sobie sprawy z tego, zaczyna szukać argumentów potwierdzających lub obalających zasadność innych twierdzeń. Niebezpieczny jest początek wątpliwości, bo pociąga za sobą lawinę myśli, które łamią nieraz tak misternie zbudowane dogmaty...

Jakżeż zazdrościłem swoim rówieśnikom oraz ludziom dorosłym spokoju ich ducha, gwarantowanego brakiem jakichkolwiek wątpliwości. Dla większości z nich wszystko było jasne, logiczne, sprawiedliwe i wolne od sprzeczności...

Program nauki religii przewidywał w trzeciej klasie „wystąpienie nauki”, czyli przystąpienie do pierwszej spowiedzi i komunii. Dla każdego dziecka jest to wielkie przeżycie. Dla mnie znaczyło koniec bezkarnego grzeszenia myślą, bo za grzeszne czyny otrzymywałem dotychczas zapłatę pasem, i to z nawiązką. Pilnie czytając wskazaną nam literaturę ułatwiającą robienie „rachunku sumienia”, doszedłem do przerażającego wniosku: moje dotychczasowe życie – tak przecież krótkie – zmarnowałem, nieustannie grzesząc.

Nie było ani jednego z dziesięciorga przykazań boskich, nie było ani jednego z praw kościelnych, którego bym nie złamał lub nie naruszył. I gdyby to choć po jednym razie. Ale gdzie tam! Już z pobieżnego zapoznania się z licznymi pytaniami szczegółowymi do każdego z przykazań wynikało, iż prawie na każde z nich nie będę mógł odpowiedzieć inaczej, jak tylko twierdząco. I nawet nie będę w stanie określić, jak często lub ile razy.

Jak pijany płotu uchwyciłem się możliwości dawania odpowiedzi wymijających: nie wiem, nie pamiętam, około, na co zwrócił naszą uwagę ksiądz proboszcz w czasie przy-

gotowywania nas do tej pierwszej spowiedzi. To było bardzo dobre wyjście: spowiedź nie będzie świętokradcza, bo o każdym rodzaju grzechu wspomnę, ale ksiądz nie dowie się szczegółów, jakie to ze mnie jest ziółko. Wiedziałem, że to nie będzie tak zupełnie w porządku, bo nie tylko co, ale też ile razy robiłem źle, powinienem spowiednikowi powiedzieć. Nie mogłem się jednak tak zupełnie oczerniać i dlatego w zamian postanowiłem sobie, iż po tej pierwszej spowiedzi będę nie tylko szczerze żałował za grzechy dotychczas popełnione, ale już nigdy więcej nie będę grzeszył.

Zaledwie jednak powziąłem takie postanowienie, a już opanowały mnie inne wątpliwości: jeśli przestanę grzeszyć, to z czym pójdę do następnej spowiedzi? Dylemat był na tyle poważny, że nie można go było wcale pomijać. Wiedziałem, iż moim obowiązkiem od tej chwili jest przystępowanie do spowiedzi co najmniej raz w roku. A więc nowa sprzeczność, której w żaden sposób nie umiałem sam rozwiązać: z jednej strony miałem żałować za grzechy i solennie przyrzekać, że już nigdy więcej ich nie popełnię, a z drugiej – kolejna spowiedź jawiła mi się nie jako szansa oczyszczenia się z ewentualnych przyszłych grzechów, lecz jako obowiązek. I znów nie miałem się do kogo zwrócić o radę i wyjaśnienie. Trzeba było szukać jakiegoś rozwiązania kompromisowego. Przyjąłem, że ważniejsze jest wypełnianie okresowego obowiązku spowiadania się, niż niegrzeszenie.

Kto grzeszy, ale spowiada się ładnie, temu wszystko przepadnie – stworzyłem sobie maksymę na osobisty użytek i całą swoją uwagę skierowałem na dotrzymanie nakazanej formy spowiedzi, nie bawiąc się w liczenie grzechów.

Prawdę mówiąc, gdy ukląknłem przy konfesjonale, miałem taką treść i taką pustkę w głowie, że nie tylko nie wiedziałem, co mam mówić, ale nawet jak się mam w tej tak ważnej chwili zachowywać. I gdyby nie wsparcie spowied-

nika, który jak tylko mógł, pomagał mi, to prawdopodobnie w ogóle nic bym w tym czasie nie powiedział. Zupełnie bezwiednie odpowiadałem: raz na dzień, pięć razy na tydzień, nie wiem, nie pamiętam, choć tak określona częstotliwość była zupełnie przypadkowa. Ani nie starałem się zaniżyć, ani też zwiększać ilości moich grzechów.

Gdy usłyszałem pukanie księdza, symbolizujące odpuszczenie grzechów i koniec spowiedzi, nagle odzyskałem spokój ducha i poczułem wielką ulgę. Źródłem tej przemiany była świadomość pozbycia się nie tyle grzechów, co obowiązku pierwszego w życiu spowiadania się. Jednocześnie poczułem tak przejmujący głód, że od tej chwili o niczym innym nie mogłem już myśleć, jak tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w domu i zasiąść przy talerzu napełnionym po brzegi gorącą fitką. Koleżanki i koledzy, bohaterowie tego dnia, robili sobie przy kościele pamiątkowe zdjęcia, a ja śpieszyłem do domu ile sił w nogach. Popędzał mnie głód i zazdrość, że inni mieli na fotografa, a ja nie, bo u nas pod względem pieniędzy zawsze było „po obiedzie”...

Wystanie nauki było dla mnie wydarzeniem ważnym, bo w zakresie obowiązków katolika zrównało mnie pod tym względem z osobami dorosłymi. W rzeczywistości pozostałem nadal małym dzieckiem, podatnym na oddziaływanie zarówno domu, jak szkoły i Kościoła. Sprzężone działanie tych wszystkich podmiotów na moją świadomość dawało skutki daleko idące i nie zawsze dla mnie przyjemne. Otaczający mnie świat nadal nie stanowił obiektywnej rzeczywistości, lecz jawił mi się jako teren nieustannej walki Dobra ze Złem. Wszędzie było pełno duchów, których co prawda nie widziałem, ale widywali je inni.

Bez przerwy i stale od nowa przypominałem sobie i przeżywałem najdrobniejsze szczegóły z zasłyszanych opowiadań dorosłych podczas wieczorno-nocnych sąsiedzkich spotkań. Widziałem te byki z dzwoniącymi łańcuchami, które napastowały kilka razy ojca w czasie jego nocnych kawalerskich powrotów z Koniuszy do Polekarcic na najbardziej nieprzyjemnych, bezludnych i tajemniczych odcinkach drogi; gdy zamykałem oczy, jawiły mi się postacie ludzi zmarłych w ostatnim okresie (widziało je wiele osób, opowiadających o tym ze szczegółami), które gnane tęsknotą za najbliższymi, podążały w kierunku własnych domostw w czasie najbardziej nieprzyjemnej pogody, najczęściej o północy, by choć na moment popatrzeć na dom, gospodarstwo, najbliższych, a po zaspokojeniu tego pragnienia, spieszenie wracać na swoje miejsce wiecznego spoczynku „pod Gumulskiego”.

Najczęściej w podobnej sytuacji wyobrażałem sobie rodzoną matkę, której niestety na własne oczy nigdy nie miałem szczęścia zobaczyć, ale którą widziało wielu sąsiadów, jak skręcała z szosy na naszą dróżkę porośniętą bzem i wchodziła do domu. Jej postać i jej ubiór były tak zgodne co do szczegółów z jej obrazem, jaki zapamiętałem, że nie mogło być wątpliwości, że opowiadający mówili prawdę. Wiedziałem więc, że przychodziła do nas, patrzyła i na mnie, ale ja w tym czasie spałem głęboko i nie mogłem jej nic miłego powiedzieć, choć tak bardzo pragnąłem i tak dużo miałem jej do powiedzenia. Przeżywałem wówczas dni, kiedy aż boleśnie za matką tęskniłem. Sąsiedzi instynktownie wyczuwali chyba tę moją nostalgię i dlatego tak życzliwie informowali o każdym przypadku odwiedzin matki w naszym domu...

Nastał dla mnie bardzo niebezpieczny okres. Wszystko było dobrze, gdy znajdowałem się w towarzystwie przynajmniej jednej osoby. Gdy pozostawałem sam, nawet podczas

dnia, opanowywał mnie niewypowiedziany strach. Za żadne skarby nie zostałem sam w domu, sam bałem się nawet iść do szkoły, szczególnie drogą z Małego do Wielkiego Biórkowa. O samotnym wyjściu za próg domu po zapadnięciu zmroku nie było nawet mowy, problemem było wyjście do chlewa w nocy za własną potrzebą. Duchy. Wszędzie i stale duchy. Całą moją uwagę kierowałem teraz na to, aby nie znaleźć się w takiej sytuacji, w której mogłyby się one mi ukazać.

Na taki stan mojego umysłu natrafiły wykłady księdza proboszcza podczas lekcji religii. Ksiądz nie zajmował się kwestią obecności duchów w naszym codziennym życiu. Ani nie potwierdzał ich obecności wśród nas, ani też jej nie wykluczał. Uważał, iż o wiele ważniejszą sprawą jest przedstawienie nam obrazu piekła i mechanizmu jego działania. W opisie tej pozaziemskiej instytucji karnej skoncentrował się na jej dwu najbardziej podstawowych elementach – na panującej w niej temperaturze i na długości odbywania w niej kary.

Jeśli chodzi o temperaturę, to była ona oczywiście tak wysoka, że nie można sobie było nawet tego wyobrazić. Z tego, co ksiądz proboszcz mówił, zrozumiałem, iż była ona równa mniej więcej temperaturze wrzenia smoły. Dla mnie wizja kąpieli w rozpalonej smole była tak przerażająca, że inne przykłady były tu zbędne; sam nieraz sparzyłem się gotującym mlekiem, wodą lub parą wodną, albo nawet rozpalonym żelazkiem, i pamiętałem, jaki to rodzi straszliwy ból. A miał on być podobno drobnostką, niczym, w porównaniu z bólem wywołanym smażeniem się w piekielnym kotle, potęgowanym nieprzyjemnymi zapachami i brakiem powietrza do oddychania.

Już samo słuchanie opisów działania piekielnych kotłowni wywoływało u mnie przyspieszone bicie serca. A ksiądz proboszcz coraz to nowe dorzucał szczegóły, co jeden to

bardziej przerażający. Słuchając tych makabrycznych opowieści, przyrzekałem sobie solennie: zrobię wszystko, aby jeśli już nie do nieba, to przynajmniej do czyścica pójsć! Do piekła nigdy – nawet na moment!

Zresztą to zarzekanie się, iż „nawet na moment” było – według słów księdza – bezprzedmiotowe. Do piekła szło się na zawsze. Proboszcz, zadowolony z efektów wykładu, zmieniał temat i przechodził do opisu instytucji nieba, jego lokalizacji, panujących tam warunków i trybu życia jego pensjonariuszy, a ja ciągle myślami byłem jeszcze w piekle. Niebo nie było dla mnie tak atrakcyjne, jak przerażające było piekło. Mieszkańcom nieba nie zazdrościłem ich luksusowych warunków życia, ale tym kierowanym do piekła serdecznie współczułem. Myśli o piekle stały się teraz na pewien czas moją obsesją.

Nasi rodzice byli ludźmi prostymi, omalże niepiśmieniymi. Kiedy puszczali wodze fantazji w opisywaniu swoich rzekomo autentycznych kontaktów z duchami, jednego nie można im było zarzucić: że czynili to ze złej woli. Na pewno w duchy wierzyli, a że w zakresie kontaktów z nimi fantazjowali – nie można im tego było mieć za złe, bo sami byli przejęci strachem, a ich opowiadania były tylko formą jego ukrycia.

Nie wierzę natomiast, iż nasz proboszcz – człowiek odcytany i inteligentny – był przekonany, iż obraz piekła jest taki, jakim go nam przedstawiał. Nie posądzam go wcale o to, że w jego istnienie nie wierzył, ale makabryczne szczegóły jego wyposażenia i funkcjonowania były tworem jego wyobraźni. Celem takiego postępowania była nie chęć wychowania nas, lecz zmiążdżenia naszej psychiki, zastraszenia nas i odebrania raz na zawsze chęci do jakiegokolwiek krytycznego myślenia na tematy wiary.

Oceniając dziś podobne formy wychowawcze, dochodzę do wniosku, że powinny być one piętnowane. Nie może

ich usprawiedliwiać żadna, nawet najszczytniejsza idea. Świadomość kilkuletniego dziecka czy nastolatka jest tak chłonna i podatna, że można ją dowolnie kształtować argumentami oddziałującymi na jego wyobraźnię, bez wywołania poczucia zagrożenia. Zastraszeniem można zmusić dziecko do posłuszeństwa, do manifestowania oczekiwanych zachowań i przekonań, ale nie można uzbroić go w logiczny system myślenia. O tym ksiądz proboszcz Głuszyc na pewno wiedział, a mimo to mówił do nas rzeczy tak straszne. Niestety, w tym zakresie nie był on wówczas wyjątkiem...

Dwie ojczyzny?

Wychowanie religijne w szkole, mimo występujących różnic zarówno co do formy, jak i treści przekazywanej nam wiedzy, było w gruncie rzeczy kontynuacją tego kierunku, który od najmłodszych lat z całą konsekwencją wpajany nam był w domu.

Odmienne przedstawiały się sprawy z naszą wiedzą na tematy społeczno-polityczne. Tu okazało się, iż jesteśmy zupełnie nieprzygotowani, a właściwie przygotowani zupełnie inaczej do przyjmowania i rozumienia tych treści, które miała nam prezentować szkoła.

Kilkanaście lat niepodległości państwa polskiego po przeszło stuletnim okresie niewoli, złożone warunki odzyskania niepodległości, ciągle żywe we wspomnieniach dorosłych warunki życia „za cara” i przebieg walk toczonych podczas pierwszej wojny światowej na tych ówczesnie pogranicznych terenach oraz wspomnienia licznych uczestników wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku, wpłynęły na ukształtowanie się w społecznej opinii naszej okolicy co najmniej różnych ocen i wniosków. Na opinię tę niemały wpływ wywarł również niedawny kryzys gospodarczy, któ-

ry cofał się powoli i nie dla wszystkich jednakowo odczuwalnie. Dlatego też w połowie lat trzydziestych w moim środowisku przeważały głosy wyrażające zawód z kierunków rozwoju kraju. Rozczarowanie było dość powszechne, nadzieja na poprawę sytuacji – prawie żadna.

W mojej pamięci najtrwalej utkwiły takie momenty, które wiązały się z pobytem w naszym domu sekwestratora, wierzycieli lub policjantów.

– Na dziady wyprowadzili nos nasi panowie – z największym oburzeniem wykrzykiwał po każdej takiej wizycie ojciec. – Żeby ich ślag trafił, sku... Na froncie w dwudziestym roku to wsyscy obiecywali raj na ziemi, żeby tylko bić bolszewików. A trza było obrócić karabiny i razem z bolszewikami przegnać tych pasibrzuchów. Ciemny chłop jest zawse w dupe bity. Dziś mamy wolność, Polske, ale nie mamy co jeść, w cym chodzić, gdzie mieszkać. Komornik nie wychodzi z domu. I za to jo, głupi, własnóm piersiom ryłem ruskom ziemie...

Takie i tym podobne opinie ojciec wyrażał coraz częściej. A kłął przy tym okrutnie i niecenzuralnie. Podobnie zachowywali się i inni sąsiedzi. Adresatem tych złorzeczeń i sprawcą chłopskiej biedy był „rząd” i byli „panowie”, nigdy natomiast nie słyszałem ani nic dobrego, ani złego o poszczególnych osobach w tym rządzie zasiadających.

W domu nie mówiło się ani o Piłsudskim, ani o Mościckim, ani o innych czołowych osobistościach ówczesnego życia politycznego. Czasem tylko w rozmowie wspomniano o chłopskim pośle, Górczycy z Polekarcic.

– E, taki ta z niego poseł, jak z mojej d... trąba, patrzy tylko, żeby swoją pensję poselską wziąć i żeby go znów na posła wybrali, a o chłopa to on sie tyle troscy, co jo o zesłorocny śnig.

Dopiero gdzieś w latach 1937–1939 imiennie zaczęto krytykować premiera Sławoja Składkowskiego za jego no-

watorskie metody wdrażania lepszego stanu sanitarnego ustępów i wprowadzanie obowiązku bielienia płotów. Ale to było już wtedy, kiedy ja dzięki szkole byłem lepiej uświadomiony politycznie i na omawiane sprawy miałem zupełnie inny od ojca pogląd. Do czasu rozpoczęcia nauki w szkole – o ile w tym wieku można mówić o jakichkolwiek przekonaniach dziecka – wychowywany byłem raczej antyrządowo, co w moim przypadku wcale nie oznaczało, że antypatriotycznie. O zdradzieckiej i podstępnej roli „rządu” i „panów” słyszałem codziennie. Wielu rzeczy nie rozumiałem, ale na podstawie tych ustawicznych narzekań i złorzeczeń rodziców i sąsiadów nabrałem przekonania, że zarówno rząd, jak i panowie są elementem jeśli nawet nie spokrewnionym z diabłem, to bardzo blisko z nim powiązany.

Moje przygotowanie społeczno-polityczne było więc skromne i dość jednostronne. Ja z tego oczywiście nie zdawałem sobie sprawy, ale wychowawcy w szkole doskonale o tym wiedzieli, choć wcale się tym nie przejmowali i ani mnie, ani moim rodzicom nie mieli tego za złe. Wiedzieli, że po kilku latach mojego pobytu w szkole zrobią ze mnie i z moich kolegów nie tylko gorliwych patriotów, ale i aktywnych sympatyków panującego ustroju.

I wcale się nie mylili. Kończąc w 1939 roku na szóstej klasie naukę w biórkowskiej szkole, większość z nas była przekonana, że nie tylko jesteśmy najlepszym na świecie narodem, posiadającym najwspanialszą historię, najlepszą armię, ale i najmądrzejszy rząd, genialnego marszałka Rydza-Śmigłego i w ogóle wszystko naj...

Kształtowanie naszej świadomości rozpoczęło się od pierwszych dni pobytu w szkole. Każda lekcja polskiego, rachunków czy rysunków była jednocześnie lekcją patriotycznego i obywatelskiego wychowania. Ani się spostrześliśmy, jak zaczęły nas wciągać sprawy, o których dotychczas nie mieliśmy pojęcia.

Polska, wolność, niepodległość – to były słowa-hasła, które dopiero w ustach pani, a szczególnie pana kierownika, nabierały dla nas nowego znaczenia. Szczególnie pilnie słuchaliśmy jednak wszystkiego, co dotyczyło takiego nowego dla nas pojęcia, jakim było słowo „legiony” i różnych związanych z nim, jak pierwsza brygada, pierwsza kadrowa, komendant...

Oczywiście nie wszystko od razu rozumieliśmy, poszczególne pojęcia mieszały się nam i stąd wynikały różne nieporozumienia. Przez dłuższy czas np. dla mnie komendant Piłsudski i przedstawiony na portrecie marszałek Piłsudski, to były dwie różne postacie. Nazwisko co prawda było to samo, ale tam komendant – tu marszałek. Nie mogła to być jedna osoba...

Nieszczęście przyszło nagle i niespodziewanie.

13 maja 1935 roku, zaraz po przyjściu do szkoły, zaskoczyła nas panująca w niej niecodzienna atmosfera. Starsze klasy, które rozpoczynały naukę o godzinie ósmej, zamiast z hałasem i spiesznie pędzić do domu, siedziały grzecznie w ławkach, a po korytarzu spacerowała zapłakana Litwinka, która nakazała nam przygotować się do uroczystej zbiórki na szkolnym podwórku.

Za chwilę z kancelarii wyszli: pani Stachurówna, kierownik szkoły i pan dziedzic Woźniakowski, któremu pan Żuchowicz torował przejście pośród stłoczonych na korytarzu dzieci. Wszyscy byli zapłakani, nikt nic nie mówił. Panowała cisza jak makiem zasiał. Każdy z nas zadawał sobie pytanie: co się stało?

Panie Litwinę lub Stachurównę nieraz widzieliśmy płaczące, szczególnie wtedy, gdy nie mogły sobie poradzić z jakimś niesfornym uczniem. Żal i złość wyciskały im wtedy łzy z oczu. Wiedzieliśmy, że za chwilę płacząca pani wybiegnie z klasy, by prosić o pomoc pana kierownika, a ten wkrótce wkroczy do klasy i choć nie będzie nikogo bił, i nie

będzie krzyczał, to jednak zacznie się „sądny dzień”. Takie awaryjne wkroczenie kierownika nie było przyjemne ani dla sprawcy zamieszania, ani dla nas wszystkich. Miał on swoje metody przemawiania do nas...

Nigdy natomiast nie widzieliśmy płaczącego pana Żuchowicza ani tym bardziej pana kierownika. Widok łez w ich oczach był dla nas tak niecodzienny i tak zaskakujący, że w tym czasie żadne z nas nie odważyło się nawet zwrócić do sąsiada z uzasadnionym w tym przypadku pytaniem: „Ty, co się stało?”, lecz tylko w milczeniu robiliśmy przejście dla przechodzących i z najwyższym zaciekawieniem obserwowaliśmy ich twarze.

Największym zaskoczeniem dla nas była jednak obecność w szkole pana dziedzica. Nie mogło nam się pomieścić w głowie, iż ten dostojny pan osobiście zjawił się u nas, i do tego też płakał. Bywało, że przechodząc, a najczęściej przejeżdżając obok szkoły na koniu lub „linijką” (bardzo lekkim, czterokołowym odkrytym wózekkiem, na którym siedziało się okrakiem), zatrzymywał się na chwilę, by zamienić parę słów z panią lub panem, jeśli ci akurat byli przed szkołą, nigdy jednak do budynku szkolnego nie wchodził. I stąd ta dzisiejsza jego obecność była dla nas taką sensacją.

Za chwilę cała szkoła zebrała się w karnych szeregach na szkolnym podwórku, niczym na uroczystej zbiórce z okazji rozpoczęcia nowego roku szkolnego. Jak nigdy dotychczas, stały w jednym szeregu klasy starsze, które już zakończyły naukę w tym dniu, i dwie najmłodsze, które zajęcia miały dopiero rozpocząć. Po uporządkowaniu szyków zabrał głos kierownik szkoły.

– Drogie dzieci – rozpoczął – jak podało dziś Polskie Radio, w dniu wczorajszym zmarł po ciężkiej chorobie pierwszy marszałek Polski, Józef Piłsudski. Tę smutną wiadomość był łaskaw przynieść nam pan dziedzic...

Więcej pan kierownik nie był w stanie nic powiedzieć. Na chwilę zapanowało grobowe milczenie, a później dało się słyszeć ogólne szlochanie i płacz. Łez nie wstydził się nikt, ani nasi wychowawcy, ani pan dziedzic, ani tym bardziej my, dzieci. Szczególnie serdecznie rozplakałem się ja, bo była to śmierć drugiej tak drogiej i bliskiej mi osoby w przeciągu ostatnich trzech tygodni...

Do płakania w tym okresie byłem niejako przyzwyczajony. 25 kwietnia pożegnałem na zawsze rodzoną matkę. Płakałem po jej śmierci, płakałem w czasie jej pogrzebu, płakałem nieraz po jej pochowaniu. Był to jednak inny płacz, taki prywatny, krótko trwający, który uspokajał mnie. Nie był zaraźliwy; jeśli płakałem ja, to wraz ze mną płakali tylko moi najbliżsi – ojciec, siostra, krewni. Mój ból i żal były moją prywatną i drobną sprawą, dotyczącą tylko mnie, ojca, siostry... Śmierć matki łamała dotychczasowe moje życie, ale nie naruszała spokojnego bytu szerszego ogółu...

Czym innym była śmierć marszałka. Zmarł człowiek, któremu zawdzięczaliśmy wszystko: wolność, niepodległość, obecny dobrobyt i jasną przyszłość. Tak przynajmniej przedstawiała nam tę stratę pani Litwinka, gdy tylko po zbiórce znaleźliśmy się w naszej klasie. Słuchając wypowiedzi pani, jasno to sobie uświadomiłem. Jakżeż drobna była moja osobista strata – śmierć matki w porównaniu z tym, co spotkało obecnie cały naród. I choć nie bardzo rozumiałem wypowiedziane przez panią słowo „dobrobyt”, to wszystko, co pani mówiła, przyjmowałem jako prawdę oczywistą i niepodważalną.

Dla mnie różnica pomiędzy śmiercią matki, osoby mi najbliższej, a śmiercią marszałka Piłsudskiego, którego żywego na oczy nigdy nie widziałem, stawała się coraz bardziej oczywista. O mojej matce nikt nie mówił tak przejmująco; nawet przy spuszczeniu trumny do grobu nikt nie zabrał głosu i nie podkreślił jej zasług oraz tragizmu jej śmierci.

ci. Za dobre słowo trzeba było tu zapłacić księdzu (bo tylko on był uprawniony w tym przypadku do przemawiania), a pieniędzy nie było. A jeśli nie było przemówień, to i nikt nic o zasługach zmarłej nie dowiedział się. Tak jak skromnie i cicho żyła, tak też niepostrzeżenie dla szerszego ogółu zeszła z tego świata.

Zupełnie inaczej było z marszałkiem. Jego śmierć fizyczna stała się wydarzeniem, które nie tylko że nie zapoczątkowało u mnie procesu zapomnienia tej osoby, ale przeciwnie – rozbudziło moje nim zainteresowanie. I był to proces naturalny. Po jego śmierci dzień po dniu słyszałem w szkole coś nowego i dobrego o zmarłym. Dotychczas również mówiło się o nim dużo i ciepło, ale ja jeszcze wtedy nie wszystko rozumiałem i nie wszystko docierało do mojej świadomości, mimo że już od pierwszej klasy, podczas szkolnych akademii organizowanych z okazji imienin pana marszałka 19 marca, przypadał mi zaszczyt deklamowania wierszyków na jego cześć.

Ten pamiętny dzień 13 maja 1935 roku utkwiał w naszej pamięci na zawsze. O nauce już w tym dniu nie było mowy. Po okolicznościowym przemówieniu pani, przerywanym atakami jej płaczu, który udzielał się całej klasie, i po przepasaniu portretu marszałka czarną wstążką, mogliśmy pójść do domu.

Portret marszałka Piłsudskiego wisiał jeszcze przez długie miesiące na czołowej ścianie klasy. W dniu jego imienin czy rocznicy śmierci organizowane były okolicznościowe akademie, na których ja znów recytowałem stosowne wiersze, a szkoła śpiewała: *To nieprawda, że Ciebie już nie ma...*

Wojna

Sierpień dobiegał końca. Wcześniejsze w tym roku żniwa spowodowały, że żytnie ścierniska już ładnie zdążyły się zazielenić. Dla mnie skończyła się męka z pasieniem krowy koło domu lub w rowie przy szosie. Pasienie krowy na ściernisku było czynnością nieporównanie łatwiejszą i przyjemniejszą. Tu główną uwagę można było poświęcić własnym myślom o wszystkim i o niczym lub obserwować, co dzieje się na szosie, a nawet – jeśli tylko było co – można było poczytać jakąś książkę lub „Gromadę – Rolnika Polskiego”, gazetę pożyczoną od Wicka Dziuby.

Dziś, 29 sierpnia, tatuś polecił mi wyprowadzić krowę na ściernisko Kobasa z Biórkowa Wielkiego. Pasuje. W żniwa wykruszyło się tu wyjątkowo dużo zboża, odrost jest więc gęsty i wyrosnięty ponad ściern. W bezpośrednim sąsiedztwie Kobasowego ścierniska, na swoim polu, Józek Wilków rwie burocyny dla swoich krów, można więc też z nim pogadać, a poza tym ściernisko jest przy szosie, na której od kilku dni zaczyna się coś dziać. Normalnie ruch tu był tylko w dni targowe, ale ostatnio...

– Patrz się, Józek – mówię – widzisz jaki zielony jedzie samochód? Jaki nowiutki!...

– Wojskowy – odpowiada Józek – żołnierze siedzą w kabinie. A wiesz, wczora mój wujek, Jendrzej, dostał powołanie do wojska. Bo będzie wojna.

I Józek zaczął opowiadać, jak się wujek zegnał, jak ciotka płakała, ale jego ojciec, Ignac Wilk, powiedział, że nie ma co płakać, bo jak tylko Hitler zacznie, to mu tak damy w dupę, że się od śmiechu nie powstrzyma. A jeśli tak mówił Ignac, to musiała być prawda, bo on, choć sam nigdy w wojsku nie służył, to na problemach militarnych znał się najlepiej nie tylko na Wiktoryjce, ale i w całej okolicy.

Ignacowa optymistyczna wizja przebiegu zbliżającej się wojny z Niemcami była mi bardzo potrzebna. Z jednej strony wojny bałem się. Nieprzypadkowo codziennie modliłem się: *Od powietrza, głodu, ognia i wojny...* i od dzieciństwa nieomal codziennie słyszałem opowiadania dorosłych, jak to wyglądała wojna światowa i jak wyglądała wojna w 1920 roku, na szlaku do Kijowa i z powrotem, który na własnych nogach przemierzył po 40–60 kilometrów dziennie mój ojciec...

Z drugiej strony, choć bez zastrzeżeń wierzyłem, że nadciągająca wojna z Niemcami musi zakończyć się naszym pełnym i wspaniałym sukcesem, i to już po kilku dniach, obawiałem się, że mimo to może ona przeszkodzić mi w podjęciu nauki w II Gimnazjum im. św. Jacka w Krakowie. Jeśli mam być szczerzy, to mnie ciągnęło nie tyle do samej nauki, co do nowego życia w Krakowie w charakterze już gimnazjalisty, ubranego w piękny granatowy mundur z niebieskimi wypustkami i błyszczącymi guzikami. Gimnazjalny mundur – to było moje marzenie od kilku lat, a szczególnie od kilku tygodni, kiedy ja, dwunastoletni chłopiec, absolwent sześcioklasowej biórkowskiej szkoły, bez żadnej protekcji i specjalnych przygotowań, zdałem egzamin i zostałem przyjęty. Gimnazjalny mundur – to było moje marzenie, bo tak naprawdę, to ja do tego czasu jeszcze nigdy normalnego, nowego i dla mnie specjalnie sztytego ubrania nie miałem. I choć tego mundurka jeszcze nie miałem w domu, to materiał na niego był kupiony i leżał u krawca w Proszowicach, który już wziął mi miarę i lada dzień miał go uszyć. Ale jak będzie wojna...?

Jak będzie wojna, to moje plany przemienienia się z wiejskiego pastucha w prawdziwego gimnazjalistę krakowskiego mogą się trochę przesunąć w czasie. Może tydzień, może miesiąc. No, miesiąc to chyba najwyżej, bo i z czymże się ten Hitler wybiera na Polskę? Wiele jego czołgów

jest z tektury, benzyny to ma najwyżej na trzy dni, wojsko nie ma co jeść, a przede wszystkim to pamiętają Niemcy Grunwald i Głogów i rozbrajanie ich w Warszawie w 1918 roku. A nasze dzisiejsze wojsko? To armia nieporównywalna z żadną w Europie ani z tą sprzed dwudziestu lat, kiedy to uzbrojenia było mało, remanent po wszystkich armiach świata, żołnierz chodził w podartych butach, najczęściej głodował – a i tak do walki zawsze się rwał i zwyciężał. A dziś? Dziś mamy armię świetnie uzbrojoną i ubraną, najlepiej w Europie wyszkoloną, a tak mądrego i zdolnego dowódcy jak marszałek Śmigły-Rydz nie ma żadna armia świata.

Nie na darmo piszą w gazetach i wszyscy mówią, że prawie codziennie w coraz to innej miejscowości w Polsce przedstawiciele społeczeństwa wręczają wojsku a to pulmiot, a to jakieś działo, a mówią nawet, że czołgi i samolot też społeczeństwo za zebrane pieniądze kupiło i dało armii. Zresztą po co szukać daleko po Polsce. My też w szkole zbieraliśmy przecież co miesiąc po groszu na FON. A tak jak w naszej szkole, było przecież we wszystkich polskich szkołach: grosz do grosza i zbierały się tysiące złotych, było więc za co kupować uzbrojenie.

Rozmyślając tak na tematy ofiarności społeczeństwa i dozbrajania tą drogą naszej armii, nie miałem specjalnych powodów do dumy, bo u mnie z tą ofiarnością za dobrze nie było. To prawda, że grosz to wydatek niewielki, równowartość 1/3 lub nawet 1/4 jajka, ale i o ten grosz w domu było trudno. Ale na szczęście były w Polsce i takie dzieci, które miały pieniądze, składki płaciły na bieżąco, no a przede wszystkim pieniędzmi dysponowało państwo, bo wojsko miało wszystko, co mu było potrzebne do odniesienia zwycięstwa nad Niemcami. Najbardziej dobitnym dla mnie przykładem tego była powietrzna defilada polskiego lotnictwa, jaką przed niespełna miesiącem mogłem na własne oczy obserwować. Defilada była co prawda w Krakowie,

dla marszałka Śmigłego-Rydza, ale te sto kilkadziesiąt samolotów, żeby się właściwie zaprezentować, musiało się formować w szyk daleko poza Krakowem, po raz pierwszy więc mogłem oglądać tak olbrzymią powietrzną armadę.

I tak omiatając wzrokiem szosę od Krakowa i od Proszowic w oczekiwaniu, czy znów nie pojawi się jakiś wojskowy samochód, myślami błądziłem od tematu do tematu. Cieszyłem się, że szkoła powszechna jest już za mną i nie będę już więcej musiał wstydzić się za niepłacenie składek na FON, ale pożegnanie szkoły było dla mnie jednocześnie wydarzeniem smutnym, bo tę szkołę bardzo lubiłem, lubiłem do niej chodzić, w niej czułem się innym, bardziej wartościowym człowiekiem. Nauczyciele byli mi ludźmi bliskimi i życzliwymi, podobnie było z kolegami. I teraz mój kontakt z tym środowiskiem miał się definitywnie i ostatecznie zerwać. I to mnie smuciło, gdy o tym rozstaniu myślałem. Co było tu – wiedziałem, ale co będzie tam, w Krakowie?

Jedno nie ulegało wątpliwości: tam dopiero potrzebne będą pieniądze, dużo pieniędzy. A tu w domu nic się nie poprawiało. Jak było, tak i nadal jest biednie. Stale bez grosza. Dobrze, że jest już po żniwach, chleba nie brakuje, a i mleko krowa też ładnie daje.

I znów myśli moje wracają do tematu wojny. Jakiż głupi ten Hitler. Straszy, żąda, grozi, jakby nie wiedział, że u niego w kraju bryndza, a my jesteśmy silni, zwarci i gotowi. A może on tak musi postępować, innego wyjścia nie ma? Boi się, że ta jego papierowa armia i wszyscy Niemcy z głodu obrócą się przeciwko niemu? Ale to jego zmartwienie. Dobrze mu tak. Jak ja go serdecznie nienawidzę. Jak wszyscy Polacy. A więc wlejemy Niemcom. Ale co będzie wtedy, gdy nasze wojsko pobije Niemców i pójdzie naprzód, tak jak kilka miesięcy temu szło na Zaolzie? Dobrze, zajmujemy Zabrze, Gliwice, Bytom, może Opole i Królewiec

w Prusach Wschodnich. Ale co dalej? Zajmiemy Wrocław i Berlin? Po co? Przyłączymy je do Polski? Żeby w Polsce było wtedy jeszcze więcej Niemców niż teraz? A przecież już ci, co dziś tu żyją, robią tyle zła: szpiegują, sabotują, rozsiewają plotki osłabiające ducha narodu. Okazuje się, że nawet wygranie wojny też może rodzić różne problemy.

W tym dniu nie pojawił się już żaden samochód. Jak zwykle, około 21 z Krakowa do Proszowic przejechał jedynie oświetlony autobus PKS. Dziś był jeszcze bardziej niż zwykle pusty. Dla mnie był on zawsze symbolem wielkiego świata i dobrobytu. Bo też trzeba było być albo bardzo bogatym, albo lekarzem, adwokatem czy nauczycielem, by sobie móc pozwolić na taki luksus, jakim w moim odczuciu był przejazd pekaesem.

I nikt z tych wieczornych godzinach 29 sierpnia 1939 roku nawet nie przypuszczał, iż już za kilka dni na tym, bądź co bądź, bocznym trakcie fala cywilnych uchodźców będzie nakładać się na kolumny wycofującej się naszej armii...

To rozegrało się błyskawicznie. W ułamku sekundy. Z głębokiego snu wyrwał mnie potworny, narastający ryk. Zanim zdążyłem oprzytomnieć, jeszcze snem zamroczony doskoczyłem do okna. Tego północnego, od szosy. Przytłaczający ryk silnika samolotowego w tym momencie dochodził prostopadle z góry. Tam też skierowałem wzrok i znad okapu dachu zdążyłem dostrzec jedynie skrzydło bardzo nisko lecącego samolotu. Skrzydło, na którym tak wyraźnie wymalowany był duży, czarny krzyż...

Zaszokowany tym widokiem instynktownie wprost wybiegłem przed dom. Nisko, bardzo nisko nad Pałtkowym polem samolot, który przed momentem jeszcze był nad

naszym domem, oddalał się szybko na wschód. Samolot z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Jego przelotem nad naszym domem nie mniej ode mnie zaszokowany był ojciec, który już przed godziną wstał i w tym czasie był na polu. Mógł więc dłużej i dokładniej obserwować tego niespodziewanego, a tak zaskakującego gościa. Ojciec dostrzegł nie tylko czarne krzyże pod skrzydłami, ale również taki sam krzyż na kadłubie i swastykę na ogonie.

Dopiero po dłuższej chwili, gdy już żaden dźwięk po oddalającym się samolocie do nas nie docierał, a obaj z ojcem po tym zaskoczeniu zdołaliśmy nieco ochłonać, usłyszeliśmy od strony Krakowa, że tam zaczyna się nalot; słychać było dalekie wybuchy bomb oraz huk dział przeciwlotniczych. I te odgłosy prowadzonej walki były teraz jedynym sygnałem, że dziś, 1 września 1939 roku, zaczęła się nowa prawdziwa wojna...

W ten mglisty poranek na temat rozpoczęcia wojny nie wiedzieliśmy nic więcej. Nie było radia, na Wiktoryjkę żadna codzienna gazeta nie docierała. Dzień, choć zaczął się tak zaskakująco, dalej przebiegał już zupełnie normalnie. Znowu zapanowała cisza i spokój. Każdy z domowników zajął się własnymi obowiązkami. Pogoda była mglista, słońce długo nie pokazywało się na niebie, a tuż po obiedzie przeleciał pierwszy i zarazem ostatni w tych pamiętnych dniach wrześniowych deszcz. I znowu wyjrzało słońce.

Pod wieczór, jak to często miał w zwyczaju, gdy było już po żniwach, przyszedł Ignac Wilk. Jego bracia, Kazek i Piotruś, jako niepracujący kandydaci na inteligentów, zdołali już zebrać wiele informacji na temat wojny. Miał więc z czym przyjść i co opowiadać.

– No, widzisz, Macieju, zaczęło się. A mówiłem, że to już tak długo nie potrwa? Według tego, co mówiom w radiu, to na całym froncie bijom się strasznie. Hitler myślał, że nos zaskocy, ale nasi tylko na to cekali. Podobno rozpieprzyli

Niemcom setki cółgów, kupe samochodów, a ile Niemców natłukli, to lepi nie mówić...

Wiadomości przyniesione i fachowo nam przez Ignaca komunikowane, były więcej niż optymistyczne. Po prostu przechodziły nasze oczekiwania. Nic więc dziwnego, że słuchaliśmy ich z bijącymi sercami i otwartymi ustami. Właśnie takich nowości było nam potrzeba jak najwięcej. Nam, słuchającym, i naszemu gościowi też. Tylko ojciec, jedyny w tym gronie człowiek frontowy, w tym radosnym momencie okazał się niepoprawnym pesymistą.

– No tak, Ignac, ładnie to mówis, ale niemiecki samolot przeleciał dzisiaj nad naszymi chałupami i nikt go nawet nie gonił...

– A myślis, że nase samoloty tam nie poleciały tak samo, cós to wielkiego przelecieć samolotowi dzisiaj przez front na tyły, ale zobocymy, ile ich z powrotem wróci. Albo ich strącom, albo im braknie benzyny.

W ten pierwszy wojenny wieczór Ignac posiedział u nas dłużej niż zwykle. Było po żniwach, do wykopków jeszcze trochę czasu, można więc sobie było pozwolić na takie dłuższe posiedzenie.

Niedziela 3 września, trzeci dzień wojny. Zaczynają docierać coraz częściej sprzeczne wiadomości. Wprawdzie Wiktoryjka wydaje się nadal oazą spokoju, ale ludzie jakby już nie ci sami, co przed trzema zaledwie dniami. Stali się jacyś niecierpliwi, ciekawi wieści ze świata, a swe codzienne obowiązki wykonujący jakby siłą inercji, machinalnie, bez większego zainteresowania. Temat „wojna” pasjonuje wszystkich, nawet tych, którzy jeszcze przed trzema dniami niczym, poza swoim obejściem, nie interesowali się. Każdy pyta: „Co tam słyhać?”, nastawia uszu, gdy tylko zobaczy, że ktoś z kimś rozmawia. I każdy czeka na pomyślne wiadomości, chciałby wiedzieć i więcej, i wcześniej.

No, choćby wczoraj. Idziemy szosą z ojcem, spotykamy Błaszkiwicza, za chwilę podchodzi Baranek. Dorośli witają się przez podanie ręki, a następnie przez zrobienie gestu, jakby każdy z nich chciał dotknąć kapelusza (mnie, niestety, nikt ręki nie podaje, na to trzeba być uznanym już za dorosłego), i zaraz pada niecierpliwe pytanie: „No, co tam słycać?”. I na ten moment jakby czekał Kazek Wilk. Wychodzi niespodziewanie zza stodoły i z uśmiechem na ustach już z daleka krzyczy:

– A co, nie mówiłem, że nasi dadzą Hitlerowi łupnia? Dobrze mówiłem, bo właśnie dowiedziałem się, że nasza kawaleria poszła w Prusy Wschodnie jak w masło. Niemcy spieszą, ino im tyłki podskakują. Do tego czasu to już chyba do Królewca dochodzą.

Stojący na drodze uśmiechają się ni to z niedowierzaniem, ni to z radością. Wierzyć Kazkowi, czy nie wierzyć, ale krzepiących wiadomości dobrze jest posłuchać. Bo w każdej wiadomości zawsze jest coś z prawdy. Gorzej, że po cichu ludzie coś przebąkują, że na pewnych odcinkach frontu sytuacja jest zupełnie przeciwna. Czyżby i w tym było coś z prawdy?

Tak było wczoraj. Dziś poszedłem rano na mszę do kościoła. Ludzi było jakby więcej niż w każdą niedzielę. Gorliwiej niż zwykle modlili się, głośniej śpiewali, ale ksiądz jeszcze dobrze nie skończył *Ite, missa est*, a ten i ów już przepychał się ku wyjściu i przed kościołem przyłączał się do dyskutujących grup. Każdy chciał dowiedzieć się już, natychmiast, co ludzie mówią. A mówili już dziś różnie. Ale raczej mniej o brawurowym marszu naszej kawalerii w Prusach Wschodnich, a coraz więcej i coraz głośniej o tym, że coś niedobrego dzieje się w rejonie Śląska, jeszcze gorzej na Pomorzu – tu i tam podobno się cofamy – a już najgorzej jest na północ od Śląska, gdzie Niemcy

usiłują przerwać naszą obronę. Takiej wojny, jaka teraz toczy się na polsko-niemieckim froncie, jeszcze nie było.

Niemiec nie pcha ludzi, nie używa kawalerii, nawet armaty nie są najważniejsze – opowiadali ludzie z przejęciem – tylko sunie czołgami po ziemi, a z powietrza bombarduje i ostrzeliwuje z samolotów. Nie człowiek z człowiekiem walczy, nie żołnierz z żołnierzem, lecz polski żołnierz bić się musi z ogniem, motorami i stalą. I tu jego karabin, nawet w bagnet uzbrojony, niewiele pomoże. Trzeba brać nogi za pas i cofać się.

Z kościoła wróciłem do domu raczej przygnębiony. Jeszcze wczoraj, słuchając Kazka, cieszyłem się, że nam tak dobrze idzie, że wkrótce zwyciężymy i będzie po wojnie, a tu rzeczywistość dziś poznana okazywała się niepomysłna, wprost groźna. Ale już w południe mój nastrój uległ zasadniczej zmianie. Gdy ojciec wrócił z kościoła ze sumy, zacząłem żałować, że poszedłem dziś na mszę poranną, a nie na sumę właśnie. Bo w czasie sumy dotarła do kościoła wieść radosna, że Francja i Anglia wypowiedziały wojnę Hitlerowi. Podobno radość była tam olbrzymia i powszechna. I dziwić się temu nie ma co, bo przecież, tak prawdę mówiąc, czekaliśmy na taką wiadomość, nawet jeśli nikt tego głośno nie mówił, to każdy stawiał sobie pytanie: kiedy nasi zachodni sojusznicy włączą się do wojny i ostatecznie rozprawią się z Hitlerem?

I wreszcie nastąpiło to, na co wszyscy od trzech dni czekali. Każdy się uśmiechał, bo wiedział, że teraz, jeśli dotychczas nawet udało się Niemcom tu i tam pójść nieco do przodu, ich los jest przesądzony. I niejednen to nawet tak myślał, że właśnie o to chodziło, żeby Hitler mocno zaangażował się na polskim froncie, a wtedy Anglia i Francja tak mu dadzą łupnia na Zachodzie, że się nie opamięta...

Niestety, było to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Ta słoneczna pierwsza niedziela września 1939 roku była

ostatnią niedzielą wolności i ostatnim dla nas dniem nadziei na szybkie i pełne zwycięstwo. Nasza cicha i spokojna dotychczas Wiktoryjka od jutra już miała zaludnić się najpierw pojedynczymi grupami uciekinierów, a w miarę upływu godzin fala uchodźców stać się miała większa, niż przepustowość tego bądź co bądź bocznego traktu. Ale dziś jeszcze nikt tego nie przewidywał, każdy cieszył się tym, iż nasi zachodni sojusznicy nie zawiedli i zgodnie z zawartym porozumieniem wystąpili bez wahania po naszej stronie przeciwko Hitlerowi...

Wkrótce zza zakrętu pod Pankowskim poczęły wyłaniać się coraz częściej kilkuosobowe grupki uciekinierów ze Śląska, choć zaczęli się wśród nich pojawiać także mieszkańcy Krakowa. Zasadniczym środkiem lokomocji uciekinierów były ich własne nogi. Szli ciężko, powoli. Prawie każdy niósł na ramionach plecak, a w rękach teczki, paczki, pakunki. To był ich cały dobytek i to byli ci, których nie stać było na wynajęcie furmanki czy jakiegoś innego pojazdu. Kogo było stać – najmował sobie furmankę i wtedy zabierał nieporównanie więcej rzeczy osobistych.

Patrzyliśmy na ten gęstniejący z każdą godziną tłum na szosie. Patrzyliśmy kto, z czym, na czym i jak ucieka. Wiedzieliśmy, że przeciskające się od czasu do czasu samochody osobowe i ciężarowe uwożą „elitę”, „panów” i członków ich rodzin oraz ich dobytek.

– Taki, panieś – mówił ojciec – zawse se poradzi. Co miał lepszego, to na auto i przed siebie. Teros jest tu, za pare godzin będzie daleko stąd.

Pośrednią grupę stanowili ci, co jechali na motocyklach. Niby szybkość ta sama co samochodem, ale bagażu i komfortu jazdy zdecydowanie mniej. Ale i ten na motorze, i ten samochodem tak daleko i tak długo jechał, dopóki pojazd był sprawny i dopóki miał benzynę. Gdy jej nie stało, pojazd, jako środek ułatwiający ucieczkę, stawał się nieprzy-

datny i albo był pozostawiany „na opiece” u najbliższego gospodarza, albo po prostu spychany do rowu. Jego właściciel zabierał na plecy rzeczy cenniejsze lub w ucieczce bardziej przydatne i już jako pieszy kontynuował marsz na wschód. W stosunkowo dobrej sytuacji byli ci, co uciekali na rowerach. O benzynę martwić się nie musieli, szybkość ich poruszania się była zdecydowanie większa od tych maszerujących na piechotę, a i mniej byli zmęczeni.

I tak sunął ten tłum uciekinierów w kierunku Proszowic i dalej na wschód. Każdy jak mógł, tak pośpieszał, jakby tam, za Nidą, miał być już koniec tej ucieczki. Tę bowiem rzekę uważano za ostateczną linię oporu, na której wróg miał zostać nie tylko zatrzymany, ale i pobity.

Wraz z narastającą falą uchodźców rosła ilość informacji o wojnie, o przygniatającej przewadze niemieckiej w uzbrojeniu – szczególnie w czołgach – no a przede wszystkim – o niemieckich okrucieństwach. O tych ostatnich opowiadano najwięcej i ze szczegółami. A to, że wszystkich bez wyjątku mężczyzn wkraczające wojska niemieckie rozstrzelują, dzieci wywożą, kobiety gwałcą i piersi im obcinają, itp., itd. Tematem równie bulwersującym co niemieckie postępy na froncie i postępowanie Niemców z Polakami na zajmowanych terenach, była działalność niemieckich szpiegów i dywersantów na zapleczu frontu. O tej działalności mówiło się dużo. Na przykład w Tarnowie na stacji kolejowej niemiecki szpieg podłożył w walizce bombę zegarową, która wybuchła i były liczne ofiary w ludziach. W innym przypadku niemiecki szpieg przy użyciu miniaturowego radia kierował nalotem niemieckich samolotów na lotnisko w Krakowie. Gdzie indziej znów szpieg tak sprytnie rozłożył niby to dla przesuszenia kopę siana, że wyszła z tego wyraźna strzałka, wskazująca lotnikom wojskowe magazyny do zbombardowania.

Takich i temu podobnych przypadków przytaczano nieskończenie wiele. I dlatego nie można się było wcale dziwić, iż w uwięzionym i o najbliższą swą przyszłość zaniepokojonym społeczeństwie narastało zarówno oburzenie, jak i przeświadczenie, iż „niemieccy szpiedzy i dywersanci są wśród nas”. Ilustracją tego może być przypadek, który już najbliższej nocy rozegrał się w naszej stodole, co dalej przedstawię, jako że to zdarzenie utkwiło mi dobrze w pamięci.

Spośród idących i jadących szosą uciekinierów raz po raz ktoś odłączał się i wchodził do pobliskiego domu. Do naszego oczywiście też.

– Gospodarzu, sprzedajcie chleba, mleka, jajek, masła czy czegoś tam jeszcze – mówił wchodzący – bo, widzicie, sklepy albo zamknięte, albo nic w nich do jedzenia nie ma!

Z początku w podobnych przypadkach ojciec, wyznający do przesady zasadę „gość w dom – Bóg w dom”, grzecznie odpowiadał:

– Do sprzedania to u nas ni mo nic, ale kawołek chleba, czy kubek młyka – prose bardzo, dać moge.

I na przyzwalający gest ojca Szydłowska kroiała kromkę chleba, nalewała mleko do kubka. Gość zjadał, wypijał i mówiąc: „zostańcie z Bogiem!” – wychodził z izby, robiąc miejsce... następnemu głodnemu.

Jak było do przewidzenia i chleb, i mleko, przy takiej ilości nachodzących nas gości, szybko się wyczerpały. A gdy już nic do jedzenia nie było, kolejnym wstępującym mogliśmy zaoferować jedynie... smaczną i zimną wodę wprost ze studni. A jeszcze później, za dwa dni, w środę, i tej doskonałej wody też brakło. Ale wypili ją raczej nie ludzie, lecz wojskowe konie.

Pod wieczór, mimo że do zaoferowania gościom nie mieliśmy już nic do jedzenia, w obejści nasze zaczęli dość licznie wkraczać utrudzeni podróżnicy z prośbą o przenoco-

wanie. W izbie miejsca nie było, ale ponieważ pogoda była nieomal letnia, noce ciepłe, ojciec proponował:

– Prose bardzo, stodoła dużo, jest na cym sie przespać, bo w izbie miejsca ni ma, pościeli tyż nie.

Pytający się jakby tylko na to czekał. Dziękował i przez uchylone wrota wciskał się na klepisko stodoły, i tyle go było widać. Byli i tacy, co to nawet nie uważali za wskazane zapytać gospodarza, czy pozwoli przenocować.

Przechodząc obok stodoły, można było słyszeć ściszone rozmowy oraz szelest upychanej koniczyny i słomy, co było akustycznym efektem praktycznej realizacji hasła: „Jak sobie pościesz, tak się wyśpisz”. Ta przedsenna krzątania zmęczonych ludzi miała w sobie coś uspokajającego. Bardzo niepokojące były natomiast przypadki, gdy przez szczeliny pomiędzy deskami dostrzec można było błyskające ogniki papierosów. Pewnie, że każdy z nich starał się zachować maksimum ostrożności. Przed zapaleniem papierosa schodził z „woszy” na klepisko, zapalkę dokładnie gasił, a żarzący się papieros trzymał bezpiecznie w dłoni. Ale czy w ogóle w zapełnionej po żniwach stodole palenie papierosów, nawet przy zachowaniu szczególnej ostrożności, mogło być bezpieczne? I dlatego też ojciec bardzo denerwował się, widząc te błyski w stodole.

Ruch na szosie zamarł już zupełnie. Nagle, tuż przed północą, od strony Proszowic na szosę pod Barankiem wjechał osobowy samochód wojskowy. Jechał na światłach pozycyjnych, bo przestrzeganie zasad zaciemniania nakazywał nie tylko przepis, ale i rozsądek. Wszak była wojna i chociaż samoloty niemieckie latały rzadko i wysoko w naszym rejonie, front się zbliżał, wieczorem widać było już kilka wojskowych patroli zmierzających w kierunku Proszowic, można więc było przypuszczać, iż i naszą szosą niemieckie lotnictwo zainteresuje się bliżej. I to właśnie miało się za chwilę stać. Kierowca praktycznie jechał w ciemno. Jedynie od cza-

su do czasu „puszczał” sobie długie światła i natychmiast je gasił. Nie wiedział, iż to jego „puszczanie” zainteresowało niemieckiego lotnika, który od kilku minut nad nim wisiał. Tym razem długie światła włączone zostały w momencie, gdy samochód minął nasz dom i zbliżał się do Wilka. Snop światła pokazał kierowcy, że za kilkadziesiąt metrów droga skręci w prawo pod Pankowskiego, a lotnikowi niemieckiemu ukazała się linia prosta, po której powinien poruszać się ten błyskający światłem samochód.

Hitlerowski pilot zakreću dostrzec nie mógł, ale dobrze obliczył, gdzie byłby samochód, gdyby nadal jechał prosto, i w to miejsce zrzucił bombę. Była to pierwsza – i jak się później okazało – jedyna bomba, która spadła na wiktoryjskie pola. Huk był potężny. Zadrżały szyby we wszystkich domach, ludzie wyskoczyli z łóżek. Równie potężny co huk okazał się lej po bombie, który zasypany został chyba dopiero w 1942 roku.

Groza zbliżającego się frontu dotarła do naszej świadomości nagle i wyraziście.

Wybuch bomby poderwał na nogi nie tylko stałych mieszkańców Wiktoryjki. Uciekinierów w tym samym stopniu. Także tych śpiących w naszej stodole. Z tym, iż w tej przypadkowej zbiorowości zaszła dodatkowa, jakżeż charakterystyczna dla mentalności społeczeństwa w tych dniach zmiana. Wśród dziesiątków śpiących (lub też z różnych powodów nie mogących zasnąć) w stodole uciekinierów był i taki mężczyzna, który wyróżniał się wydawaniem przez sen niezwykle głośnych i piskliwych dźwięków. Dźwięki te najbliższych sąsiadów drażniły, nie pozwalały im zasnąć i dlatego ich sympatii do niego nie rodziły, a przeciwnie – chętnie by go przydusili wieloma snopami słomy, byle tylko przestał chrapać. Wybuch niemieckiej bomby i to w tak niewielkiej odległości, sytuację „pana z gwizdkiem” radykalnie pogorszył. Gdy wszyscy po wybuchu jako tako ochłonęli i przeko-

nali się, iż wrogi samolot odleciał i więcej bomb nie będzie, ktoś krzyknął:

– To on, ten co gwizdże, sprowadził nam hitlerowca. To szpieg!

I zaczęło się. Wielu zaczęło krzyczeć, że to rzeczywiście szpieg, który w tak przebiegły a bezpośredni sposób porozumiewa się z pilotem i naprowadza go na cel.

– Przez takiego drania mogliśmy wszyscy zginąć! Nie ma się co z takim cackać! Sądu nie potrzeba, każdy słyszał, co on robił. Na gałąź z nim!

Nieszczęśnik posadzony o bezpośrednią współpracę z niemieckim lotnictwem, też oczywiście już nie spał, a więc i przestał chrapać, co tylko sytuację pogarszało, ale w pierwszej chwili nie docierało do niego, że to właśnie o nim jest mowa. Dopiero gdy poczuł, iż dziesiątki rąk chwytają go za ręce i nogi, zrozumiał, iż to on ma być tym niemieckim szpiegiem, na którego podobno sznura nawet szkoda. I wtedy ogarnęło go przerażenie:

– Ludzie kochani, czego wy ode mnie chcecie? O co wy mnie posadzacie? Mam wrodzoną wadę nosa.

– Co on nam tu będzie pieprzył, nie słyszeliśmy to, jak gwizdał? A co ta bomba, tak sobie spadła, ni z tego ni z owego? Szkoda gadać, dawać sznur i wieszać szpiega!

– Ludzie! Jaki ja szpieg? Niemców i Hitlera nienawidzę tak jak i wy, trzeci dzień już z Sosnowca idę, nóg nie czuję, do wojska chcę się dostać, a wy tu, że ja szpieg...

Ale kto tam chciał słuchać szpiega. Słowne ataki na chrapiącego uciekiniera stopniowo ucichły, ale większość odpoczywających w stodole do rana już nie zasnęła. Trwały rozmowy na temat i tej jednej bomby, i problemów szerzącego się szpiegostwa, wypadków sabotażu.

Obudzony wybuchem bomby, wstrząśnięty nocną awanturą w stodole – w następny dzień, wtorek 5 września, też za długo nie pospałem. Ranek był wyjątkowo mglisty.

Przebudziły mnie głośne rozmowy i zapach dymu papierosowego. Od tego dymu w izbie było bardziej mglisto niż na dworze, a jego woń w niczym nie przypominała ojcowego „swojaka”. Zanim jeszcze otwarłem oczy, już wiedziałem, że tu pali się papierosy monopolowe, sporty chyba, choć w grupie palaczy jeden palił nawet mewę. W rozpoznawaniu gatunku palonych papierosów mój nos był niezawodny. Przetarłem oczy i spostrzegłem, iż cała izba wypełniona jest policjantami. Z prowadzonej przez nich rozmowy domyśliłem się, iż pochodzą ze Śląska i zgodnie z otrzymanym rozkazem, w sposób zorganizowany, przemieszczają się na wschód, gdzie mają otrzymać jakieś nowe, konkretne zadania. Ich środkiem lokomocji były rowery.

Zlazłem z łóżka i za swoją potrzebą wyszedłem z izby. Przy wyjściu z sionki aż mnie zatkało; oparte o ścianę domu i chlewa stało chyba piętnaście rowerów jednakowych, czarnych, z pomalowanymi na biało wachlarzami. Na polu żywej duszy, mgła tak gęsta, że na odległość 10 metrów nic nie było widać. I w tym momencie poczułem nieodpartą chęć na jednym z tych rowerów przejechać się, a później zostawić go w polu. Policjanci odjadą, a ja wreszcie będę miał upragniony rower. Tylko mój. I na stałe. Pokusa była przeogromna.

Dwa były jednak powody, dla których tej pokusy nie zrealizowałem: lęk przed grzechem i lęk przed policją. Grzechu do tego czasu bałem się zawsze, bo to wpajano mi od maleńkości w domu i w tym duchu wychowywano mnie w szkole. Natomiast policji przed wojną bali się wszyscy. Pamiętam, na niejednej zabawie w Biórkowie lub Wroninie, czy na weselu nawet największą bójkę pijanych uczestników zabawy potrafił uspokoić jeden policjant: temu przyłożył kolbą, innego śmignął gumą, trzeciego za uszy pociągnął i już impreza mogła toczyć się dalej, do następnej bijatyki za godzinę lub dwie. Z policjantem żarto-

wać nie można było, a co dopiero z całym plutonem, który w tej chwili siedział w naszej izbie. Już oni tam mają jakieś sposoby na pilnowanie swoich rowerów – pomyślałem w końcu – i zamiast przejechać się na jednym, dokładnie oglądałem sobie wszystkie stojące rowery.

Gdy po niecałej godzinie pluton policjantów pojechał dalej, w kierunku Proszowic, przyznałem się ojcu, jaki przed godziną miałem zamiar. Jego odpowiedzią byłem wprost zaskoczony:

– Ano, trza było rower schować i teros byś miol.

Ojciec policji nie lubił, a dziś do nich miał szczególną złość. Z ich rozmowy wynikało, że przed Niemcami po prostu w sposób zorganizowany wieją i wcale z nimi nie mają zamiaru się bić. Walka z Niemcami to sprawa wyłącznie wojska, podczas gdy oni są od pilnowania porządku wewnętrznego. Ja tych subtelności dokładnie nie rozumiałem, ale wierzyłem ojcu, że jeśli on w tym widzi jakąś nieprawidłowość, to tak musi być. Tym bardziej żałowałem, iż jeden z tych rowerów, na których odjechali policjanci, nie został do mojej wyłącznej dyspozycji. Ano, trudno, tym razem mnie ojciec zaskoczył tak selektywnym podejściem do problemu zmiany właściciela przez jeden z policyjnych rowerów.

Wyjazd policjantów wcale nie spowodował całkowitego opróżnienia naszej izby z gości. Dziś jeszcze więcej niż wczoraj zachodziło do nas uciekinierów z prośbą o sprzedaż czegoś do jedzenia lub napicia się, względnie poczęstunek. Szczególnie przykro było odmawiać matkom z małymi dziećmi.

W gęstniejącej rzece uchodźców coraz częściej widać było żołnierzy. Od rana ciągnęły oddziały taborowe, a od godzin południowych pojawiła się piechota.

Ostatnie godziny wolności

O ile do tłumu uchodźców cywilnych jakoś szybko zdołałem się przyzwyczaić, o tyle już pierwsze cofające się pododdziały wojska zrobiły na mnie przynębiające wrażenie. Sześć lat nauki w szkole wykształciło we mnie poczucie patriotyzmu i miłość do polskiego wojska, a właściwie nawet jego kult.

Żołnierz polski był dla mnie zawsze uosobieniem patriotyzmu i nawet czegoś więcej. Normalny wiejski chłopak, który tu, we wsi, niczym szczególnym nie odznaczał się, z chwilą gdy szedł do wojska i przywdziewał mundur, stawał się kimś innym, nieporównanie od wczorajszego „ja” ważniejszym, prawie tak ważnym jak pisarz w gminie, lokaj we dworze, a tylko nieco mniej niż nauczyciel. A jak żołnierz przyjechał na urlop – to wiadomo – był pan.

Pododdziały wojska w dotychczasowym życiu widziałem nie więcej niż cztery razy, gdy w ramach ćwiczeń przemieszczały się po naszej szosie. W naszych stronach żadnego poligonu nie było, wojsko nie miało tu więc po co zwartymi formacjami przechodzić. Wtedy gdy jednak przechodziło, na jego widok doznawałem jakiegoś dziwnego uczucia: każdy z żołnierzy wydawał mi się niezwykle bliski, niczym brat rodzony. Przemarsz wojska trwał krótko, ale o takim wydarzeniu myślało się i mówiło długo.

Tak było w dniach pokoju, gdy żołnierze byli raczej wypoczęci, nakarmieni i w porównaniu z miejscową ludnością – normalnie, jak w każdy roboczy dzień ubraną – wyglądałi wspaniale, jakby nie na ćwiczeniach byli, lecz wybierali się do kościoła lub szli na zabawę. Szczególnie strojni byli podoficerowie, o oficerach już nie mówiąc, bo ci pojawiali się raczej rzadko.

Do wczoraj nawet nie myślałem, iż to tak wspaniale prezentujące się wojsko, tych naszych dzielnych żołnierzy już

dzisiaj przyjdzie mi oglądać w jakżeż innej sytuacji i kondycji fizycznej, a szczególnie psychicznej.

Pierwsze, co mnie tego dnia w wyglądzie naszego wojska uderzyło, to może nawet nie tyle rzucające się w oczy zmęczenie, co raczej przygnębienie. Na żołnierskich twarzach nikt nie zobaczył dzisiaj uśmiechu, nie było słychać głośnych rozmów, a o śpiewaniu lepiej nie mówić. Spod daszków polówek patrzyły oczy zdradzające niewyspanie, wewnętrzny niepokój oraz coś więcej: determinację i upór.

Wtorek na Wiktoryjce minął pod znakiem stale zwiększającej się fali uchodźców cywilnych, wypieranej z szosy przez wycofujące się kolumny taborów wojskowych. Front zbliżał się do Krakowa, czego symptomem były coraz częściej pojawiające się nieprzyjacielskie samoloty lecące na średniej wysokości. W ten sposób nieprzyjaciel miał systematyczny i bezpośredni wgląd w sytuację panującą na szosie. Maszerujących, jadących na wozach lub odpoczywających żołnierzy te zwiadowcze loty wrogich maszyn słusznie niepokoiły i denerwowały, bo mogły być zwiastunem zmasowanego nalotu większej liczby nieprzyjacielskich samolotów. I dlatego też gdzieś tak koło godziny 14 otworzyli samorzutnie ogień do wyjątkowo nisko lecącego samolotu. W odpowiedzi na tę niezorganizowaną palbę z broni ręcznej niemiecki pilot przechylił samolot na skrzydło i puścił kilka krótkich serii do strzelających. Strzały były niecelne, nikomu nic się nie stało, a samolot zwiększył tylko wysokość i spokojnie poleciał dalej na wschód. Do końca dnia pojawiło się jeszcze kilka niemieckich samolotów, ale do wymiany ognia już nie doszło.

Gdyby mnie jednak wtedy, bezpośrednio po usłyszeniu tych serii, które wystrzelił niemiecki samolot, ktoś zapytał, czy boję się, to mocno skłamałbym, gdybym zaprzeczył. Przestraszyłem się i to bardzo, a serce łomotało mi jeszcze długo po odlocie samolotu. A więc to tak zwyczajnie i po

prostu strzela się do ludzi? Zupełnie tak samo jak do zwierząt na polowaniu?

Nadciągający front budził we mnie coraz większy lęk...

Nadeszła środa 6 września. Znow słońce, znow zatłoczona szosa, ale dziś już zdecydowanie więcej na niej wojska niż cywilów. To już nie tabory zaplecza frontu, lecz elementy oddziałów walczących. Oczywiście dalej najwięcej jest wozów konnych, tych typowych wojskowych i tych w przeddzień wojny przez wojsko zaasenterowanych. Stoimy przy szosie: ja, moje siostry Gienia i Marysia, czwórka Wilczoków. No bo i co dziś robić? Krowie narwało się liści buraczanych, świniom dało się jeść, a tu na szosie tyle ciekawych dzieje się rzeczy, a w sercu taki niepokój. Kto by tam myślał o robocie, nawet o jedzeniu się zapomina. Oto po raz pierwszy widzimy trzy działa ciągnięte między taborami. Zaprzodkowane, wydają się o wiele lżejsze od wozu, a ciągną je po dwie pary koni. Wszystko to wygląda bardzo bojowo. Żołnierze siedzą na nich, gdzie tylko się da, i drzemią. W kolumnie są też i takie małe wozy, na których umieszczone są karabiny maszynowe. Ale tych dział i tych karabinów – parę tylko. Za to piechoty dużo.

Żołnierze idą zmęczeni, jak tylko dla jakiegoś pododdziału padnie sygnał do odpoczynku – już wszyscy siedzą i pierwsze co robią – to zdejmują owijacze i buty. U wielu, po zdjęciu onuc, widać na nogach skutki odparzeń: bąble, starta skóra albo po prostu otwarte rany. Mimo takiego stanu nóg, żołnierze najczęściej nie zajmują się ich pielęgnacją, lecz po uwolnieniu ich od owijaczy, butów i onuc – kładą się i zasypiają.

Dla nas, dzieci, które dotychczas w życiu niewiele widziały, było dziś na co patrzeć, choć niektóre sytuacje i wygląd niektórych ludzi były raczej tragiczne niż ciekawe. W innym czasie i warunkach, gdybyśmy mieli pewność, iż nam jest przypisana tylko rola widzów – na pewno

to, co przed naszymi oczami przewijało się, inaczej byśmy odbierali. Dziś jednak jakbyśmy przeczuwali, że w każdej chwili możemy być nie tylko widzami, ale i bohaterami rozgrywającego się narodowego dramatu. Od samego rana bowiem w naszych domach roztrząsany jest dylemat: uciekać czy też – przyjmując zasadę: niech się dzieje wola Boża – zostać i czekać na miejscu. A jeśli uciekać, to czy wszyscy, czy tylko mężczyźni? A jeśli wszyscy, to co ze sobą zabierać: krowę?, świnie?, kury? Co brać z rzeczy? Na co to ładować, jak nie ma własnego wozu i konia? I jeszcze najważniejsze pytanie: dokąd uciekać? Mówią, że za Nidę Niemcy już nie przejdą, a jeśli tam ich nie zatrzymają? A co tam będziemy jeść, co damy gadzinie? Jednym słowem, ucieczka rodziny chłopskiej z gospodarstwa, to nie to samo, co ewakuacja rodziny miejskiej.

Pytań rodziło się co niemiara, odpowiedzi na nie nikt nie znał. W naszym domu sytuacja była szczególnie dramatyczna. Ojciec, jedyny opiekun trójki dzieci, nie wiedział, co ma poświęcić, kogo próbować ocalić? Sam miał 43 lata, a więc był jeszcze w wieku podlegającym służbie wojskowej, a przecież wszyscy wiedzieli, co z takimi mężczyznami robią Niemcy. Pozostać więc i osierocić dzieci? A jak pójdzie na ucieczkę, to co, nie może osierocić? I tak źle, i tak jeszcze gorzej. Uciekać trzeba, bo wszystko wskazuje na to, że tu Niemcy przyjdą, ale jak zostawi się Szydłowskiej na głowie nie tylko trójkę dzieci, ale i dom, gadzinę, gospodarkę całą w końcu – to czy ona sobie z tym wszystkim da radę? A jak przyjdzie tam gdzieś na wschodzie zginąć? Tam miała być przecież wojna i tu miała być wojna.

A więc jednak ojciec zaczyna przygotowywać nas na rozstanie. Poucza, jak mamy się zachowywać, gdyby tu miała przebiegać linia frontu: wejść do piwnicy, tej od szosy, i tam wszyscy mamy grzecznie siedzieć. W żadnym wypadku nie wyglądać, nie wychylać się, nie być cieka-

wym. No a już naprawdę w żadnym przypadku nie wolno mi wychodzić na dach czy na drzewo, choćby nie wiem jak mnie ciekawiło, co tam w okolicy słychać. Tak samo nie wolno zbierać i przechowywać żadnych wojskowych przedmiotów, a szczególnie broni, amunicji itp. Ojciec starał się przewidywać wszystkie możliwe sytuacje i mnie jako chłopakowi szczególnie uświadomić i podpowiedzieć, jak mamy się zachowywać.

– Tatusiu – pytam – a co z krowom i świniami? Majom być tak, jak są w chlywie, czy może je puścić wolno?

Ojciec zastanawia się chwilę, czego wyraźnym dowodem jest jego drapanie się z rozmysłem po głowie, i po namyśle mówi:

– A bo to wiem, dziecko, co zrobić? Puściecie wolno, to zastrzelom i zjedzom. Zamkniecie uwiązane w chlywie – mogom się spolic razem z chlywem. No, nie wiem, co wom poradzić...

Ten instruktaż trwał dosyć długo i była to najserdeczniejsza, najszczerza i najsmutniejsza rozmowa z ojcem w całym naszym dotychczasowym życiu. W czasie tej rozmowy padały nie tylko słowa, jeszcze więcej mówiły nasze oczy; i nam, i jemu dość często zbierało się na płacz, ale staraliśmy się nasz żal i naszą rozpacz stłumić w sobie.

Prawdę mówiąc, tak serdecznego, tkliwego i troskliwego ojca jeszcze dotychczas nie widziałem. Patrząc na niego natomiast, widziałem, jak bardzo dziś cierpi z powodu czekającego nas rozstania. Było mi żal ojca, żal moich sióstr – szczególnie małej Marysi – było mi wszystkich i wszystkiego żal. Dopiero dziś uświadomiłem sobie, jak naprawdę bliską i kochaną osobą był dla mnie mój ojciec, który na co dzień bywał tak surowy, oschły i który tak często z mojego powodu rozpinał swój wojskowy pas. Dziś to wszystko było nieważne, bo zdawało mi się, iż tracę ojca na zawsze.

Ponieważ czułem, iż za chwilę wybuchnę straszny płaczem, bez słowa wybiegłem za stodołę. Tam mogłem wypłakać się do woli. Gdy po kilkunastu minutach powróciłem, każdy po moich oczach mógł poznać, że płakałem. Ale podobne oczy mieli i ojciec, i Szydłowska, i siostry. I gdyśmy wszyscy jako tako się uspokoili, ojciec pierwszy, jakimś zmienionym i jakby nie swoim głosem wyrzekł do nas słowa najmniej w tej chwili przez nas oczekiwane:

– Moje dzieci, niech się dzieje wola Boża – nigdzie nie ide. Co mo sie stać, to sie stanie, a jakże jo bym wos tu w takiej godzinie zostawił? Trza co nieco spakować, zapakować, żeby sie w razie czego nie spoliło i cekać boskiego zmiłowania.

Po tej decyzji ojca zdawało mi się, że jakiś wielki ciężar spadł mi z serca. Znow zacząłem dostrzegać to, co się wokół mnie działo: wzmożony ruch na szosie, żołnierzy kręcących się po obejściu, odpoczywających na trawie. Wielu żołnierzy furmanów starało się wyciągnąć resztki wody z naszej studni, by napoić konie, a przy okazji i swoje zaspokoić pragnienie. Każdorazowe spuszczenie wiadra w głąb studni dawało coraz mniej wody – po prostu źródło się wyczerpywało.

Trzech kucharzy ustawiło tuż przy naszej stodole jakieś metalowe rusztowanie, na którym zawiesili duży garnek, a pod nim beztrąsko rozpalili ognisko. Ojciec przerażonym wzrokiem spoglądał na tę pożarową zbrodnię, bo zdawało się, że lada moment stodoła od tego ogniska zajmie się i spłonie. Nic jednak nie mówił, bo albo było mu w tej chwili obojętne, co stanie się ze stodołą, albo też jego myśli wokół innych spraw krążyły. A miało co zaprzętać uwagę ojca, sytuacja bowiem znow się zmieniała.

Oto nie dalej jak 30–40 metrów na południe od stodoły, samym szczytem wzniesienia przebiegającego od Pankowskiego przez Wilka i dalej przez nasze i Pałetki pole

aż na Stoki, żołnierze przystąpili do przygotowywania sobie stanowisk ogniowych. Były to zwyczajne prowizoryczne stanowiska, których konstrukcja ograniczała się do wyrównania miejsca do leżenia dla strzelca i do usypania przed sobą, od strony południowej – Wronina i Czulic – kopczyka z ziemi, który miał służyć i jako podpórka przy strzelaniu z karabinu, i jako osłona przed ogniem karabinowym wroga. Odległość jednego od drugiego stanowiska wynosiła 25–30 metrów. Za niecałą godzinę miałem się przekonać, iż rozbudowa tych „transzei” poważnie zaważyła na naszym losie w ciągu najbliższych kilkunastu godzin.

Gdy tylko dowiedzieliśmy się, co żołnierze robią na pagórku za stodołą, pobiegliśmy tam, by to wszystko dokładnie zobaczyć. Ale szybko nas stamtąd przegnano, bo – jak nam wyjaśniono – nasza tam obecność mogła zdradzić nieprzyjacielowi przebieg linii oporu. Przepędzeni z „pozycji” wracamy pod dom, a tu ojciec z niezawodnym Ignacem roztrząsają kolejny problem z dziedziny taktyki wojskowej.

Okazuje się, iż jednocześnie z budową okopów za naszą stodołą na pagórku – po drugiej stronie szosy, na Iwanowym polu, wykorzystując osłonę starych drzew jako najlepszy sposób maskowania, artylerzyści przystąpili do ustawiania dwóch dział o kołach podobnych do tych przy chłopskich wozach i o krótkich lufach. Lufy te skierowano wprost na nasz dom, co wzbudziło niepokój ojca i Ignacego Wilka.

Jednak ich rozważań nie słuchałem, bo sympatyczny kucharz rezerwista, pan Stefan z Krakowa, w cywilu też kucharz, z którym zdążyłem się już zaprzyjaźnić, porozumiewawczo kiwnął mi głową, a gdy do niego podbiegłem, rzekł:

– Przynieś talerz, miskę albo nawet garnek – obojętne co – i łyżkę, krupnik już gotowy, spróbujesz pierwszy!

No, tej propozycji to mi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Dopiero w tej chwili uzmysłowiłem sobie, że od rana,

a była w tej chwili godzina druga – poza garnuszkiem mleka i kromką chleba – nic w ustach nie miałem. „Na jednej nodze” skoczyłem więc do izby, złapałem talerz i łyżkę i już pan Stefan chochlą lał mi na talerz wrzątek. Co to było za jedzenie! Smak tego żołnierskiego krupniku, niesamowicie tłustego i nieco przypalonego, śnił mi się później przez długie lata okupacji.

Zjadłem właśnie otrzymaną porcję, kolejka ustawionych przy kotle żołnierzy kończyła się, a ja zachodziłem w głowę, jak tu do pana Stefana zagadać, żeby mi dołał repety. Co prawda w kotle już pewnie zaczęło pokazywać się dno, ale tym, co tam jeszcze było, niejedną miskę można było napełnić. I nagle...

– Aaalaarm!, aaalaarm!, aaalaarm! – rozległo się gdzieś z szosy od strony Baranka. Ten podrywający wszystkich na nogi krzyk nie był komendą dowodzącego wojskiem, to był sygnał ostrzegawczy podawany przez kogoś bardzo przestraszonego.

– Czołgi!, czołgi! – niosło się od szosy – czołgi idą od Proszowic – podawano z ust do ust – c z o ł g i!!!

I w tym momencie skończył się obiad żołnierski. Co kto dotychczas zjadł – to było jego, resztę wylewał jednym machnięciem ręki na ziemię i pędził na wyznaczone mu miejsce. Artylerzyści obracają działa na Akulenkowym polu tym razem na wschód, ale okazuje się, że na przeszkodzie stoi stodoła Iwana i zabudowania Błaszkiwiczów; poprzez nie do czołgów nie będzie można strzelać, bo nic w tym kierunku nie widać. A tu już całkiem wyraźnie słychać chrzęst gąsienic i huk motorów. Gdy zobaczą czołgi, będzie za późno na strzelanie, bo wtedy będą one już o kilka metrów od dział. Co robić? Widzę, że obsługa zabiera tylko ręczne granaty i szybko posuwa się pod osłoną płotu w stronę, skąd słychać nadchodzące czołgi.

Tymczasem piechota zalega tam, gdzie kto się znajduje, i szukając jakiegokolwiek osłony lub z podręcznych materiałów budując ją, przygotowuje się do walki. Po upływie dwóch minut od ogłoszenia alarmu, gdy na wzniesieniu pod Barankiem ukazała się pierwsza tankietka, jedynymi postaciami, które obsługa mogła dojrzeć, była masa cywilów bez potrzeby i bez sensu biegnąca z miejsca na miejsce.

I w tym momencie, kiedy pierwsza tankietka pojawiła się na wzniesieniu szosy, ze wszystkich stron rozległy się głosy:

– Nasi, nasze, nie strzelać!!!

Strach, popłoch i zamieszanie, panujące jeszcze przed minutą wokół naszego domu, zmieniły się teraz w ogólne odprężenie i radość.

– Nie jest tak źle, jeśli na front suną trzy nasze czołgi – powtarzał ktoś głośno i z zadowoleniem.

Prawda, te trzy polskie tankietki, które najpierw narobiły tyle zamieszania, teraz stały się powodem nadziei, że może przy ich pomocy uda się zatrzymać Niemców. Ale ta środa 6 września była dniem, w którym sytuacja zmieniała się jak w żadnym poprzednim. Tym razem radość też długo nie trwała. Ledwo się jako tako po tym harmiderze z tankietkami uspokoiło, już widzę, jak do ojca zmierza z poważną miną łysiejący sierżant z polówką trzymaną w rękę.

– Ano, kochany gospodarzu, trzeba wam się stąd wynosić, widzicie, za stodołą macie pierwszą pozycję naszej obrony, wszystko wskazuje na to, że nad ranem tu będzie gorąco. I dla was, i dla nas będzie wtedy lepiej, jak was tu nie będzie. A w nocy to już za późno będzie uciekać, trzeba wam się teraz zbierać. Co chcecie, to zabierajcie i na wschód. Z całą rodziną. Dobrze radzę!

Sierżant radził dobrze, z całego serca. Dla nas był to jednak wyrok szokujący. Szydłowska zaraz w płacz:

– Nigdzie nie póde, wy zbierojcie sie, bierzcie krowe, a jo tu z tą restą ostane. Mnie, starej, Niemiec nic nie zrobi, najwyży mnie zabijom. No to co, i tak w końcu trza umrzeć.

Ta deklaracja Szydłowskiej ułatwiła ojcu podjęcie decyzji.

– Edek, bierz krowe, Stach Wilków też weźmie swojom i gnojcie te bydłeta przez Wronin, Wroniec do Wierzbna. Idźcie powoli, my wos tam dogonimy.

Tego mi tylko było trzeba. Tak jak stałem, w koszuli, krótkich spodniach i boso, odczepiłem łańcuch krowy od żłobu i w drogę. Stach zrobił chyba podobnie, bo zanim doszedłem do jego domu, on tam już na mnie czekał.

Krowy były wypoczęte, nakarmione, tylko przy tym dziesięjszym upale muchy i ślepce bardzo je gryzły, zamiast więc my zwierzęta, to one nas popędzały. Nie minęło pół godziny, a myśmy już znaleźli się za Wrońcem na pagórku, a przed nami rozciągał się widok na Wierzbno. Zrobiliśmy około czterech kilometrów. Było ciepło, bezwietrznie. W mijanych wsiach życie wyglądało dziś inaczej niż na Wiktoryjce: tu jakby nie było wojny. Żadnych uciekinierów, nie było wojska, w obejściach krzątały się dzieci i kobiety. Większość mężczyzn przezornie wcześniej jednak poszła na wschód. Obserwując mijane po drodze domy, otoczone ukwieconymi o tej porze ogródkami, w których najbardziej widoczne były wysmukłe malwy, ten spokój i to niby normalne, tylko w zwolnionym tempie toczące się życie mieszkańców, człowiek odczuwał jakieś straszne przygnębienie, żal, że to wszystko już zaraz, już jutro może się skończyć. Świadomość, że nadciąga walec wojny, towarzyszyła nam w każdej chwili.

I teraz, gdy znaleźliśmy się w miejscu, skąd najlepiej było widać całą wieś będącą siedzibą naszej gminy, jakżeż wyraźnie dostrzegliśmy większy fragment rzeczywistości „przed bitwą”. Wokół stawu obramowanego topolami,

w dworskim sadzie, a przede wszystkim na przeciwległym wzniesieniu – wszędzie pełno wojska, które szykuje okopy.

A więc i tu będzie linia obrony. Czyli że po przejściu paru kilometrów znaleźliśmy się z deszczu pod rynną. Nie pozostało nic innego, jak tylko przyspieszyć kroku, by jak najszybciej znaleźć się z drugiej strony Wierzbna.

Podczas gdy ja uważnie obserwowałem, co dzieje się przed nami, na wschodzie, Stach coś za długo spoglądał do tyłu, skąd przyszedliśmy, by po chwili spokojnie oznajmić mi:

– Wies co, Edek, twój tatuś nos goni.

I rzeczywiście. Drogą od Wrońca biegł ojciec. Był tak zmęczony, spocony i zadyszany, że musiała minąć dłuższa chwila, by w końcu mógł przemówić:

– A żeby wos ślag trafił, pierońskie dzieci! Mówilem, idźcie powoli, a wam jakby pióro wsadził... – więcej nie mógł już z siebie wydobyć.

Okazało się, że tuż po naszym wyjściu ojcowie nasi jeszcze raz się naradzili i doszli do wniosku, że właściwie nie ma sensu gdziekolwiek się ruszać. Nie było żadnej pewności, że tam, dokąd mogliśmy dojść, będzie bezpieczniej niż we własnym domu. Tylko źle się stało, że nam kazano iść wcześniej z krowami. Nie pozostawało nic innego, jak tylko pakować się i jechać w ślad za nami. Ojciec pobiegł, by nas zatrzymać. Teraz, biedak, wyczerpany, spocony i zły siedzi na miedzy i pali papierosa. Odpoczywa. My zaś, skarceni i zawstydzeni, nawet nie zwracamy uwagi, że krowy skubią na cudzym polu zieloną koniczynę, a to może się źle skończyć.

Czekamy na wóz z naszymi rodzinami.

Wieczorem dotarliśmy do Żębocina, wsi położonej około 3 km na południe od Proszowic i zatrzymaliśmy się u dalekiego krewnego Ignaca. Ostatnie kilometry przejechaliśmy już o zmroku, ale spały tylko Marysia i Ignacowa Danką. Wszyscy pozostali w milczeniu i z niepokojem obserwo-

wali olbrzymią łunę w kierunku południowo-wschodnim. Wyglądało na to, że front dociera już nie tylko do Bochni, ale i do Tarnowa. A więc Niemiec nie tylko od zachodu nas atakuje.

Rozlokowaniem nas nikt się specjalnie nie przejmował. Bez mycia i bez kolacji, a tylko po zmówieniu obowiązkowego pacierza, my, dzieci, zostaliśmy położeni do spania w stodole. Dorośli pozostali na dworze, palili, rozmawiali z gospodarzami. Nas natychmiast zmógł sen.

Było jeszcze dość ciemno, gdy obudził nas potężny huk. Wystraszeni wybiegliśmy przed stodołę i tam od dorosłych dowiedzieliśmy się, że właśnie Niemcy ostrzeliwują Proszowice. Mimo rozwidniania się, od północy, w miarę przeciągania się ostrzału miasta, najpierw widoczna była łuna, a później potężny słup dymu.

W samym Żębocinie nie działo się nic. Dopiero około 7 rano przez wieś w kierunku wschodnim zaczęły przemieszczać się mniejsze i większe grupy naszych żołnierzy. Wielu z nich było rannych, najczęściej w rękę lub w głowę, o czym świadczyły białe bandaże odcinające się od zieleni mundurów. I znów niewymowny żal ogarnął mnie na ich widok, a szczególnie na widok tych ciężko rannych, których wieziono na wozach. Niektórzy wyglądali strasznie. Około godziny 9 przez Żębocin przeszła ostatnia grupa polskich żołnierzy. Znaleźliśmy się na ziemi niczyjej.

Od wycofujących się po bitwie żołnierzy dowiedzieliśmy się, iż Niemcy o brzasku zaatakowali ogniem artylerii i czołgami Proszowice. Ale nie, jak się spodziewano, od zachodu lub południowego zachodu, lecz od Słomnik, z północnego zachodu. Zastosowany przez Niemców kierunek ataku był na pewno zaskoczeniem dla naszego dowództwa na tym odcinku, toteż jego skutki były dla nas tragiczne. Za kilka dni, gdy znalazłem się w Proszowicach, zobaczyłem, iż miejscowy cmentarz od strony miasta powiększył

się o nową kolonię grobów, na których ustawiono krzyże, a na nich położono polskie hełmy bojowe.

Ilekcóć później, podczas okupacji, przechodziłem koło tego cmentarza, łzy zawsze cisnęły mi się do oczu. Zarówno z żalu za tymi, którzy tu polegli, jak i na widok tych naszych hełmów, w tym miejscu mogących oficjalnie znajdować się na widoku publicznym. Mój żal był tym większy, że w centralnej części tego samego cmentarza spoczywał tylko jeden poległy w tej bitwie żołnierz Wehrmachtu. Czy był to efekt manipulacji zwycięzców, czy rzeczywista liczba ofiar poniesionych przez walczące strony – tego już nie wiem. Na tej pojedynczej mogile też był krzyż, a na nim hełm. Charakterystyczny, głęboki, z czarnym orłem...

* * *

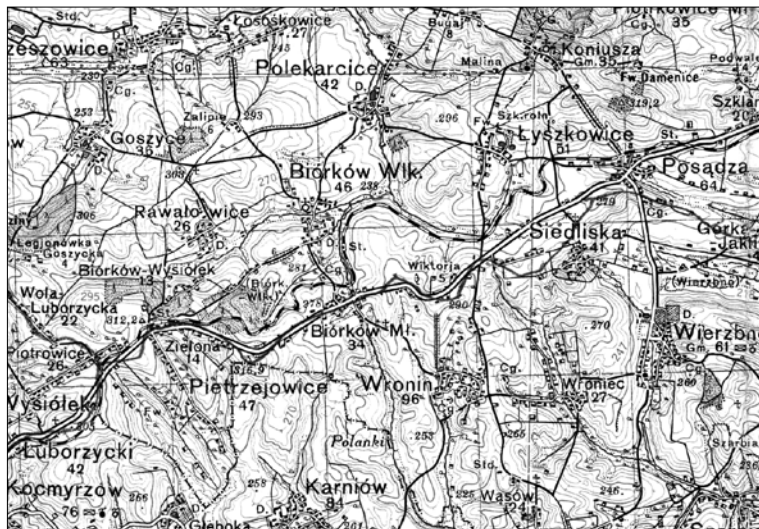
Gospodarze w Żębocinie ani nas nie zatrzymywali, ani nie wypędzali. Do godziny 10.30 czekaliśmy, co dalej nastąpi. Ale nie działo się nic. Nie pojawiali się ani polscy, ani niemieccy żołnierze. Tylko Proszowice paliły się. Czarny dym spowił całe miasteczko, a jego słup, bijący prostopadłe w niebo, widoczny był w promieniu wielu kilometrów.

Przed 11 zapadła decyzja, że wracamy. Nie było sensu dłużej czekać. Każdego ciągnęło do domu. Dla większego bezpieczeństwa postanowiliśmy jechać bocznymi drogami przez Górkę Jaklińską i Siedliska. Jadąc wybraną trasą, żadnego wojska nie spotkaliśmy. Okazało się, że boczne drogi Niemców nie interesowały. Na „naszą” szosę wjechaliśmy dopiero koło Szopy. I tu też w tym momencie Niemców nie było. Tylko w rowie przy drodze do Łyszkowic siedział polski żołnierz ranny w nogę. Nie miał pasa ani broni. Nogę miał już opatrzoną. Prosił o papierosa.

Stąd do naszego domu mamy tylko trzysta metrów. Sto metrów w górę i już go zobaczymy.

Już widać czubki naszych drzew, już pokazuje się dach... i w tym momencie na szczycie wzniesienia widzimy dwóch niemieckich żołnierzy. Jadą obok siebie na gniadych, wypielegnowanych koniach. O czymś wesoło rozmawiają. Na głowach furażerki, hełmy przytroczone do siodeł. Ich wygląd i zachowanie robią wrażenie, jakby jechali na polowanie albo raczej – z udanego polowania wracali.

Nas, wracających z pobliża piekła do najspokojniejszego w tej wojnie miejsca w Polsce, ci pierwsi napotkani przedstawiciele Herrenvolku nawet nie dostrzegli.



Fragment mapy z 1934 r przedstawiający rodzinne strony autora.

Spis treści

Zamiast wstępu	5
Dom	9
Ojciec	9
Matka	18
Na swoim	22
Zalipie	31
Bez matki	41
Śmierć matki	44
Dlaczego trzeba było umierać?	54
Będziemy mieć macochę?	63
Służąca	66
Życie codzienne	77
Kto rano wstaje...	77
Jedzenie złem koniecznym	80
„Edek polej no mi!”	94
Jak sobie pościesz – tak się wyśpisz	100
Jak cię widzą, tak cię piszą...	108
Gospodarka	115
Środowisko	131
Sąsiedzi	133
Zagranica	164
Jutro w Proszowicach jarmark	172
Szkoła	185
Pierwszy dzień w szkole	195
W nowej szkole	204
Piekło	231
Dwie ojczyzny?	246
Wojna	253
Ostatnie godziny wolności	270

